



JERZY EDIGEY

TESTAMENT SAMOBÓJCY

CZYTELNIK

lesiojo

JERZY EDIGEY

TESTAMENT
SAMOBÓJCY

WYDAWSTWO
WYDZIAŁU
HUMANISTYCZNEGO
UNIWERSYTETU
WARSZAWSKIEGO



GETTELNIK - WARSZAWA - 1992

Edigey Jerzy - Testament samobójcy

ROZDZIAŁ I

W KANCELARII ADWOKATA

Adwokat Mieczysław Ruszyński pozbył się nareszcie ostatniego klienta. Spoglądając na zegarek pośpiesznie zbierał akta rozrzucone na biurku i upychał je „jak leci” w stojącej za nim szafie. Był umówiony z bardzo miłą... Mniejsza zresztą z kim. Nie chciał się spóźnić, a niewiele czasu pozostawało do umówionego spotkania. Ten gaduła zajął mu prawie pół godziny! Chłopi to najmarudniejsi klienci. Za swoje parę groszy muszą adwokatowi dziurę w brzuchu wywiercić.

Ruszyński, czyli, jak go przyjaciele nazywali, po prostu Miecio, znany był w całym zespole z tego, że klientów trzyma krótko. Kilka słów i „żegnam”. Miecio, siwowłosa mężczyzna o jowialnym wyglądzie i dość okrągłej posturze kochał kobiety, wino i śpiew, chociaż nie sposób ukryć, że z tych trzech namiętności pociąg do śpiewu był zdecydowanie najłabszy. Właśnie teraz tak się spieszył bynajmniej nie na koncert do filharmonii.

– Jeszcze jeden klient do pana mecenasa.

Adwokat spojrział na woźnego jak na osobistego wroga.

– Jaki?

– Bo ja wiem? Pierwszy raz przyszedł. Nie znam go.

– A nie mógłby w piątek?

Mecenas przyjmował w poniedziałki, środy i piątki.

– Już mu tłumaczyłem, że pan mecenas musi wyjść, bo ma sąd polubowny, ale on jest uparty – doświadczony woźny doskonale znał zwyczaje wszystkich prawników w zespole i uważał za swój święty obowiązek chronić ich przed niespodziankami. Ale nie każdy klient był ustępliwy.

– Czego chce?

– Wspomniał, że ma sprawę testamentową. Jaka? Nie chciał mi powiedzieć. Zaznaczył tylko, że pilna i dobra – na słowie „dobra” woźny położył lekki nacisk.

– Cholera, co tu robić?

– Niech pan go przyjmie, mecenasie. Na moje oko, opłaci się – namawiał pan Franciszek i zniżając głos do szeptu dodał poufale:

– Gdzie pan się umówił?

– W „Szanghaju”.

– Z tą rudą, co ostatnio trzy razy tutaj przychodziła?

Mecenas przytaknął.

– To ja podskoczę – ofiarował się woźny – i powiem jej, żeby poczekała z godzinkę.

– Ale czy zechce?

– Zechce, zechce. Już ja ją odpowiednio zabajtluję. Na jakiegoś młokosa, co ma cztery dziury w kieszeni i czuprynę zaondulowaną w loczki, toby nie czekała, ale na pana mecenasa na pewno. Młoda jest, chyba nie więcej jak dziewiętnaście wiosen sobie liczy, ale swój rozum to ona ma.

– Panie Franciszku – Ruszyński zdecydował się – dawajcie tego klienta i ... załatwcie z tą panią. Powie jej pan, że sprawa była pilna i jak tylko będę się mógł wyrwać...

– Dobrze, dobrze, niech pan mecenas będzie spokojny. Franciszek wszystko załatwi na sto dwa. Czy to mnie pierwszyczna?

Miejsce za biurkiem naprzeciwko adwokata zajął mężczyzna w wieku około pięćdziesiątki. Może trochę więcej? Wysoki, łysiejący blondyn, o jasnoniebieskich oczach i wydatnym nosie. Nosił popielaty garnitur.

– Jestem Jarecki – powiedział basem. – Włodzimierz Jarecki, do usług pana mecenasa. Oto mój dowód osobisty – to mówiąc klient położył zieloną książeczkę na blacie biurka.

– Słucham pana? – Ruszyński usiłował przerwać potok słów klienta i skrócić jego wizytę do minimum.

– Niech pan mecenas obejrzy dowód, żeby wszystko było w porządku.

Adwokat przez grzeczność otworzył dokument. Z dowodu wyrzała fotografia zrobiona przed kilku laty. Dane na sąsiedniej stroniczce potwierdzały, że właściciel zielonej książeczki nazywa się Włodzimierz Jarecki, urodzony w Mławie, w roku 1918. W rubryce „stan cywilny” zapisano „żonaty”, zaś pod „zawód” odnotowano „rzemieślnik”. Stempel i odpowiedni napis wyjaśniał, że ten dowód osobisty wystawiony został przez KD MO Warszawa.

Ruszyński zwrócił dowód klientowi, który schował go w dużym, dość podniszczonym portfelu.

– Słucham pana? – adwokat powtórzył pytanie.

– Ja w sprawie testamentu. Skoro pięćdziesiątka stuknęła, panie mecenasie, czas pomyśleć o śmierci. Trzeba wszystko uporządkować, zanim człowiek oczy zamknie.

– No, panu chyba jeszcze nie pilno na tamten brzeg. Nie wygląda pan na chorowitego – Miecio grzecznie zaprzeczył, chociaż z lubością pomyślał, że gdyby tego nudziarza teraz piorun trafił, nie byłoby to głupie zrządzenie Opatrzności boskiej.

– Nigdy nie wiadomo, co kogo czeka – zauważył sentencjonalnie Jarecki. – Dlatego postanowiłem napisać testament i przyszedłem z tym do pana mecenasa.

– Pan nie ma swojego stałego adwokata? Najlepiej byłoby zwrócić się z tym do kogoś, kto już panu prowadził jakieś sprawy.

– Mecenas mecenasowi nierówny, a o panu tyle dobrego czytałem w gazetach i słyszałem od ludzi. Pomyślałem, nikt, tylko adwokat Ruszyński najlepiej załatwi. Dlatego walę do pana prosto jak w dym.

– Dziękuję – znawca kobiet i.wina miał w tej chwili- minę cierpiętnika siedzącego na fotelu dentystycznym w czasie świdrowania zęba z otwartym nerwem.

– Ja wiem, że pan mecenas bardzo się śpieszy. Poważne zajęcia.

– Bardzo poważne – przytaknął Miecio.

– To też ja na króciutko.

Tym razem mecenas nic nie powiedział, aby nie przedłużyć rozmowy.

– Postanowiłem więc napisać testament...

– Są trzy rodzaje testamentów – Ruszyński starał się dopomóc klientowi w szybszym zreferowaniu. – Własnoręczny, notarialny i szczególny, złożony ustnie i zapisany przez osobę trzecią w obecności dwóch świadków.

– To ja wiem. Przystudiowało się kodeks rodzinny, zanim się przyszło do pana mecenasa. Testament mam gotowy. Chciałem, żeby go pan przeczytał i powiedział, czy o niczym nie zapomniałem.

Gaduła wyjął dużą, szarą kopertę, otworzył ją i podał adwokatowi arkusz papieru. Ruszyński rozwinął go i zaczął

uważnie czytać. Skończyła się rozmowa, nareszcie adwokat mógł przystąpić do konkretnej pracy. Testament był pisany na maszynie, a jedynie data i podpis były złożone ręką testatora. Mecenas zauważył:

– Testament musi być napisany pańską ręką.

– Kiedy ja tak bazgrzę jak kura patykiem. Podobno teraz można pisać testamenty na maszynie, byleby podpis był pewny. A sam pan widzi, że to mój. W razie czego mogę jeszcze raz podpisać w obecności pana mecenasa.

To mówiąc Jarecki sięgnął po testament i wyjąwszy z kieszeni wieczne pióro nakreślił na dole kartki: „po raz drugi podpisałem w obecności mecenasa Mieczysława Ruszyńskiego – Włodzimierz Jarecki”.

Rzeczywiście, charakter pisma tego klienta nie należał do najładniejszych. A kiedy przy podpisywaniu rękaw koszuli Jareckiego nieco się odwinął, adwokat zauważył dużą bliznę. Jak gdyby od kuli czy noża. Skaleczenie nie było stare, bo jeszcze widniała czerwona pręga.

– A teraz w porządku? – klient podał mecenasowi arkusz papieru.

Testament napisany był na dużym arkuszu papieru, złożonym we dwoje, ale tekst zajmował tylko jedną z czterech stron.

„Mój testament

Ja, niżej podpisany Włodzimierz Jarecki, urodzony w Mławie 27 września 1918 roku, zamieszkały w Warszawie, ulica Zapogodna 24 m. 65 w pełni zdrowia umysłowego zarządzam, co następuje:

Żonie mojej Małgorzacie, z domu Kwaśniewska, zapisuję mieszkanie spółdzielcze w spółdzielni »Nasza Kotwica« w domu przy ulicy Zapogodnej 24 lokal 65, w którym obecnie mieszkam. Zapisuję żonie mój samochód osobowy marki renault, samochodowe książeczki PKO i książeczki zwykłe PKO oraz to wszystko, co za mojego życia otrzymała. Więcej jej się nie należy. Ona sama dobrze wie, dlaczego.

Całą resztę mojego majątku, a to: warsztat rzemieślniczy, który prowadzę przy ulicy Chełmińskiej 17 w podwórzu, wraz ze wszystkimi maszynami, surowcem do wyrobu towaru, samochodem warszawa i jeszcze nie ściągniętymi należnościami

za dostawy towarów, gdyby takie istniały w dniu mojej śmierci, zapisuję Stanisławowi Kowalskiemu, zamieszkałemu w Wołominie, ulica Malinowa 9. Postanawiam tak, żeby spłacić dług wdzięczności Stanisławowi Kowalskiemu, który w czasie Powstania Warszawskiego uratował mi życie. Deponuję ten testament w Zespole Adwokackim nr 104 w Warszawie na ręce adwokata Mieczysława Ruszyńskiego, którego też upoważniam do wszczęcia po mojej śmierci odpowiednich kroków prawnych celem wprowadzenia w życie mojej ostatniej woli.

Warszawa, 14 kwietnia 1970 roku.

Włodzimierz Jarecki”

Pod pismem maszynowym znajdował się odręczny podpis testatora. Poniżej zaś adnotacja o ponownym podpisaniu testamentu już w kancelarii adwokackiej. Szara koperta nosiła napis: „Testament Włodzimierza Jareckiego”.

Mecenas zwrócił papier swojemu klientowi.

– Nic na to nie poradzę, panie Jarecki – zauważył – ale musi pan wrócić do domu i własną ręką przepisać od a do zet. Niech pan przyjdzie w najbliższy piątek, wtedy spokojnie załatwimy całą sprawę. Nawet dobrze się składa, bo dzisiaj bardzo się śpieszę, a w piątek nie mam nic umówionego.

Rzemieślnik uśmiechnął się chytrze.

– Przyznam się panu mecenasowi, że przewidywałem, iż z tym testamentem pisany na maszynie może być klops. Dlatego też na wszelki wypadek zabezpieczyłem się w inny sposób.

Włodzimierz Jarecki wyciągnął z kieszeni swojej marynarki kartkę papieru złożoną we czworo. Rozwinął ją i podał adwokatowi.

Ruszyński trzymał teraz w ręku arkusz papieru starannie poliniowany cienkim ołówkiem „w dwie linie”, tak jak w zeszycie do kaligrafii. I rzeczywiście na tej kartce papieru Jarecki wykaligrafował wyjątkowo starannym pismem cały tekst swojego testamentu. Jedynie podpis zdradzał bazgrołami autorstwo rzemieślnika.

– Tak nieczytelnie piszę, że nikt by nie mógł mnie odczytać. Dlatego starałem się każdą literkę wymalować osobno. Jak mnie

w szkole kiedyś uczyli – tłumaczył się zażenowany Jarecki. – Ale teraz będzie dobrze, prawda panie mecenasie?

– Forma tego testamentu zgadza się z przepisami prawa – stwierdził adwokat. – Artykuł kodeksu rodzinnego powiada, że testament musi być napisany własną ręką testatora, ale nie zabrania mu kaligrafować.

– To znaczy, że wszystko jest w porządku? – ucieszył się klient.

– Jeśli chodzi o stronę formalną, w porządku. Inna sprawa z treścią pańskiej ostatniej woli – zauważył mecenas. – Mógłbym mieć pewne zastrzeżenia...

Jarecki zdawał się nie zwracać uwagi na wątpliwości adwokata i dodał:

– Jak pan to już wyczytał z treści mojego pisma, chciałem mecenasa prosić o przyjęcie tego testamentu do depozytu. Bardzo o to proszę. Zaznaczam, że koszty nie grają roli. Nie jestem, chwała Bogu, biedakiem.

– Czy pan ma dzieci?

– Nie, nie mam. Pierwsza żona i jedyne dziecko zginęli w Powstaniu Warszawskim. Mnie odkopał z gruzów Stanisław Kowalski i przywrócił do życia. A potem, kiedy hitlerowcy wyganiali nas z Powiśla, na własnych plecach zaniósł do Pruszkowa. Tylko dzięki temu siedzę tu dzisiaj przed panem mecenasem.

– A inną bliską rodzinę pan ma? Rodziców, braci czy siostry?

– Nie, zostałem sam jak palec. Nawet nikogo z dalszych krewnych.

– Gdyby nie było testamentu – pouczał adwokat – zgodnie z prawem wszystko odziedziczyłaby po panu żona. Zaś przy dziedziczeniu testamentowym żona musi otrzymać „zachówek”, to jest połowę tego, co by się jej należało, gdyby testamentu nie było. W tym przypadku połowę całego spadku. Czy ten podział jej nie krzywdzi?

– Jej się nic nie należy. Takiej...

– Nikogo nie obchodzą nieporozumienia między wami. Jeżeli nie istnieją ustawowe powody do wydziedziczenia, żona musi otrzymać swoją część spadku.

– Podzieliłem sprawiedliwie. Dostanie bardzo dużo. Za samo spółdzielcze mieszkanie zapłaciłem przyszło sto tysięcy złotych.

– Ale wszystko, co pan nabył albo czego pan się dorobił w czasie trwania małżeństwa, uważa się za wspólny dorobek obojga małżonków i dlatego połowa tego dorobku stanowi własność żony i nie wchodzi do masy spadkowej. Rozumie pan?

– Wiem o tym, panie mecenasie. Ale mieszkanie kupiłem na swoje nazwisko przed naszym ślubem. Warsztat rzemieślniczy, bo zajmuję się wyrobem dewocjonalii, prowadzę od 1956 roku. Założyłem go przed ponownym ożenkiem. Wtedy był nawet większy niż obecnie, bo zatrudniałem czterech czeladników i trzech uczniów. Dzisiaj pracuje tam tylko trzech pomocników i dwóch uczniów. Ale nie narzekam. Od początku świata najlepiej zarabia się na religii. Dostarczam masówki dla straganów na odpustach i w „świętych miejscach”. Poza tym wyrabiam artystyczne narzędzia kultu dla panów proboszczów. Ale w tajemnicy przyznam się panu mecenasowi, że na masówce zarabia się grubo więcej. Tamto, te wszystkie kielichy, tacki, dzbanuszki czy monstrancje robię dla zadowolenia własnych ambicji.

Micio z rozpaczą spojrział na zegarek. Minęło już pół godziny. Czy dziewczyna naprawdę zechce tak długo czekać?

– Ja wiem, pan mecenas się śpieszy. Już kończymy – Jarecki chyba wreszcie zrozumiał, że czas sławnego adwokata jest ściśle wyliczony.

Wytwórca dewocjonalii wyjął z kieszeni laseczkę laku i zapałki. Najwidoczniej zabierał się do zapieczętowania swojego testamentu.

– Zaraz, zaraz – adwokat usiłował go powstrzymać – przecież jeszcze nie ustaliliśmy, że przyjmujemy ten testament. To trzeba załatwić z kierownikiem zespołu.

– A co on by mógł mieć naprzeciwko temu? Zapłacę honorarium, ile pan mecenas zażąda. Powiedziałem już, że nie jestem biedakiem.

– Zapłaci pan tyle, ile wynosi taksa – sucho zauważył adwokat – i nie mnie, lecz w kancelarii zespołu.

– Mnie tam wszystko jedno – Jarecki rozpalił lak i zrobił na kopercie dużą, czerwoną plamę, do której przycisnął następnie rewers jednozłotówki.

– Tak będzie dobrze – stwierdził przyglądając się z zadowoleniem wyraźnej odblaskowej odbitce orła. Może jeszcze datę napisać?

– To niepotrzebne. I tak kancelaria sporządzi krótki protokół o przyjęciu testamentu do depozytu.

– Mam jeszcze jedną prośbę do pana mecenasa.

– Słucham.

Pan Włodzimierz Jarecki wydobył ze swoich przepastnych kieszeni następną kopertę. Tym razem zwykłą, białą. Była ona już zaopatrzona, jak to od razu zauważył adwokat, w kilka pieczęci po rogach i spięta po środku metalową klamerką, na którą nałożono jeszcze jedną pieczęć lakową.

– Chciałbym, żeby po mojej śmierci pan mecenas przekazał tę kopertę pod właściwy adres.

Na kopercie maszynowym pismem dużymi literami wydrukowano: „DO KOMENDY MILICJI OBYWATELSKIEJ”

(Otworzyć po mojej śmierci)

Na odwrocie koperty widniało imię, nazwisko i adres Jareckiego jako nadawcy.

– Takiego depozytu nie mogę przyjąć.

– Dlaczego? Przecież pan mecenas nie zna treści tego pisma. A może to jest zeznanie o poważnym przestępstwie, które popełniłem i schodząc z tego świata nie chcę mieć na sumieniu? Czy jest coś złego w tym, że deponując swój testament załączam jednocześnie list do milicji?

Może gdyby w pobliskim „Szanghaju” nikt nie czekał na Mieczysława Ruszyńskiego, oparłby się on przyjęciu tak niezwykłego depozytu. Ale wskazówki zegarka nieustannie biegły naprzód i adwokat coraz bardziej się denerwował, że piękna dziewczyna wyjdzie z lokalu albo, co gorsza, znajdzie sobie jakieś inne towarzystwo.

– O przyjęciu tego depozytu zadecyduje ostatecznie kierownik zespołu – rzekł adwokat, byleby jak najszybciej skończyć sprawę.

– Pan mecenas się śpieszy – Włodzimierz Jarecki umiejętnie wygrywał swoje atuty – więc nie chciałbym pana dłużej zatrzymywać. Ile jestem winien?

– To obliczy kancelaria. Tam też podpisze pan protokół o złożeniu i przyjęciu depozytu.

– Bardzo proszę, panie mecenasie, żeby obliczono możliwie jak najwięcej. Jakies tam dodatki specjalne za „skomplikowaną sprawę”.

– Wezmą zgodnie z taksą.

– Ja wiem. Ale i w taksie są różne pozycje. Niech biorą według najwyższej. A tu jeszcze dla pana mecenas na koszt ewentualnych działań po mojej śmierci.

Fabrykant dewocjonalii poparł swoje słowa grubą kopertą.

– Co tam jest? – adwokat sięgnął po paczkę złożoną na biurku.

– Myślę, że pięć tysięcy złotych wystarczy. A jeżeli pan mecenas uważa, że to za mało, chętnie dołożę.

– Te pieniądze pan również wpłaci do kasy zespołu jako zaliczkę na koszt przyszłych spraw.

– Wolałbym tak prywatnie, bez zbędnych formalności, z rączki do rączki.

– U nas nie ma takiego zwyczaju. Wszelkie wpłaty klient wnosi bezpośrednio do kasy zespołu. Pan chwilę zaczeka, a ja pójde się porozumieć z kierownikiem co do przyjęcia tych depozytów.

Adwokat wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia. Jego klient wyciągnął z kieszeni popołudniówkę i zagłębił się w czytaniu względnie tylko udawał, że czyta. Musiało mu zależeć na załatwieniu sprawy z adwokatem, bo dziennik lekko drżał w jego rękach.

– Kierownik zgodził się przyjąć do depozytu obydwie koperty – oświadczył mecenas po powrocie z krótkiej konferencji.

– Bardzo panu mecenasowi dziękuję – klient zerwał się z krzeselka i wyciągnął rękę do Ruszyńskiego. – Gdyby nie to, że pan mecenas śpieszy się na ten swój sąd polubowny, to ośmieliłbym się zaprosić pana na kolację. A może, panie mecenasie? Przecież „Budapeszt” i „Szanghaj” są tak blisko. Na godzinkę...

– Dziękuję, ale doprawdy dzisiaj nie mogę. Może kiedy indziej?

– Już może nie być okazji. Kto wie, czy będę żył?

– Ależ co pan mówi? Młody mężczyzna, chłop jak dąb...

– Nieraz dąb wygląda pozornie zdrowy, a jego pień same próchno. Byle mały wietrzyk powali potężne drzewo. Tak też jest i ze mną. Wyglądam zdrowo, nie przeczę, ale rzeczywistość każe mi myśleć o szybkim uporządkowaniu swoich spraw doczesnych. Jeszcze raz dziękuję panu mecenasowi i już uciekam. Przepraszam, że zająłem tyle cennego czasu. Dokąd mam iść, żeby uregulować należność?

– Prosto tym korytarzem. Na końcu są drzwi. Za nimi kancelaria. Sekretarka wie, o co chodzi, i wszystko z panem załatwi.

– Do widzenia, panie mecenasie. Odwiedzę pana niedługo, bo mam jeszcze jedną maleńką sprawinkę. Jeden klient zarwał mnie na parę tysięcy i nie chciałbym łobuzowi tego darować.

– Proszę bardzo. Zawsze chętnie służę. Przyjmuję, jak pan wie, w poniedziałki, środy i piątki, od czwartej do szóstej. Ale proszę przyjść trochę wcześniej. Do widzenia panu.

Klient wyszedł z maleńkiego pomieszczenia, w którym urzędował adwokat, i skierował się korytarzem w stronę kancelarii 104 zespołu adwokackiego, zaś mecenas Ruszyński szybko pakował teczkę z aktami do szafy. W końcu na biurku adwokata znalazła się tylko jedna kartka papieru, właśnie ten sporządzony na maszynie testament Jareckiego. Dopiero teraz Ruszyński zauważył, że rzemieślnik nie wziął już niepotrzebnego mu świstka papieru.

W pierwszej chwili adwokat chciał iść do kancelarii i oddać klientowi jego zgubę. Ale przecież w „Szanghaju” prawie godzinę czekała na mecenasa piękna dziewczyna. Każda minuta była droga dla adwokata. A jeżeli ten nudziarz Jarecki znowu zacznie głądzić i przetrzyma swojego pełnomocnika w zespole o dalsze dziesięć minut, to czy dziewczynie nie znudzi się czekanie? Lepiej nie ryzykować.

Ruszyński otworzył swoją starą brązową teczkę i włożył do niej kartkę z maszynopisem testamentu.

– Nawet dobrze się stało – uspokajał swoje sumienie adwokackie – będę miał odpis testamentu. I to uwierzytelniony przez testatora.

Ten pośpiech sownie się Miociowi opłacił. „Ruda” jeszcze czekała w „Szanghaju”, chociaż odegrała całą scenę zagniewanej na swojego wielbiciela kobiety. Jak on mógł dopuścić do tego, aby w takiej knajpie całą godzinę samotnie sterczała przy stoliku, narażona na natrętne spojrzenia i zaczepki mężczyzn.

ROZDZIAŁ II

ŁABĘDZIE NA STAWIE I ŚMIERĆ

Żeby się waliło i paliło, choćby najważniejsze sprawy miały czekać, adwokat Mieczysław Ruszyński od lat święcie przestrzegał tradycyjnego zwyczaju. W połowie maja wyjeżdżał na trzy tygodnie do Nałęczowa. Nikomu nigdy nie dał się namówić nawet na parodniowy wyjazd gdzie indziej, na przykład do Zakopanego. Jeżeli przyjaciele proponowali mu wspólny wyjazd za granicę, udawał wielki entuzjazm takim zaproszeniem, ale po kilku dniach wynajdywał tysiące powodów, dla których akurat w tym czasie nie mógł opuścić Warszawy, albo... że na pewno nie otrzyma wkładki paszportowej, ponieważ ma stary i zniszczony dowód osobisty i wobec tego pojedzie do... Nałęczowa.

Tak też było i w tym roku. Majowe słończko silnie przygrzewało. Miecio ulokował się na wygodnej ławeczce nad stawem i z lubością wystawiał twarz pod promienie słoneczne. W gnieździe na stawie jedna z łabędzic wysiadywała jaja. Jej małżonek, duży biały łabędź, pływał w pobliżu. Reszta stada, prowadzona przez starego samca, przewalając się z nogi na nogę, dostojnie kroczyła ścieżką biegnącą wokół stawu.

Ptaki były tak bezczelne, że ludzie, chcąc nie chcąc, ustępowali im z drogi i depcząc trawniki omijali stado. A kiedy jakaś młoda para nieopatrznie zbliżyła się na niebezpieczną odległość, stary samiec nastroszył skrzydła, wydał bojowy syk i zniżając szyję szykował się do ataku. Dziewczyna uciekła na trawnik, jej chłopak za nią, a łabędzie już spokojnie poszły „swoim” szlakiem.

Mecenas uśmiechnął się obserwując tę scenę. Dobrze zhań całe stado. Każdy ptak miał imię, a wszystkie były oczkiem w głowie dyrekcji uzdrowiska. Rozpieszczane i przekarmiane przez kuracjuszy, łabędzie nie bały się niczego i nikogo.

Z błogim uczuciem pełnego zadowolenia adwokatowi nie chciało się nawet zerknąć do trzymanej na kolanach warszawskiej gazety. Leniwie rozmyślał, że dzisiaj w domach wczasowych rozpoczął się nowy turnus. Po obiedzie trzeba będzie zlustrować deptak, czy nie przyjechał ktoś znajomy. A może wśród młodych wczasowiczek znajdzie się coś interesującego? Zaś na obiad obiecywali w restauracji, której budynek widać było po przeciwnej stronie stawu, w pobliżu

zakładu zdrojowego, smaczną gąskę, natartą czosnkiem i majerankiem.

– Chyba już się piecze? Nie za tłusta, z przyrumienioną skórką – szepnął do siebie Miecio i zerkając na zegarek dodał: – za jakąś godzinkę można będzie się bliżej zainteresować tym pieczystem.

Wreszcie mecenas sięgnął po dziennik. Wzrok jego padł na krótką notatkę i nagle cały czar pięknego, słonecznego południa nad stawem w Nałęczowie od razu prysnął. Zniknęły powaby pięknych kuracjuszek i widok przyrumienionej gąski. Informacja nosiła tytuł: „ZBRODNIA CZY SAMOBÓJSTWO?”

Tekst nie był długi, ale wymowny dla mecenasasa.

„Przed dwoma dniami znaleziono pod wiaduktem mostu Poniatowskiego zmasakrowane zwłoki mężczyzny w wieku około pięćdziesięciu lat. Zabity nie miał przy sobie ani dokumentów, ani pieniędzy. Dochodzenie ustaliło, że człowiekiem tym jest Włodzimierz Jarecki, zamieszkały w Warszawie, ulica Zapogodna 24, właściciel zakładu rzemieślniczego przy ulicy Chełmińskiej 17.

Wzywa się wszystkie osoby, które były świadkami wypadku lub które mogłyby udzielić jakichkolwiek informacji na ten temat, o zgłoszenie się do Komendy Stołecznej MO, Pałac Mostowskich, pokój 307 lub do najbliższej placówki MO.”

– Cholera, to mnie drań urządził – pomyślał adwokat – taka piękna pogoda, słońce, ciepło, a tu trzeba wracać do Warszawy. Czy w ogóle uda mi się drugi raz z niej wyrwać? A tak nie chciałem przyjąć tego Jareckiego. To Franciszek mnie namówił. Trudno, jutro rano wracam.

Pomimo zmartwienia nagle przerwany wypoczynkiem mecenas zdecydował się odwiedzić restaurację i zbadać, czy pieczona gąska okazała się godna reklamy, jaką jej zrobiono. Przy stoliku spotkał drugiego entuzjastę Nałęczowa, adwokata Garosza, swojego starego przyjaciela. Tego właśnie dnia przyjechał on z Warszawy.

– Czytałeś, Mięciu, notatkę w dzisiejszym „Życiu”? – zapytał Garosz, kiedy już obydwaj panowie odbyli naradę nad kartą potraw. – Bardzo tajemnicza sprawa. Opowiadał mi jeden z oficerów milicji, że głowią się nad tym wypadkiem i nie mogą w żaden sposób rozgryźć powodów tej zbrodni.

– W gazecie wspominają o możliwości samobójstwa.

– Jakie tam samobójstwo! Faceta znajdują o czwartej w nocy – Garosz znał szczegóły sprawy, o której dziennik nie wspominał – na bruku pod wiaduktem. Nie ma przy sobie nawet chustki do nosa. Sekcja zwłok wykazuje, że ten chłop nie tylko łyknął przedtem parę większych yódek, ale także i sporą dozę środków nasennych.

– Mógł po pijanemu poleżeć na wiadukt i spaść z niego. Takie wypadki zdarzały się już nieraz w historii kryminalistyki.

– A te środki nasenne?

– Może stale je zażywał? Co wieczór o tej samej porze. To weszło u niego w zwyczaj. Wyrobił się odruch warunkowy. Więc i po pijaku je łyknął. A że nie był za trzeźwy, to zamiast jednej pastylki połknął ich całą garść. Na moście zakręciło mu się w głowie i fajtnął na zewnątrz.

– Bariery na moście są wysokie. Nie przeleciałby przez nie.

– Niech się tym milicja martwi. Mnie on i tak już narobił bigosu. Muszę przerwać urlop i natychmiast wracać do Warszawy.

– Dlaczego?

– To mój klient. Na moje nieszczęście zdeponował u mnie swój testament i jakieś pismo do milicji.

– Co w nim pisze?

– Nie wiem. Przyniósł zalakowaną kopertę. Nie znam jej zawartości. Nie chciałem się zgodzić na przyjęcie tego depozytu, ale facet bardzo prosił. Ostatecznie zdecydował o tym kierownik zespołu. On przyjął, a ja teraz będę się martwił.

– To bogaty gość?

– Robił wrażenie ciepłego. Chciał dać mi w łapę pięć tysięcy za ten depozyt do milicji.

– Nieźle.

– Zdziwił się, kiedy kazałem mu pieniądze wpłacić do kasy zespołu. Dla paru groszy będę ryzykował zawieszenie albo wylanie z adwokatury?

– Ciekawa sprawa z tą zalakowaną kopertą.

– Jutro zaniosę ten list do milicji. Może uchylą rąbka tajemnicy.

– A testament?

– Chciał wydziedziczyć żonę. Ledwie go przekonałem, żeby jej zostawił obowiązkową część, bo i tak to jej się ustawowo należy – Miecio trochę mijał się z prawdą, przypisując sobie więcej zasług, niż miał w rzeczywistości. – Cały majątek zapisał jakiemuś

facetowi, który ocalił mu życie w czasie Powstania Warszawskiego.

– Dużo tego?

– Warsztat rzemieślniczy, narzędzia, maszyny, towar, samochód dostawczy, a nawet należności za sprzedany już towar. Myślę, że niewąski spadek. Co najmniej milion albo i więcej.

– Co on robił?

– Dewocjonalia.

– Rozumiem! Biedny nie był. Przypuszczam, że zaplątał się w jakieś niezbyt czyste sprawy. Może naraził się konkurencji? Przeczuwał, że grozi mu niebezpieczeństwo i wołał się asekurować. Stąd ten testament i ten list do milicji. Będziesz miał, Mięciu, ciekawą sprawę. A finansowo także dobrą, jako wykonawca testamentu. Jeszcze może być proces o obalenie tego zapisu. Czy żona dostała pełny zachówek? [Leszek.J.]

– Trudno coś powiedzieć. Zapisał jej mieszkanie spółdzielcze, samochód osobowy i książeczki PKO. Ile w nich wkładu, nie wymieniał. A jaką wartość przedstawia ten religijny interes? Dopiero biegli oszacują. Ale testamentu nie obalą. Jest krótki, prosty i zupełnie jasny. Co najwyżej ten Kowalski, bo tak nazywa się spadkobierca, będzie musiał wyrównać wdowie do pełnej wysokości zachowka.

– Przeczucie mi mówi, Mięciu, że będziesz miał z tą sprawą niejedną zgryz.

– Nie kr acz. Jestem wściekły na Franciszka, że mnie w to wrobił.

– To znajomy naszego woźnego?

– Nie. Ale przyszedł do zespołu, kiedy już wychodziłem. Pewnie obiecał coś Franciszkowi, bo ten bardzo mnie namawiał, abym jednak przyjął Jareckiego. No i wpadłem.

– Nie wpadłeś, nie wpadłeś, dobrze na tym zarobisz.

– Ale muszę wracać do Warszawy. Gdyby nie ten list do milicji, udawałbym, że o niczym nie wiem. Kierownik ma testament w swojej kasie, więc zarządziłby, co trzeba. Ale w tej sytuacji, sam rozumiesz, muszę natychmiast jechać do Warszawy. Zbyt tajemniczy jest zgon mojego klienta.

– Wrócisz za dwa, trzy dni – pocieszał przyjaciela adwokat Garosz. – Pogoda utrzyma się co najmniej przez następne dwa tygodnie.

– W pogodę nie wątpię, ale w swój szybki powrót tutaj – tym razem, i słusznie, Miecio był pesymistą.

Adwokat Ruszyński znał w Komendzie Stołecznej MO prawie wszystkich wyższych oficerów. Często stykał się z nimi w pracy zawodowej, z niektórymi utrzymywał także stosunki towarzyskie. Toteż zaraz po powrocie do Warszawy zatelefonował do pułkownika Ałbinowskiego. Od niego dowiedział się, że dochodzenie w sprawie tajemniczego wypadku na wiadukcie prowadzi major Leszek Kalinowicz, zresztą także znajomy mecenas. Umówienie się z majorem było kwestią następnego telefonu.

– Ciężka sprawa – tymi słowami oficer milicji powitał adwokata w swoim pokoju w Pałacu Mostowskich. – Faceta znaleziono bez żadnych dokumentów. Okoliczności wskazują na popełnienie zbrodni, a nie ma żadnego punktu zahaczenia. Jedyne, bardzo nikły ślad, to zeznanie pewnego taksówkarza, który zgłosił się do nas z informacją. Owej nocy, gdzieś po godzinie drugiej, wiózł jakiegoś pasażera z Saskiej Kępy do śródmieścia i na wiadukcie zauważył stojącą syrenę. Poza nim nie mamy żadnego świadka, jeżeli kierowcę można za takiego uznać.

– Może ja będę mógł rzucić trochę światła na tę sprawę – Mieczysław Ruszyński opowiedział o niecodziennym kliencie i zdeponowanych przez niego kopertach.

– Macie, mecenasie, ten list? – major nie ukrywał swojego zainteresowania.

– Tak, przyniosłem go. Testamentu nie brałem, bo nie przypuszczam, żeby w tej chwili był potrzebny, ale doskonale znam jego treść.

– Głupstwo testament. Mamy na to czas – major dokładnie oglądał list. – Muszę stwierdzić – zauważył badając pieczęcie lakowe – że jest bardzo fachowo zapieczętowany. Facetowi okropnie zależało, żeby nikt tego listu przedwcześnie nie przeczytał. Nawet swojemu adwokatowi nie dowierzał.

– To wcale nie był mój stały klient. Widziałem go raz w życiu. Właśnie wtedy, kiedy na swoją biedę przyjąłem ten depozyt.

– Zobaczymy, co jest w środku – major wyjął scyzoryk i delikatnie ściał nim pieczęć, rozprostował druciki, a potem usunął tkwiący pod pieczęcią spinacz. Teraz, nie ruszając pozostałych pieczęci, a było ich na liście razem z usuniętą aż pięć, rozciął kant koperty i wydobyl ze środka arkusz papieru pokrytego pismem maszynowym. Uważnie przeczytał jego treść i podając pismo adwokatowi dorzucił: – A to filut! Sprytnie się urządził. Niech pan czyta, jak sobie zakpił z nas wszystkich. Zresztą podaje rozsądne motywy swojej decyzji.

„Do Milicji Obywatelskiej

Do pana oficera prowadzącego śledztwo po mojej śmierci. Milicja znalazła moje ciało pod wiaduktem mostu Poniatowskiego. Bez żadnych dokumentów, bez najmniejszej rzeczy w kieszeniach. Sekcja zwłok stwierdziła użycie alkoholu i środków nasennych.

Wszystko wygląda na popełnioną zbrodnię. O to mi specjalnie chodziło. Przecież właściciel warsztatu rzemieślniczego zajmującego się wyrobem dewocjonalii nie może popełnić samobójstwa. To byłoby grobem nie tylko dla niego, ale i dla interesu. Żaden ksiądz nie da zamówienia takiemu warsztatowi. Dlatego musiałem swoje samobójstwo upozorować na zbrodnię i rabunek. Mój portfel z pieniędzmi i dokumentami milicja znajdzie w warsztacie za deską od licznika. Tam też schowałem i zegarek.

Samobójstwo popełniam, gdyż jestem śmiertelnie chory na raka. Czekają mnie zaledwie kilka miesięcy życia w strasznych męczarniach. Wolałem tego uniknąć. Przepraszam za zamieszanie, jakie sprawiłem milicji, i jeszcze raz proszę o dochowanie sekretu. O moim samobójstwie proszę nie informować nikogo, nawet mojej żony. Najwyżej mecenasa Ruszyńskiego, którego jako adwokata zobowiązuję także, do zachowania tajemnicy. Z góry dziękuję za spełnienie mojej prośby

Włodzimierz Jarecki”

List nie nosił daty. To było zupełnie zrozumiałe. Wtedy, gdy Jarecki go pisał, nie mógł przewidzieć ścisłej daty swojego rozpaczliwego kroku.

– No i co? – zapytał adwokat, oddając majorowi pismo samobójcy.

– Czy może pan, mecenasie, złożyć oświadczenie, że list ten został panu doręczony przez Włodzimierza Jareckiego w kwietniu bieżącego roku?

– Naturalnie. W razie potrzeby potwierdzi to również i sekretarka naszego zespołu, pani Jadwiga Miłakowa. To właśnie ona przygotowywała odpowiednie dokumenty, konieczne do przyjęcia depozytu, i zetknęła się bezpośrednio z Jareckim, który jej wręczył obydwie koperty. Tę z testamentem i tę do milicji.

– Doskonale – powiedział major. – Zaraz napiszemy krótki protokół z przesłuchania świadka, adwokata Mieczysława Ruszyńskiego, i do tego protokołu dołączę przyniesiony przez pana list. Wszystko prześlę prokuratorowi, niech on decyduje. Zapewne umorzy śledztwo. Napracowałem się nad tą sprawą i na próżno straciłem kilka dni.

– Wczoraj przeczytałem notatkę w prasie, a dzisiaj jestem u pana, chyba szybciej nie można było – adwokat poczuł się nieco urażony.

– Nie pańska wina, mecenasie... Ale Jarecki niepotrzebnie skakał z mostu...

– Jak to?

– Sekcję zwłok przeprowadzono bardzo sumiennie. Przecież podejrzewaliśmy zbrodnię. A jednak nie stwierdzono nowotworu u Jareckiego. Orzeczenie lekarskie głosi, że jak na swoje lata był to człowiek bardzo zdrowy i pełen sił witalnych.

– Widocznie miał na tym punkcie jakąś manię i tak wmówił w siebie raka, że aż popełnił samobójstwo. W rozmowie ze mną wspominał nawet o tym, że tylko pozornie wygląda tak zdrowo, „ale w rzeczywistości trzeba myśleć o uporządkowaniu swoich doczesnych spraw”. Przytoczyłem dosłownie jego wypowiedź.

– Jego rzecz. Niech się teraz martwi tym prokurator.

– Niestety, i ja również – westchnął mecenas Ruszyński. – Mam testament, a także zaliczkę na kosztą zrealizowania ostatniej woli zmarłego.

– No cóż, ładny spadek. Można powinszować temu, kto go odziedziczy, a panu niezłego honorarium. Życzę powodzenia i szybkiego załatwienia tej sprawy – tymi słowami major pożegnał adwokata.

ROZDZIAŁ III

DZIWNY SPADKOBIERCA

Przed przystąpieniem do załatwienia formalności związanych z testamentem "Włodzimierza Jareckiego, adwokat Mieczysław Ruszyński musiał wezwać spadkobierców. Chciał ich poinformować o treści ostatniej woli zmarłego, a także poznać ich osobiście. Teraz, w trakcie wprowadzania w życie postanowień testamentowych, miał się z nimi częściej stykać.

Pani Barbara Jarecka, cała w czerni, jak przystało na wdowę zrozpaczoną po stracie męża w tak tragicznych okolicznościach, prezentowała typ kobiety, której uroda osiągnęła właśnie swoje apogeum. Mogła mieć trzydzieści kilka lat. Włosy czarne albo zrobione na kruczo, twarz pociągła, skóra śniada, mocno opalona. Figura szczupła, wzrost gdzieś około stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów. Mecenas Ruszyński ocenił klientkę jednym rzutem oka i zakwalifikował zwięźle:

– Klasa. Wysoka klasa!

Kobieta zaskoczona była treścią testamentu.

– Mąż nieraz wspominał o Powstaniu Warszawskim i o tym, że jakiś przyjaciel uratował mu życie. Opowiadał zawsze, że raniono go w czasie akcji na Uniwersytet, a jego dowódca pod silnym ogniem hitlerowców doczołgał się do niego i przeniósł do swoich. Ale nie o to mi chodzi. Majątek był Włodka, mógł go zapisać komukolwiek, dlaczego jednak umieścił to zdanie „więcej jej się nic nie należy, ona sama dobrze wie dlaczego”. Wiedział, z kim się żeni. A od chwili ślubu nikt nic nie może mi zarzucić. To mnie najbardziej boli. Kochałam go. Był dla mnie zawsze bardzo dobry. Więc dlaczego...

Piękna pani sięgnęła po chusteczkę i otarła łzy. Adwokat z lekkim zdziwieniem zauważył, że ten płacz nie był udany.

Jarecka szybko się uspokoiła.

– Dziwię się również – powiedziała – że temu człowiekowi, nigdy go zresztą nie widziałam, mąż zapisał warsztat. To specjalna produkcja. Trzeba się na tym dobrze znać. Inaczej wszystko pójdzie na marne. Od przeszło trzech lat właściwie ja sama zajmowałam się i kierowałam wytwórnią. Włodek wziął na siebie całą stronę handlową. Postanowienie testamentu zmusza mnie do odejścia stamtąd, mimo że włożyłam w ten warsztat tyle pracy. Przykro będzie patrzeć, jak to wszystko potoczy się ku ruinie – powtórzyła.

– Może nie będzie aż tak źle? Co do pracy i kierowania produkcją, może pani dojdzie do porozumienia z panem Stanisławem Kowalskimi. Jeżeli nie zna się na tym, na pewno skorzysta z propozycji.

– Palcem nie ruszę!

– Czy ostatnio zaszły między panią a jej mężem jakieś nieporozumienia?

– Nie. Byliśmy naprawdę, nie muszę dzisiaj udawać, bo to nie zmieni faktów, dobrym i kochającym się małżeństwem. Nie przeczę, wychodziłam za mąż za Jareckiego dla jego pieniędzy i dlatego, że chciałam się wyrwać ze środowiska, w jakim przebywałam. Ale potem szczerze polubiłam i pokochałam tego człowieka. Tym bardziej boli mnie krzywda, jakiej niezastąpienie doznałam. Wiadomość o zamordowaniu Włodka spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Nie było mnie wtedy w Warszawie, wyjechałam na dwa tygodnie do Zakopanego. Właśnie tym samochodem, który mąż łaskawie mi zostawił...

– Przepraszam za, może niedyskretne, pytanie: czy pan Jarecki pił?

– Jak to mężczyzna. Mógł nie brać kropli wódki do ust przez całe miesiące, a kiedy zdarzyła się okazja, to i dwie ćwiartki było mało.

– Czy chorował? Skarżył się na jakieś bóle?

– Poza grypą, na którą czasami zapadał, nigdy.

– Brał jakieś lekarstwa, środki nasenne?

– On? Większego śpiocha w życiu nie widziałam. Tylko głowę przytknął do poduszki, już natychmiast zasypiał. Milicja przesłuchiwała mnie kilka razy. Oni także szukali jakiegoś powodu tego bezsensownego morderstwa. Włodek nie miał żadnych wrogów. W interesach był bardzo solidny. Nigdy nie

pozwolił sobie na najmniejsze nawet kanty. Nigdy nie kupił surowca „na lewo”. W latach naszego małżeństwa Wydział Finansowy ani razu nie zakwestionował jego zeznań podatkowych. Kto mógł go zamordować i dlaczego? Obawiam się, że milicja nigdy nie znajdzie sprawców zbrodni.

– Ja też się tego obawiam – przytaknął adwokat, nie mogąc zdradzić znanej mu prawdy o samobójstwie Jareckiego. – Przypuszczam, że jacyś chuligani zauważyli podpitego mężczyznę i zorientowali się, że ma przy sobie sporo pieniędzy. Wywabili go na wiadukt. Tam w nocy jest pusto i nie za jasno. Może chcieli jedynie obrabować, ale przy szamotaniu pan Jarecki wypadł przez balustradę?

– Może tak było, jak pan mecenas mówi, ale trudno mi w to uwierzyć – pani Barbara nie była przekonana – Włodek nie miał zwyczaju pić z nieznajomymi. W ogóle nie lubił zabaw w lokalach. Jeżeli pił, to albo w domu, albo. u przyjaciół. Czasem z klientami w warsztacie, ale bardzo rzadko.

– Wracając do spraw spadkowych – adwokat przeszedł do rzeczywistości – otrzymuje pani w spadku to wszystko, co mąż dał jej za życia. Czy są takie przedmioty?

– Trochę biżuterii.

– Dostała ją pani przed czy po ślubie?

– Dopiero po ślubie.

– Przy spisywaniu masy spadkowej proszę koniecznie zaznaczyć ten szczegół. Do spadku wejdzie jedynie połowa wartości tych kosztowności. Jako nabyte w małżeństwie, uważa się, że zostały, zakupione za wspólne dochody obojga małżonków.

– To słusznie. Przecież ja także pracowałam w warsztacie, a pensji nie pobierałam.

– A książeczki?

– Są cztery książeczki samochodowe. Jedna z pięcioprocentowym wkładem na dwieście tysięcy złotych. Dwie zwykłe, na których trzymaliśmy bieżącą gotówkę. Miałam stałe upoważnienie do podnoszenia pieniędzy. Na obydwu jest w tej chwili około stu. trzydziestu tysięcy. Mamy również rachunek czekowy, ponieważ niektórzy klienci wpłacali należności przelewami. Ale tam nigdy nie było dużo gotówki.

– To jest konto firmy, a więc ono również przypada panu Kowalskiemu. Testament wyraźnie to stwierdza.

A co do tych książeczek, to z chwilą śmierci pana Jareckiego upoważnienie pani do podnoszenia pieniędzy wygasło do czasu ukończenia postępowania spadkowego. I w tym przypadku połowa całej gotówki znajdującej się na książeczkach wejdzie do masy spadkowej. Druga natomiast stanowi wyłączną własność pani, jako wspólny dorobek w małżeństwie. W ten sposób obliczy się całą masę spadkową i wówczas dopiero będzie można stwierdzić, czy testament przypadkiem pani nie skrzywdził i czy dostaje pani należną jej połowę majątku po mężu.

– To wszystko jest zbyt skomplikowane dla mojej skołatanej głowy!

– Zgadzam się z panią. Dlatego radziłbym wziąć adwokata. On by dopilnował, aby w postępowaniu spadkowym wywalczyć to, co słusznie pani się należy. Ustawowo ma pani prawo do połowy spadku i do połowy wspólnego dorobku. Cała masa spadkowa wyceniona zostanie przez biegłych i dopiero wówczas zorientujemy się, czy ewentualnie drugi spadkobierca, pan Kowalski, nie musi pani wyrównać jej należności. Dlatego właśnie radzę pani wziąć adwokata, który upora się z tymi skomplikowanymi sprawami. Zna pani kogoś?

– Raczej nie.

– To nie ma wielkiego znaczenia. W każdym zespole, choćby nawet u nas, kierownik zespołu wskaże pani odpowiedniego specjalistę.

– Dziękuję za życzliwość. Chyba skorzystam z pańskiej rady.

– Proszę mnie zrozumieć. Ja nie jestem zainteresowany w tym spadku. Przeciwnie, zależy mi jak najbardziej, żeby podział odbył się zgodnie z przepisami prawa i żeby każde z was: pani i pan Kowalski, otrzymało należną im część. Taka przecież była wola zmarłego. Jeżeli pani czuje się pokrzywdzona tym testamentem, a potwierdzi to pani adwokat, można wszcząć postępowanie o obalenie zapisu. Chociaż, moim zdaniem, szanse wygrania takiego procesu byłyby minimalne, a nawet żadne. Ale są to już kwestie do omówienia z pani pełnomocnikiem.

– Nie będę obalała testamentu. Nie mam najmniejszego zamiaru kwestionować woli mojego zmarłego męża. Nie mogę jednak zrozumieć, dlaczego on tak napisał...

Po wyjściu Jareckiej, Mieczysław Ruszyński długo zastanawiał się na tą dziwną sprawą. Testament był jasny i nie do obalenia. Dla znakomitego prawnika nie uległo to żadnej wątpliwości. Niemniej doświadczony adwokat czuł, że w całej historii kryje się coś podejrzanego. Znał, w przeciwieństwie do Barbary Jareckiej, całą prawdę. Ta prawda zawierała jednak zbyt dużo szczegółów niezgodnych ze sobą, a nawet przeczących sobie. Człowiek, rzeczywiście chory na raka lub choćby to sobie jedynie wmówił, nie zapada w sen natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki. Sprytny, robiący forszę przedsiębiorca, wesoły, lubiący wypić, nie jest typem neurastenika, który opanowany jakąś manią organizuje skomplikowane samobójstwo. Jednakże mecenas dobrze wiedział, że człowiek człowiekowi nierówny, niejednakowy ma sposób myślenia i odczuć, tym bardziej różna jest psychika samobójcy. Niedawno Ruszyński sam zetknął się z niecodziennym wypadkiem. Młoda dziewczyna, córka jego przyjaciół, otruła się gazem na dwa tygodnie przed ślubem, zostawiając listy do rodziców i do narzeczonego, że „czyni to z nadmiaru szczęścia, które przecież nie może wiecznie trwać”.

–A swoją drogą, co tam było to było, jednak ten Jarecki okazał się trochę świnia – stwierdził adwokat.

Z półsłówek pięknej pani wynikało niedwuznacznie, że nie była ona przed ślubem święta. O tym rzemieślnik musiał doskonale wiedzieć. Zresztą mężczyzna żeniący się z o dwadzieścia lat młodszą od siebie dziewczyną zawsze ponosi tego rodzaju ryzyko. Ale później ta kobieta przez siedem lat tyrała w warsztacie. Dlaczego te złośliwości w testamencie i pozbawianie jej pracy? Kowalskiemu można było zapisać wysoki legat gotówką. Choćby nawet równy połowie spadku, a warsztat zostawić w rękach tego, kto nim dotychczas kierował.

Losem Jareckiej Ruszyński bynajmniej się nie przejmował. Spółdzielcze mieszkanie, samochód zagranicznej marki i poważna kwota w gotówce, a przede wszystkim nieprzeciętna uroda tej kobiety nie dawały powodu do martwienia się jej przyszłością. Mimo to mecenas czuł pewien niesmak po rozmowie z kruczowłosą panią. Uważał, że ją naprawdę spotkała krzywda.

Do boksu, bo duże pokoje podzielono drewnianymi ściankami na malutkie boksy, w których adwokaci przyjmowali klientów, wszedł kierownik zespołu.

– Słuchaj, Mięciu – powiedział – zgłosiła się do mnie pani Barbara Jarecka w sprawie spadkowej. Poleciałem jej kolegę Resiewicza. Chyba nie ma żadnej kolizji?

– Skądże znowu. Po prostu jako depozytariusz testamentu zmarłego prowadzę odpowiednie czynności prawne. A Henio niech się zajmuje obroną interesów swojej klientki. Rozliczenia będą bardzo skomplikowane, bo w masie spadkowej jest warsztat rzemieślniczy, surowce, już wykonane wyroby, należności klientowskie, maszyny, dwa samochody, mieszkanie spółdzielcze. Resiewicz będzie miał roboty po uszy. Wolę jego niż kogoś innego. Ja nie jestem osobiście zainteresowany. Jeżeli chcą, niech nawet wnoszą o obalenie testamentu. Wtedy, oczywiście, będę bronił treści jego postanowień.

– W takim razie w porządku. Tyle ci chciałem powiedzieć.

Teraz adwokata Ruszyńskiego czekała rozmowa z drugim spadkobiercą, Stanisławem Kowalskim z Wołomina.

Przyszły milioner zjawił się w dwa dni później. Zakomunikował to adwokatowi woźny Franciszek.

– Jeszcze jakaś łajza do pana mecenasa.

– Kto?

– Taki jakiś, jakby prosto z więzienia albo z cyrku. Jest trochę na cyku. Mówi, że pan go wezwał. Pokazywał jakąś kopertę, ale listu nie czytałem.

– Może to Stanisław Kowalski, ten spadkobierca z Wołomina? Nikogo innego nie wzywałem. Niech pan go prosi.

Klient ubrany był dość oryginalnie. W żółtą koszulę, podobną do kolarskiej. Na niej nosił jaskrawo czerwony sweter. Na widok klienta Mieczysław Ruszyński stłumił uczucie zdziwienia. Ten niski, szczupły mężczyzna, nie ogolony co najmniej od dwóch dni i nie strzyżony od miesięcy, był znacznie młodszy niż na podstawie testamentu sądził adwokat. Wyglądał najwyżej na trzydzieści osiem lat. „Subtelny” zapach rozsiewany przez przybyłego pozwalał się domyślić, że próbował on znakomitych wyrobów monopolu spirytusowego i podparł je przynajmniej dwoma piwkami.

– Proszę, niech pan siada– mecenas starał się wobec tego klienta być tak wytwornym, jak gdyby rozmawiał z księciem Walii.

– Domyśla się pan, w jakiej sprawie pana wezwałem?

– Właśnie. Zmarło się kochanemu Włodzowi Jareckiemu. To był człowiek, panie mecenasie. Samo złoto.

– Pan podobno ocalił mu życie?

– Tymi rękoma wydrapałem go spod gruzów. Włódzio zawsze mówił: „nigdy ci tego, Stasiu, nie zapomnę, możesz być pewny”. Rzeczywiście nie zapomniał, chociaż czekać musiałem na tę wdzięczność diablo długo.

– Pan zna treść testamentu? – zdziwił się adwokat.

– Co bym miał nie znać? Sam nieboszczyk mi wspominał, że z jego śmiercią cały warsztat jest mój. Mało to razy tak powiadał?

– Formalności trochę potrwają. Biegli oszacują całą masę spadkową. Uprzedzam pana, że może zaistnieć taka sytuacja, że będzie pan musiał wyrównać pani Barbarze Jareckiej przypadającą na nią część spadku do wysokości ustawowego zachowka.

– Nie rozumiem? Ja jej przecież nic nie jestem winien.

Adwokat długo i szeroko wtajemniczał swojego klienta w tajniki prawa spadkowego, lecz raczej bez większego rezultatu.

– A ile to jest warte, panie mecenasie?

– Co? Zachówek?

– No ten warsztat, który dostałem od Włodzia?

– To dopiero oszacują biegli.

– Ale tak na oko?

– Sądzę – adwokat był ostrożny – że jakieś sześćset, może siedemset tysięcy złotych. Może nawet więcej.

– Panie mecenasie, a gdyby tak szybko opchnąć, ile dadzą?

– Doprawdy nie orientuję się.

– Pan mecenas by nie kupił? Tak od razu? Tanio bym sprzedał. Daj pan trzytę nalepek i martw, się pan o resztę. Co będzie potrzeba, podpiszę.

– Przede wszystkim nie handluję spadkami – zachnął się adwokat – a po drugie będzie pan mógł sprzedawać dopiero po zakończeniu postępowania spadkowego.

– To znaczy kiedy?

– Sądzę, że za jakieś dwa, trzy miesiące.

– O rany – jęknął facet w czerwonym swetrze. – A szybciej nie można? Odpaliłbym ze swojej doli komu potrzeba, żeby popchnąć. Sam pan wie, posmarujesz, prędzej pojedziesz. Pan mecenas też by więcej zarobił.

– To nie u nas i nie w sądzie.

– A za dwieście tysięcy pan mecenas by nie kupił całego kramu?

– Już panu powiedziałem, że spadkami nie handluję.

– Czy ja mówię o handlu? To dobry fach, takie święte medaliki klepać. Sztanca tłucze i pieniądze lecą. Co tu pan zarobi? Ze sześć, siedem patyków. A wie pan, ile Władzio wyciągał z tego? Nie wiedział, na co forszę wydawać. Jednym samochodem jeździł do pracy, drugim towar rozwoził. A sztance same na niego pracowały. Ja nie mam zdrowia do takiego interesu, za delikatny jestem. Pan mecenas rzuciłby w pioruny tę swoją klatkę, w której pan siedzi, i wziął się za uczciwą pracę. Dwieście tysięcy to taniocha za taki warsztat. No jak?

– Nie przejdzie – adwokat wpadł w ton klienta.

– Panie mecenasie, jak Boga kocham, nie mógłby mi pan trochę forsy pożyczyć na rachunek tego spadku? Tak z pięć patyków. Bardzo jestem potrzebowski.

– Niestety, nie.

– Przecież bym oddał. Procentu też bym nie pożalował.

– Nie przejdzie.

– Twardy z pana człowiek, mecenasie.

– Trudno. Taki już jestem.

– A może by pan wiedział o kimś, kto by kupił ten cały baję?

– Przecież już panu wyjaśniłem, że będzie pan mógł sprzedać dopiero po zakończeniu postępowania spadkowego. Nie wcześniej.

– Ja bym sprzedał takiemu, co idzie na ryzyko. Tanio, ale forsa na stół. Może mecenas zna kogoś z pieniędzmi, kto by chciał dobrze zarobić?

– Nie znam. Ale czy pan musi sprzedawać?

– Nie będę zajmował się robieniem wszystkich świętych pańskich. To nie dla mnie. Ja lubię szybki grosz. Nie mam zdrowia na to.

– Niech pan porozumie się z panią Barbarą Jarecką. Ona prowadziła ten interes z mężem. Może pan się z nią dogada,

żeby nadal kierowała firmą. Na pensji albo na procencie. Miałby pan wtedy spokój i pieniądze.

– Twarda baba. Nigdy nie chciała skredytować mi towaru nawet na dwie setki. Nie to co Włodzio, który zawsze mówił: „dla ciebie, mój zbawco, wszystko, bierz, co ci się podoba”.

– Pan też z tej branży?

– Jakiej tam branży! Handluje się, czym popadnie. Czasem na odpust w Radzyminie brało się różności od Jareckiego... – Stanisław Kowalski nagle zamilkł, jak gdyby w obawie, że i tak zbyt wiele powiedział.

– Radzę panu uczynić to samo, co pani Barbara Jarecka. Powinien pan dać pełnomocnictwo jakiemuś adwokatowi, żeby zajął się sprawami związanymi ze spadkiem. To bardzo ułatwi i przyspieszy załatwienie wszelkich formalności.

– A po co? Musiałbym mu płacić. A z czego? Sprzedać tobym to wszystko sprzedał, ale jeszcze w to pieniądze pakować? Nie ma głupich.

– Jak pan uważa. Moim zdaniem, powtarzam, powinien pan powierzyć jakiemuś adwokatowi prowadzenie sprawy.

– Ja sam jestem najlepszym dla siebie adwokatem. Jeszcze się taki nie urodził, który by mnie wyrolował.

– Tu nie chodzi o żadne, jak pan to nazywa, „wyrolowanie” – mecenas starał się nie tracić spokoju. – Po prostu sprawa wymaga znajomości prawa, więc adwokat bardzo by się panu przydał. Poza tym oszczędziłby pan sobie częstego chodzenia do sądu dla załatwiania rozmaitych formalności.

– A co to sąd nie dla ludzi, panie mecenasie?

Mieczysław Ruszyński nie od razu odpowiedział. Jego klient coraz bardziej go zdumiewał. Wyrażenie, jakiego użył przed chwilą szanowny spadkobierca zacnego rzemieślnika, adwokat znał bardzo dobrze. Było to ulubione powiedzonko kryminalistów. Czyżby Kowalski należał do ich grona?

– Jak pan chce, panie Kowalski. Poproszę tylko o pańskie personalia. Są mi one potrzebne przy wnoszeniu sprawy do sądu. Może również złoży pan oświadczenie, że przyjmuje pan ten spadek.

– Głupi byłbym, żebym odrzucał to, co mi samo w łapy włązi.

– Dobrze. Zaraz sekretarka przygotowuje odpowiedni dokument. Proszę o pański dowód.

- Kiedy ja nie mam.
 - Nie ma pan dowodu osobistego?!
 - Nie wziąłem ze sobą.
 - Przecież w liście, jaki wysłałem do pana, prosiłem o zgłoszenie się z dowodem osobistym. Wyraźnie to napisałem.
 - Zapomniałem, panie mecenasie. Słabą mam pamięć.
 - Trudno. Niech pan mi poda swoje personalia.
 - Znaczący kiedy się urodziłem?
 - Tak. A także imiona rodziców i nazwisko panieńskie matki oraz miejsce urodzenia.
 - U pana mecenasie to tak jak w milicji.
 - To jest potrzebne, panie Kowalski, do sądu.
 - Rozumiem. Tylko tak sobie powiedziałem. Pisz pan: Stanisław Kowalski. Syn Jana i Marii z domu Bednarek. Urodzony wieś Struga Wielka pod Radzyminem. Wystarczy?
 - A data urodzenia?
- Kowalski zawahał się na moment.
- Piętnastego listopada dwudziestego trzeciego roku – odpowiedział.
- Adwokat zapisał, dane i na kilka minut zostawił klienta samego. Powrócił z napisanym na maszynie oświadczeniem, że Stanisław Kowalski, syn Jana i Marii z domu Bednarek, urodzony 15.XI.1923 roku we wsi Struga Wielka, powiat Radzymin, po zapoznaniu się z treścią testamentu Włodzimierza Jareckiego oświadczył, iż spadek przyjmuje z dobrodziejstwem inwentarza.
- Proszę to podpisać.
- Kowalski złożył swój podpis. Z wyglądu tego autografu widać było wyraźnie, że sztuka pisania nie jest najsilniejszą bronią tego człowieka i że dość rzadko musi on z niej korzystać.
- Jak na swój wiek, bardzo młodo pan wygląda – za uważył Ruszyński.
 - Ja tak zawsze. Jeszcze kiedy stawałem na komisję wojskową, to major śmiał się, że przyszedłem za starszego brata.
 - No to, panie Kowalski, na razie wszystko załatwiliśmy. Otrzyma pan wezwanie z sądu. A gdybym czegoś od pana potrzebował, to napiszę do Wołomina.
 - Panie mecenasie, a żadnych kosztów w sądzie nie będę musiał płacić? – zaniepokoił się. właściciel czerwonego swetra.

– Na kosztą postępowania sądowego pan Jarecki zostawił przed śmiercią zaliczkę.

– Włódzio zawsze był porządnym chłopem – twarz Kowalskiego rozjaśniła się. Informacja adwokata wyraźnie ucieszyła spadkobiercę. Chciał się jednak upewnić – czy ta zaliczka aby starczy?

– Starczy – roześmiał się adwokat.

Mimo tego zapewnienia klient nie ruszał się z miejsca.

– No to do widzenia, panie Kowalski – Ruszyński podniósł się z krzesła, dając tym do zrozumienia, że skończył rozmowę.

– Panie mecenasie – prosił szczęśliwy spadkobierca – nie bądź pan taki twardzioch. Odpal pan choć ze dwie stowy. Taki jestem mortusowy, nie mam nawet na piwo. Oddam, jak Boga kocham, oddam. Z tego spadku.

Cóż było robić? Mecenas sięgnął do portfela i podał dziwnemu klientowi dwa czerwone papierki.

ROZDZIAŁ IV

DAWNE DZIEJE

Adwokat Mieczysław Ruszyński wszczął kroki prawne dla zrealizowania ostatniej woli zmarłego Włodzimierza Jareckiego. Mecenas już nie wrócił do Nałęczowa, bo na domiar złego obdarzono go „urzędówką” w procesie o nadużycia w przemyśle budowlanym. Proces miał się ciągnąć co najmniej dwa miesiące. Trzeba było pożegnać się w tym roku z łabędziami na stawie.

Pewnego dnia, kiedy adwokat urzędował w swojej „klatce” w zespole, woźny Franciszek wprowadził nowego interesanta. Starszy pan o srebrnej czuprynie, regularnych rysach i dziwnie młodych oczach, miał w klapie marynarki parę wstążeczek orderowych, między innymi „virtuti militari”.

– Leśniak jestem – przedstawił się. – Andrzej Leśniak.

– Słucham pana – ten klient już od pierwszego spojrzenia wywarł na adwokacie bardzo przyjemne wrażenie.

– Przychodzę w sprawie śmierci Włodzimierza Jareckiego. Byłem jego długoletnim przyjacielem. Zupełnie nie mogę zrozumieć jego testamentu. Kiedy dowiedziałem się o nim od pani Basi, mało mnie szlag nie trafił.

Mecenas rozłożył ręce.

– Trudno na ten temat dyskutować. Wierzę, że pani Jareckiej nie podoba się ostatnia wola zmarłego. Może nawet i słusznie. Ale cóż poradzimy? Testament jest testamentem. Kiedy rozmawiałem z żoną zmarłego, poinformowałem ją, że może wszcząć postępowanie o obalenie testamentu, ale ma minimalne szanse.

– Ten Włodek zupełnie zwariował.

– Nic na to nie poradzę.

– Przecież „Sęp” nie żyje.

– Jaki „Sęp”?

– Porucznik „Sęp”, nasz dowódca w czasie Powstania Warszawskiego, później podpułkownik Stanisław Kowalski.

– Z panem Stanisławem Kowalskim, jednym ze spadkobierców Włodzimierza Jareckiego, rozmawiałem nie dalej jak tydzień temu.

– Dlatego twierdzę, że Jarecki musiał mieć przed śmiercią trochę nie w porządku pod strzechą. Zapisuje swój majątek Stanisławowi Kowalskiemu, który w Powstaniu Warszawskim uratował mu życie, a tymczasem człowiek, który tego dokonał, zmarł przed kilku laty, o czym Włodek doskonale wiedział, bo przecież był na pogrzebie „Sępa”. A Kowalski z Wołomina nie ma nic wspólnego z tamtą historią.

– Pan sądzi, że w tym przypadku zdarzył się „error in persona”, błąd co do osoby spadkobiercy?

– Właśnie tak myślę, jak to ładnie pan mecenas nazwał po łacinie. Włodek musiał mieć daleko posuniętą sklerozę, skoro zapomniał, że „Sęp”, podpułkownik Stanisław Kowalski, nie żyje, i zapisał warsztat zupełnie innemu Kowalskiemu.

– Rozmawiałem z panem Stanisławem Kowalskim. On potwierdza, że odkopał Jareckiego spod gruzów, a potem odtransportował go do Pruszkowa. To zgadza się z tym, co opowiadał mi sam testator, kiedy przyszedł do mnie, aby zdeponować swoją ostatnią wolę.

– Przedziwna historia. Jeżeli Jarecki sam panu to opowiadał, nie mógł być przy zdrowych zmysłach!

– Przypominam sobie, Włodzimierz Jarecki wyraźnie powiedział, że jego pierwsza żona wraz z jedynym dzieckiem zginęła pod gruzami, a jego, Jareckiego, „Stanisław Kowalski odkopał z gruzów i przywrócił życiu”.

– Panie, to nieprawda! Rzeczywiście, żona i dziecko Włodka zginęli gdzieś na Starówce. Włodek dowiedział się o tym już po upadku powstania. Nigdy zresztą ich grobu nie odnalazł. O ile w ogóle mieli jakiś grób, a nie spłonęli w jednym z domów na ulicy Długiej, bo tam podobno uciekli, kiedy ich mieszkanie na Zakroczymskiej zburzyła „krowa”. Przez cały czas Jarecki był razem ze mną w jednym oddziale. Walczyliśmy w śródmieściu. Nigdy nie był pod gruzami. Wiem o tym doskonale. Mogę za to dać głowę.

– Nic nie rozumiem.

– Widzę, że muszę _ panu mecenasowi opowiedzieć wszystko od samego początku. Kiedy pierwszego sierpnia wybuchło powstanie, walczyliśmy na Czackiego i na Krakowskim Przedmieściu. O kościół Świętego Krzyża, była komenda policji granatowej i gmach wydziału teologii katolickiej na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Traugutta. Potem opanowaliśmy następne budynki aż do rogu Królewskiej. Naprzeciwko, w Uniwersytecie Warszawskim, siedzieli esesmani i ryglowali połączenie ze Starówką. W pierwszych dniach powstania uniwersytet stał się kluczową pozycją. Gdyby udało się go zdobyć, być może losy naszej walki potoczyłyby się innymi torami. Niestety, dowództwo nie doceniało bądź nie miało odpowiednich sił, aby opanować ten teren.

– To już historia – zauważył mecenas. – Stare dzieje, które każdy inaczej interpretuje. Ja osobiście sądzę, że losy powstania rozstrzygnęły się na Woli. Przebicie się hitlerowców Wolską, Chłodną i Mirowską do Ogrodu Saskiego i Pałacu Briihla zadecydowało o upadku całej sprawy. Późniejsze, kolejne opanowywanie przez Niemców poszczególnych dzielnic było tylko kwestią czasu.

– Nie chodzi o strategię powstania, lecz o Włodka Jareckiego. Naszym oddziałem dowodził porucznik „Sęp”, czyli Stanisław Kowalski. Siódmego czy ósmego sierpnia uderzyliśmy

na Uniwersytet. Pamiętam, że w akcji brał udział samochód pancerny „Kubuś”. Zawiodła łączność albo zabrakło porozumienia między dowódcami. Myśmy mieli uderzać od Krakowskiego Przedmieścia, a oddziały na Powiślu z dołu poprzez ogrody na Browarnej. Jednakże ten atak spóźnił się, względnie w ogóle tego dnia nie nastąpił. My już wdarliśmy się w wąską uliczkę wewnątrz Uniwersytetu, ale tam dostaliśmy się pod bardzo silny obstrzał z umocnień hitlerowskich i z karabinów maszynowych w gmachu biblioteki. Uderzenie załamało się. Jednocześnie hitlerowcy otworzyli ogień wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia z „Bristolu” i z „domu bez kantów”. Pod tym gradem pocisków oddział nasz wycofał się na Traugutta. Wielu nie wróciło. Zostaliśmy formalnie zdziesiątkowani.

– Słyszałem o tej akcji – potwierdził adwokat.

– Włodek Jarecki został ranny w czasie odwrotu. Dopadli go na samym środku ulicy. Dostał serię z ckm w nogi. Byliby go hitlerowcy dotłukli albo by się chłop wykrwawił na śmierć, gdyby nie „Sęp”. Bez namysłu poczołgał się z powrotem. Chłop był na schwał. Chwycił Włodka na „plecy i biegiem wrócił do nas. Nim się hitlerowcy spostrzegli i puścili nową serię, porucznik razem z rannym był po drugiej strony barykady. Sam transportowałem Jareckiego do szpitala. Mieścił się on w domu, który stoi na skrzyżowaniu Brackiej ze Zgodą. Włodek przeleżał tam aż do upadku powstania. Na szczęście ten dom jakoś uniknął bombardowań i nie trafiła w niego żadna „krowa”.

– Znam dobrze tę kamienicę, bo w czasie okupacji mój przyjaciel prowadził tam firmę „Sadyba”, handel nieruchomościami. Wiem, że dom wyszedł z wojny bez większego szwanku. W zakładzie fryzjerskim *na parterze nawet lustra ocalały.

– „Sęp” zresztą również został później ranny i też leżał w tym szpitalu. Mnie to samo spotkało. Na szczęście nasze rany nie były zbyt ciężkie. Kiedy więc podpisano kapitulację, nasza trójka postanowiła nie iść do niewoli. Razem z ludnością cywilną dostaliśmy się do Pruszkowa, a stamtąd jakoś udało nam się wydostać na wolność. Już w styczniu, w Grodzisku, zgłosiliśmy się do wojska. Wszyscy trzej przeszliśmy cały szlak bojowy II Armii. Po upadku hitlerowców Stanisław Kowalski został w wojsku. My z Jareckim wróciliśmy do cywila. Kowalski dosłużył

się stopnia podpułkownika. Zmarł trzy lata temu. Byliśmy z Włodkiem na jego pogrzebie.

– Ma pan rację, przedziwna historia – powiedział Ruszyński, kiedy Leśniak skończył swoje opowiadanie. – Wprost nie do wiary. Trzydzieści pięć lat jestem adwokatem i nie zetknąłem się z podobną sprawą. Nieprawdopodobne.

– Panie mecenasie – zachnął się Andrzej Leśniak – pan mi nie wierzy! Ale z naszego oddziału żyje w Warszawie jeszcze kilka osób. Mogę podać ich nazwiska i adresy. Niech pan z nimi porozmawia. Każdy potwierdzi moje słowa.

– Ależ wierzę panu. Naturalnie, gdyby pani Barbara Jarecka zdecydowała się na wszczęcie kroków dla obalenia testamentu, ci świadkowie mogą się jej przydać. Czy pan dawno widział się z Jareckim?

– Na jakieś dwa tygodnie przed jego śmiercią.

– Nic nie wspominał o testamencie? Nje zauważył pan w zachowaniu przyjaciela niczego nienormalnego? Wtedy, kiedy pan się z nim spotkał, testament spoczywał już w depozycje naszego zespołu. Jarecki sporządził go na przeszło miesiąc przed wypadkiem.

– Nie. Włodek był zupełnie normalny. Wspominał o interesach, o tym, że wiosna i lato to u niego największy sezon. Nadmieniał, że będzie musiał przyjąć ze dwóch ludzi do pomocy. Był wesoły, popiliśmy sobie trochę. Ale nie za dużo – zastrzegł się Leśniak.

– O żonie nie wspominał? Nie mówił o jakichś nieporozumieniach małżeńskich?

– Nie. Dowiedziałem się od niego, że pani Basia ma wyjechać na dwa tygodnie do Zakopanego. Włodek powiedział: „przyda się jej mały wypoczynek przed sezonową harówką; gdyby nie Baśka, nie dałbym sobie rady z całym kramem”.

– Na temat powstania i waszego dowódcy „Sępa” nie było mowy?

– Wspomniałem mu, że widziałem się z „Robaczkiem”. To jeden z naszych towarzyszy broni, który obecnie mieszka w Szczecinie. Włodek miał do mnie odrobinę żalu, że nie zawiadomiłem go o tym spotkaniu, bo chętnie odnowiłby starą przyjaźń. Więcej na ten temat nie mówiliśmy.

– Nie skarżył się na złe samopoczucie, nie mówił o jakiejś chorobie?

– Nie. Przeciwnie. Cieszył się ze swojego wprost „żelaznego” zdrowia. Dlatego nie mogę zrozumieć tego testamentu. Przecież pisał go wariat.

– Może nie wariat, ale człowiek, którego pamięć uległa jakiemuś zaburzeniu – adwokat był ostrożniejszy w formułowaniu swoich sądów.

– Co pan o tym sądzi, panie mecenasie?

– Z mojego punktu widzenia testament jest ważny. Zapisuje majątek ściśle określonej osobie. Wymienia prawidłowo jej nazwisko, imię i adres. Inna sprawa, że opierając się na pana oświadczeniu, żona zmarłego miałaby podstawę do podjęcia kroków dla obalenia testamentu, właśnie wskazując, iż testator popełnił „error in persona”.

– Rozmawiałem o tym z panią Basią. Przekonywałem ją, że powinna tak zrobić. Ale dopiero w ostateczności.

– Dlaczego?

– Widzi pan, panie mecenasie, sprawa jest wysoce delikatna. Niech pan nie zapomina, że Jarecki produkował przedmioty kultu religijnego. Jego klienci stanowią specjalną kategorię ludzi. Są to w większości księża. Już i tak morderstwo wywołało wiele hałasu i na pewno w jakiś sposób odbije się niekorzystnie na obrotach firmy. A jeszcze do tego głośny proces o obalenie ostatniej woli zmarłego? Żona, jako powódka, dowodząca, że jej mąż w chwili sporządzania testamentu był człowiekiem niespełna rozumu? Przecież prasa roztrąbiłaby taką sensację na całą Polskę. W tej branży konkurencja także istnieje i natychmiast by to wykorzystała. Cóż z tego, że pani Basia wygrałaby proces, kiedy warsztat można by było zamknąć z braku zamówień.

– Czy pan nie przesadza?

– Jeżeli nawet, to nie tak bardzo. Czy nie lepiej dogadać się z tym Kowalskim. Co to za facet?

– Tylko raz go widziałem. Jakiś robotnik czy drobny kupiec z Wołomina. Wspominał mi, że handluje czym się da. Brał także dewocjonała od Jareckiego. Trudno po jednej rozmowie wyrobić sobie zdanie o człowieku – adwokat powściągliwie wyrażał swoją opinię o dziwnym kliencie w czerwonym swetrze. – Wygląda młodo, najwyżej na czterdziestolatka.

– To w czasie powstania miałyby czternaście lat – obliczył Andrzej Leśniak. – I on ośmiela się twierdzić, że wykopał Jareckiego spod gruzów?!

– Tak o tym wspominał. Zresztą zgodnie z tym, co Jarecki napisał w testamencie.

– Ale skąd ten Kowalski znał treść testamentu?

– Twierdzi, że sam pan Jarecki zapoznał go ze swoją ostatnią wolą.

– Panie mecenasie, proszę go zapytać, gdzie to było, na jakiej ulicy i spod gruzów jakiego domu ten człowiek wygrzebywał Jareckiego?

– Ja go o to pytać nie będę. Nie moja sprawa. Sądzę, że zrobi to pełnomocnik pani Barbary Jareckiej, adwokat Resiewicz.

– Ja bym łobuza oskarżył przed milicją. Przecież to zwykłe oszustwo. Facet podszywa się pod kogoś, kim nie jest.

– Proces o oszustwo byłby niewątpliwie równie ciekawy i równie głośny, jak proces o obalenie testamentu.

– To racja. I tak źle, i tak niedobrze. Więc co pan mecenas radzi?

– Uważam, że najlepiej zwołać naradę, w której wzięłoby udział mecenas Resiewicz jako pełnomocnik pani Jareckiej, pan jako świadek i Barbara Jarecka jako główna zainteresowana.

– A czy nie byłoby słuszne – podsunął Leśniak – zaprosić na taką naradę również tego oficera milicji, który prowadzi dochodzenie w sprawie Jareckiego? Afera z Kowalskim może rzucić nowe światło na tę zbrodnię. Kto wie, czy ten człowiek nie maczał w tym palców.

– Można – Mieczysław Ruszyński zgodził się bez entuzjazmu na projekt swojego rozmówcy. Znał przecież prawdę i wiedział, że Jarecki popełnił samobójstwo i prokurator 'zamierza właśnie umorzyć śledztwo.

– Naturalnie pan mecenas weźmie udział w tej naradzie?

– Chyba tylko jako depozytariusz testamentu.

Adwokat Resiewicz z zadowoleniem przyjął propozycję konferencji, a zawiadomiony o niej przez Ruszyńskiego major Leszek Kałinowicz z Komendy Stołecznej MO bardzo zaciekał się „afery Kowalskiego” i przyrzekł swoją obecność na tym spotkaniu.

Tym razem Barbarze Jareckiej towarzyszył młody człowiek, nieco do niej podobny, w wieku około dwudziestu pięciu lat. Blondyn o falujących, trochę zbyt długich włosach, być może nawet zaondulowanych. Ubrany z przesadną elegancją.

– Zygmunt Kwaśniewski, syn mojego nieżyjącego brata. Po śmierci Włodka zostałam na świecie sama. Zanim się do tego przyzwyczaję, proszę Zygmunta, aby zajął się moimi sprawami. Panowie nie mają nic przeciwko temu, że będzie on również obecny?

Nikt nie zaprotestował.

Mecenas Ruszyński podkreślając, że w tym zebraniu nie bierze udziału jako strona zainteresowana, lecz jedynie jako świadek pewnych dziwnych faktów, zreferował sprawę. Najbardziej zdumieni byli major Kalinowicz i Zygmunt Kwaśniewski. Obydwaj nie orientowali się tak dokładnie w przebiegu wydarzeń.

– To jest oszust – zapalił się młody człowiek. – Trzeba go aresztować! Jak dostanie parę lat, odechce mu się takich figli.

– To samo twierdziłem – podtrzymał młodego człowieka pan Leśniak.

– Nie jest to takie proste – replikował mecenas Resiewicz. – Gdyby nie kilka wyjaśniających słów w testamencie pana Jareckiego, całe nasze zebranie nie byłoby potrzebne, a Stanisław Kowalski byłby niewątpliwym spadkobiercą.

– Dlaczego? – zapytał Kwaśniewski.

– Dlatego, że Włodzimierz Jarecki mógł dowolnie rozporządzać połową swojego majątku. Mógł go zapisać nawet pierwszemu lepszemu przechodniowi albo schronisku dla bezpańskich psów lub kotów. Tym bardziej zaś Stanisławowi Kowalskiemu z Wołomina. Jedynie adnotacja, że czyni to z wdzięczności za uratowanie życia w Powstaniu Warszawskim budzi wątpliwości co do ważności tego zapisu. Nie widzę złej woli Kowalskiego.

– Przecież twierdzi, że to on właśnie ocalił życie mojemu wujowi.

– Powiedział to w prywatnej rozmowie z mecenasem Ruszyńskim – wyjaśnił Resiewicz. – Nie dziwię mu się.

Otrzymał zawiadomienie o dużym spadku i chce go dostać. Tego rodzaju kłamstwa nie można uważać za oszustwo.

– Jestem zaskoczony, że pan broni tego łobuza. Przecież jest pan pełnomocnikiem Basi. Jak to wygląda? – młody człowiek nie

grzeszył nadmiarem taktu, nie umiał opanować temperamentu, który zdawał się go ponosić.

– Ponieważ jestem pełnomocnikiem pani Jareckiej, przeto muszę bronić jej interesów i przestrzegać, aby niepotrzebnie nie naraziła się na zarzut przestępstwa, znanego w kodeksie karnym jako „niesłuszne oskarżenie” – sucho odpowiedział Resiewicz.

– Zgadzam się z tym, że Kowalski przyznając się do ocalenia życia Jareckiemu popełnił świństwo, ale to jeszcze nie oszustwo.

– Zygmunt, spokojnie – mitygowała bratanka pani Barbara. – Mecenasa Resiewicza ma rację.

– Może ja wyjaśnię – wtrącił się major Kalinowicz. – Pan mecenas Ruszyński krótko i bez szczegółów telefonicznie zapoznał mnie z tą ciekawą aferą. Postanowiłem zainteresować się osobą mieszkańca Wołomina. To figura doskonale znana milicji nie tylko tamtego miasta, ale i Warszawy. Drobnego kalibru złodziejasek i naciągacz. Miał już kilka wyroków. Część odsiedział, resztę podarowała mu amnestia. Pracą raczej się brzydzi. Jeżeli już go ostatecznie bieda przyciśnie, usiłuje, jak to w stolicy nazywają, „zahandlować”, czym się da. Mam jego personalia – to mówiąc oficer milicji wydobył notes i odczytał: „Stanisław Kowalski, urodzony w 1933 roku w Strudze Wielkiej...”

– Mnie podał – przerwał Ruszyński – że w roku 1923 i dlatego jego młody wygląd wzbudził moje wątpliwości.

– Potwierdzając wersję o uratowaniu życia Jareckiemu – zauważył major – musiał sobie dodać dziesięć lat. Kiedy wybuchło powstanie miał naprawdę jedenaście lat. Nikt by nie uwierzył, że takie dziecko potrafiło wydobyć kogoś spod gruzów. Zresztą ustaliliśmy, że Kowalskiego wtedy w ogóle nie było w Warszawie. Mieszkał razem z rodzicami w swojej wiosce pod Radzyminem.

– Więc to rzeczywiście oszust – upierał się Kwaśniewski.

– Teraz przypominam sobie tego Kowalskiego. Kilka razy zjawiał się w naszym warsztacie. Kupował medaliki. Te najtańsze. Za ostatnim razem skamlał, że nie ma pieniędzy, bo mu w wagonie ukradli. Włodek, który odznaczał się miękkim sercem, dał mu na kredyt towaru za dwieście złotych. Naturalnie nigdy tych pieniędzy więcej nie zobaczył.

– Dwieście złotych? – podchwycił mecenas Ruszyński. – To interesujące....

– Dotychczas w naszych księgach figuruje ta pozycja w rubryce „nieściągane”. Po prostu nabrał nas na dwieście złotych.

– Takie są jego obyczaje – mecenas przytaknął z dużą znajomością rzeczy.

– Włodek dałby mu na pewno więcej, lecz ja się sprzeciwiłam.

– Wyjaśnienia pana majora potwierdzają – zabrał głos Resiewicz – że spadkodawca popełnił wyraźny błąd co do osoby, której chciał zapisać spadek. W tej sytuacji uważam za słuszne wnieść pozew o obalenie testamentu. Jestem więcej niż pewien, że sąd stanie na tym samym stanowisku.

– Sądzę, że ten Kowalski maczał ręce w zamordowaniu wuja – młody człowiek był nadal nastawiony bojowo. – Dobrze byłoby sprawdzić, czy ma alibi. Przypuszczam, że wuj był przez tego oszusta terroryzowany i dlatego napisał taki testament. A że chciał się jakoś bronić, więc dodał słowa o długu wdzięczności za ocalenie życia.

Major uśmiechnął się słysząc te naiwne wywody i zauważył:

– To mógłby być kiepski scenariusz dla amerykańskiego filmu kryminalnego. Ale tutaj musimy mówić rozsądnie.

Zygmunt Kwaśniewski zaczerwienił się i zamilkł. Rzucił tylko oficerowi milicji nieprzyjazne spojrzenie.

– Nonsens – zaprotestował również adwokat Ruszyński. – Pan Jarecki przyszedł do naszego zespołu sam. Nikt mu nie towarzyszył. Wprawdzie testament miał już napisany, ale dyskutowaliśmy nad nim. Stwierdzam, że ten człowiek nie robił wrażenia ani sterroryzowanego, ani nienormalnego. Był taki jak i my wszyscy.'

– Przecież nie mógł zapomnieć, że „Sęp”, porucznik Stanisław Kowalski, nasz dowódca z Powstania Warszawskiego, nie żyje. Ten, który naprawdę ocalił mu życie. Późniejszy podpułkownik Kowalski nigdy nie mieszkał w Wołominie. Włodek nieraz był w mieszkaniu pułkownika w Warszawie, przy Filtrowej – upierał się Leśniak. – To dla mnie coś niepojętego.

– Jak to się stało, że pan Jarecki sporządził taki, a nie inny testament, obawiam się, że nigdy się nie dowiemy. Teraz nie widzę innego wyjścia, jak wniesienie powództwa o uchylenie testamentu – podtrzymał swoją propozycję Resiewicz.

– Wolalabym uniknąć procesu – pani Barbara, chociaż najbardziej zainteresowana, wypowiedziała swoją opinię na samym końcu. – Mam ważne powody.

– Chcesz temu człowiekowi oddać warsztat? – bratanek słabo panował nad swoimi nerwami. – Może jeszcze mu dołożysz i to, co ci łaskawie wuj raczył zostawić?

– Zygmunt, jak możesz!

– Gdyby pan Kowalski – zauważył adwokat Ruszyński – notarialnie oświadczył, że Włodzimierz Jarecki pisząc testament popełnił oczywistą pomyłkę i w związku z tym on, Stanisław Kowalski, zrzeka się spadku, zapewne udałoby się uniknąć rozgłosu. Doskonale rozumiem stanowisko pani Jareckiej:

– Byłby wariatem, gdyby się na to zgodził – mruknął Kwaśniewski.

– Dlaczego? – Resiewiczowi spodobał się pomysł kolegi. – Jeżeli temu panu uda się wytłumaczyć, że i tak spadku nie otrzyma, byłby może skłonny złożyć tego rodzaju oświadczenie. Naturalnie nie za darmo.

– Jeszcze płacić oszustowi? – młody człowiek był nieprzejednany.

– Sądzę, że w takiej sytuacji nie stawiałby on zbyt wygórowanych warunków – zauważył major, który z dużym upodobaniem wpatrywał się w piękną twarz młodej wdówki. – Ten projekt mnie również się podoba.

– Może pan mecenas Ruszyński i pan major przeprowadzą z tym człowiekiem rozmowę – poprosiła Jarecka. – Wolę trochę stracić, niż narazić się na głośny proces.

– Ja nie mogę – zastrzegł się major. – Jestem oficerem milicji. Mój udział wyglądałby na wywieranie presji, a to jest niedopuszczalne.

– A ja jestem depozytariuszem testamentu. Nie wolno mi stawać po czyjejkolwiek stronie – bronił się Mieczysław Ruszyński.

– Nie o to chodzi, Mięciu – przekonywał adwokat Resiewicz. – Po prostu zupełnie bezstronnie poinformujesz pana Kowalskiego, że gotowi jesteśmy wnieść pozew o obalenie testamentu. Wytłumaczysz temu panu, jakie szanse ma w tego rodzaju procesie, i zawiadomisz go, że dla świętej zgody i uniknięcia sądu gotowi jesteśmy wypłacić mu pewną, oczywiście

niewielką sumkę za dobrowolne zrzeczenie się spadku. Nawet nam zależy, żebyś postępował jak najbardziej bezstronnie. Kierownik zespołu na pewno przychylił się do mojego zdania, że możesz podjąć się takiej roli.

ROZDZIAŁ V

TAJEMNICZY LIST

– Proszę, niech pan siada – tymi tradycyjnymi już słowami powitał adwokat Mieczysław Ruszyński swojego klienta, Stanisława Kowalskiego. Tym razem przybysz z Wołomina ubrany był bardziej schludnie i starannie. W jakąś ciemną koszulę i nieco przykuszony marynarkę z materiału w kratkę. Nawet ogolił się na tę uroczystość.

– No jak tam, panie mecenasie? Znalazł pan kupca na ten cały mój kram?

– Nie. Natomiast mam dla pana niepomyślne nowiny.

– Jakie? – w głosie Kowalskiego wyczuwało się zaniepokojenie.

– Zawiadomił mnie mecenas Resiewicz,- że będą wnosili pozew o obalenie testamentu.

– To znaczy, żeby mnie odebrać to, co mi Włodzio Jarecki zapisał. Niedoczekanie ich. Co moje, tego nie dam nikomu. A to cholerna baba! Zawsze to mówiłem Włódkowi, nie żeń się z taką jędzą.

– Ja tu nie jestem w niczym zainteresowany – zastrzegł się Ruszyński. – Muszę jednak przyznać, że pozew pani Jareckiej ma duże szanse. Mogą wygrać proces.

– Dlaczego?

– Bo wiedzą, że pan nigdy nie ocalał życia Włodzimierzowi jareckiemu. Wiedzą też, że jest pan urodzony w 1933 roku i w czasie powstania mieszkał pan z rodzicami na wsi pod Radzyminem. Cóż z tego, że podał mi pan wcześniejszą datę urodzenia? Łatwo sprawdzić w księgach meldunkowych, że różnica wynosi dziesięć lat. Oni również wiedzą, że prawdziwy Stanisław. Kowalski, który rzeczywiście ocalał życie Jareckiemu, umarł przed trzema laty.

– Cwana baba – Kowalski powiedział to z nutką podziwu. – Z taką lepiej zgubić, niż z innym znaleźć. Wszystko wyniuchala.

– Adwokat Resiewicz będzie dowodził, że Włodzimierz Jarecki popełnił przy sporządzaniu testamentu „error in persona”. Chciał zapisać majątek jednemu Kowalskiemu, a zapisał drugiemu. Pan wprawdzie mówił mi, że własnymi rękoma wyciągał Jareckiego spod gruzów, ale w sądzie Resiewicz natychmiast obali to kłamstwo.

– Znakiem tego krewa?

– Chyba krewa. Niech pan zresztą zasięgnie porady jakiegoś adwokata. Najlepiej z innego zespołu.

– Po co mam forszę wydawać? Na swój rozum też widzę, że wpadłem. Dlatego chciałem szybko opchnąć ten spadek. Za pół ceny, byle szybko. Ja bym miał forszę, a kupiec by się martwił – na myśl o tak pięknej perspektywie Stanisław Kowalski aż się roześmiał.

– Niech pan się namyśli i zastanowi. W pańskiej sytuacji przyda się dobry adwokat.

– To gdyby poszli do sądu i wygrali, musiałbym i koszty zapłacić?

– Gdyby wygrali, kosztami sąd by obciążył pana.

– Psiakrew – zaklął przybysz z Wołomina. – Jeszcze bym dokładał do tego interesu.

– Nie twierdzę kategorycznie, że pan proces przegra.

Powiadam jedynie, że Jarecka ma duże szanse wygrania go – Ruszyński cały czas starał się być bezstronnym.

– Panie mecenasie, nie jestem dzieckiem. Nie musi mi pan tłumaczyć. Sam widzę, że wpadłem. Tylko mi apetytu narobili i sprzątają jedzenie, zanim wziętem łyżkę do ręki. Sam pan powiedz, nie jest tak?

– Pewnie – zgodził się adwokat.

– Panie mecenasie – Stanisław Kowalski zapalił papierosa – dlaczego ten Jarecki zapisał mi swój warsztat? Przecież animu brat, ani swat. Nawet nie wiem, skąd wzięł mój adres. Tyle go znałem, że kilka razy wziętem od niego towar. Ta jędza z piekła rodem pisała do mnie i sądem groziła, bo nie dopłaciłem paru groszy. Nie wiem, czy z samym właścicielem zamieniłem z pięćdziesiąt słów. A tu bęc! Zapisuje mnie warsztat...

– Toteż adwokat Resiewicz właśnie chce wykazać w sądzie, że Jarecki omylił się.

– Rozumiem, że omylił się co do nazwiska. Ale on podał mój adres. Nie byłoby dziwne, gdyby napisał że „Kowalski z Marszałkowskiej 115”, a chodziło mu o tego Kowalszczaka, który mieszka pod 111. Na takiej długiej ulicy Kowalskich pewno na kopy. Ale w Wołominie na Malinowej tylko ja jeden.

– Muszę panu powiedzieć – adwokat czuł się w obowiązku udzielić klientowi wszelkich informacji – że gdyby Jarecki nie napisał tych słów o uratowaniu życia, wtedy mucha nie siada, zapis byłby ważny i nie do obalenia. Właściciel warsztatu mógł go zapisać w spadku, komu chciał. Także i panu.

– On chyba miał kuku na muniu – mieszkaniec Wołomina doszedł do tych samych wniosków, co biegli w prawie adwokaci.

– Z tego testamentu wynika, że w czasie pisania go Jarecki rzeczywiście musiał ulec jakiemuś rozstrojowi.

– To co teraz będzie, panie mecenasie?

– Ma pan dwa wyjścia. Albo wziąć dobrego adwokata i starać się o wygranie procesu, albo załatwić sprawę polubownie z panią Jarecką. O ile się orientuję, oni z pewnych względów woleliby uniknąć pójścia do sądu.

– Rozumiem – Kowalski był nie w ciemną bity. – Nie chce baba, aby klechy dowiedziały się, że im wariat robił monstrencje. Dlatego wolą cicho sza.

– Przypuszczam, że ma pan rację.

– A jak by taka zgoda wyglądała?

– Musiałby pan u notariusza złożyć oświadczenie, że wobec omyłki Jareckiego nie przyjmuje pan spadku. Wtedy całość przypadłaby żonie.

– Rozumiem. A oni mi za to do rączki?

– Właśnie.

– Jeżeli mi dadzą sto nalepek, zgadzam się.

– Dobrze. Powiem o tym pełnomocnikowi pani Jareckiej, adwokatowi Resiewiczowi. On zresztą pracuje w tym samym zespole, jeśli pan chce, mogę go tutaj poprosić.

– Nie. Wolę rozmawiać z panem mecenasem. Dadzą sto patyków?

– Nie wiem. Ja bym nie dał. Wolałbym proces.

– No to pięćdziesiąt – najwidoczniej Kowalski pierwszą sumę rzucił „na rybkę”, a teraz przechodził do konkretnych propozycji.

Ruszyński zorientował się, że to jest cena „wywoławcza”.

– Nie za dużo, panie Kowalski? Dostaje pan pieniądze właściwie za nic.

– Za to, żeby nie było sądu i pismaków. Jakby ten redaktor Czaja wyrznął w „Expressiaku” taki artykuł na pierwszej stronie, dopiero mieliby się z pyszna. W Warszawie jest jeszcze jeden spec do tych świętych medalików. Niejaki Piekarniak z Woli. On by zaraz do wszystkich parafii w Polsce rozesłał tę gazetkę – Kowalski doskonale orientował się w walce konkurencyjnej fabrykantów dewocjonalii i postanowił wykorzystać swoje wiadomości. – Więcej by ta czarna pokraka straciła niż te głupie pięćdziesiąt kół. Co to dla niej taka forsa?

– Powtarzam panu, panie Kowalski, że ja w tej sprawie nie mam nic do powiedzenia. Pójdę do adwokata Rosiewicza i powtórzę mu pańską propozycję. Proszę chwilę poczekać – to mówiąc Ruszyński opuścił swój „apartament”.

– Słuchaj, Karol – rozmowa toczyła się w boksie Resiewicza. – Jest u mnie pan Kowalski. Idzie na proponowaną przez was ugodę, ale żąda pięćdziesięciu tysięcy.

– Zwariował! – krótko ustosunkował się do tej propozycji pełnomocnik Jareckiej.

– Ale ile byście dali?

– Kiedy rozmawiałem z moją klientką, myśleliśmy o dziesięciu tysiącach. Przypuszczam, że zgodziłaby się na maksimum dwa razy więcej. To bezczelność, pięćdziesiąt tysięcy za nic. Powiedz mu, Mięciu, żeby wziął młotek i wybił to sobie z głowy.

– Facet nie jest głupi – wyjaśniał pan Mieczysław. – Orientuje się dobrze, dlaczego Jarecka chce uniknąć procesu, i postanowił to wykorzystać.

– Niemniej o takiej sumie nie może być nawet mowy. Sam bym odradzał klientce.

– Jak chcesz, zakomunikuję mu to.

Adwokat wrócił do swojego pokoiku.

– No i co? – niecierpliwił się Stanisław Kowalski. – Dają forszę?

– Uważają, że to za dużo.

– A ile mogą dać?

– Mecenas Resiewicz wspominał o dziesięciu tysiącach.

- To ja już wolę, żeby ten bigos jedli w sądzie. Niech stracę.
- A jaka byłaby pańska ostateczna propozycja?
- Trzydzieści patyków. Ód tego nie odstąpię. Ja tracę cały warsztat, a oni nie chcą tych paru kół położyć na stole?
- Dobrze. Jeszcze raz pójde do mecenasa Resiewicza
- adwokat znowu podniósł się z krzesła.
- Trzydzieści tysięcy to bardzo dużo – stwierdził Resiewicz. – Sam nie mogę decydować. Muszę zatelefonować do pani Jareckiej. Poczekajcie.

Ruszyński wycofał się z przedziału kolegi i wrócił do Kowalskiego.

- Musimy poczekać. Pan Resiewicz porozumiewa się z Jarecką. Czekali jakieś pięć minut. Wszedł adwokat Karol Resiewicz.
- Pan Kowalski? – przybyły przywitał się z mieszkańcem Wołomina. – Rozmawiałem z moją klientką. Zgadza się na trzydzieści tysięcy. Stanie pan do aktu i podpisze zrzeczenie się spadku.

– Co nie mam podpisać? Jeżeli forsa będzie, podpiszę, co trzeba.

– W porządku. Lepsza słomiana zgoda niż złoty proces – w gruncie rzeczy pełnomocnik żony zmarłego zadowolony był, że uniknął przewlekłego procesu. – Co do terminu, zależy nam na pośpiechu. Szczegóły załatwi pan z mecenasem Ruszyńskim. Przepraszam, ale muszę już pójść, bo klient na mnie czeka...

Po wyjściu adwokata Kowalski zauważył:

- Mnie też pilno do pieniędzy. Co prawda wyżyłowali mnie.
- I tak pan zrobił dobry interes. Trzydzieści tysięcy niemały grosz.

– Ja podpiszę, ale pan mecenas musi być obecny u rejenta. Sam pan sprawdzi, czy wszystko jest w porządku. Bo tej czarnej jędzy nie dowierzam. Jak zacznie swoimi zielonymi ślepiami świdrować, pomocniki rejenta zgłupieją do reszty i napiszą to, co ona będzie chciała. A jeżeli ełodzi o mój podpis, to wtedy dopiero go skutecznię, jak gotówkę wyliczą panu mecenasowi. Da mi pan ją po wyjściu z hipoteki. Inaczej nie podpisuję. Ja im nic nie wierzę.

- Dziękuję za zaufanie – uśmiechnął się Ruszyński.
- O panu mecenasie to wiele słyszałem. Bronił pan kiedyś jednego kumpla. Spodziewał się najmarniej piątala, a dostał tylko

półtora miecha. Tak pan podobno na sali sądowej pyskował, że on sam zaczął wierzyć, że nie obrobił tego strychu na Wroniej.

– Pamiętam. Wawrzyniec Fabisiak.

– Dobrą pan ma pamięć, mecenasie – rozpromienił się Stanisław Kowalski.

– Teraz, kiedy już skończyliśmy z interesami, niech pan powie, ale tak bez bujdy, skąd pan znał treść testamentu Jareckiego?

– Ja sam nie wiem, panie mecenasie.

– Jak to?

– To było tak – wyjaśniał Kowalski – wracam do domu, było to w połowie maja, żona mówi, że jest do mnie list. Myślałem, że to jakaś urzędowa „powiestka”. Bo ciągle się mnie czepiają, a to na jakieś komisje, dlaczego nie pracuję, a to znowu do sądu. Ale tym razem coś innego, bę zwykła niebieska koperta. Polecony. Przeczytałem i widzę, że ktoś ze mnie wariata struga.

– Ma pan ten list?

– Mam przy sobie – Stanisław Kowalski wyjął z kieszeni marynarki dobrze już przybrudzoną kopertę. Podał ją adwokatowi.

„Panie Kowalski!

Zmarł Włodzimierz Jarecki, ten, co wyrabiał dewocjonalia. Na Chełmińskiej pod siedemnastym. Zna go pan, bo nieraz zachodził pan na tę ulicę po towar. Przed śmiercią Jarecki napisał testament i panu zapisał w nim cały swój majątek.

Jarecki w testamencie zaznaczył, że robi to dlatego, bo w czasie Powstania Warszawskiego wyciągnął go pan spod gruzów. Przed wojną mieszkał na Starówce, na Zakroczymskiej. Niech pan to dobrze zapamięta i przyznaje się do tego uratowania. Dodaj też sobie dziesięć lat, bo inaczej nikt w to nie uwierzy.

Przekona się pan, że ja mówię prawdę. Za parę dni dostanie pan wezwanie do adwokata Mieczysława Ruszyńskiego, do 104 zespołu. Adwokat urzędowo panu zakomunikuje treść testamentu. To duże pieniądze. Niech pan się pilnuje i nie wsypie. Ten warsztat ma wartość miliona złotych. List proszę zniszczyć, a najlepiej spalić, bo jakby ktoś go przeczytał, toby się wysypało, że z tym ocaleniem życia Włodzimierza Jareckiego lipa i nici by ze spadku wyszły.

*Trzymaj się pan twardo jednej wersji i za dużo nie gadaj.
Zwłaszcza z adwokatami i w sądzie.*

Przyjaciół

List był napisany na maszynie, na kartce papieru bez linii. Nie nosił żadnego odręcznego podpisu, nawet jakiegoś nieczytelnego zawijasa. Nie miał daty. Adwokat obejrzał kopertę. Polecony nadany został na warszawskiej poczcie głównej w dniu dwudziestego maja. Co za dziwny pośpiech i jaka doskonała informacja! Rano tego dnia milicja znalazła pod wiaduktem zwłoki Włodzimierza Jareckiego. „Przyjaciół” musiał być doskonale poinformowanym człowiekiem.

Mecenas Ruszyński włożył pismo do koperty i położył ją na stole.

– Kiedy co przeczytałem – powiedział Kowalski – pomyślałem, że któryś z koleżków skutecznie towarzyski żart salonowy i usiłuje mnie w konia zrobić. Który to mógł napisać? Mordę trzeba by było obowiązkowo zbić łachudrze, żeby na drugi raz nie podskakiwał. Prymaaprylusa mu się w maju zachciało!

– A jednak pan listu nie spalił.

– Swoje doświadczenie człowiek ma. Jak napisano spalić, to znaczy się, trzeba dobrze schować.

– Racja – adwokat aż się roześmiał posłyszawszy tę swoistą filozofię.

– Kiedy za parę dni rzeczywiście przyszło pismo od pana mecenasa, abym się u niego stawił w związku z postępowaniem spadkowym po Włodzimierzu Jareckim, widzę, że to nie żarty i facet nie bujał. Przyszedłem do pana mecenasa, słowo w słowo, wszystko się zgadza.

– Kogo pan posądza? Kto to mógł pisać? Może któryś z pracowników firmy?

– Nie znam żadnego. Do samego warsztatu nigdy nie wchodziłem, zawsze w kantorku załatwiałem interesy z Jareckim lub z jego żoną. A czy ja tam często bywałem? Ze trzy razy. Potem to się urwało.

– Wziął pan towar na kredyt i więcej się nie pokazał.

– Ta baba musiała i to wyśpiewać. Z czego miałem oddać? Gdyby tak dali na jakiś tysiąc złotych albo więcej, wtedy by się

odpowiednio zarobiło. Ale głupie dwieście złotych? Kto takie drobnostki oddaje? Nie przymierzając, pan mecenas liczył, że mu kiedyś te dwa czerwonce zwrócić?

– Raczej nie – przyznał szczerze adwokat, którego tupet i cynizm mieszkańca Wołomina coraz bardziej bawiły.

– Sam pan widzi. Strzeliłem mecenasa na te dwie stówy, bo to było akurat w sam raz. Sto złotych za mało, a trzystu już by pan nie dał. Trzeba zawsze wiedzieć; z czym do gościa. Ale Kowalski swój honor ma.

– To znaczy – zapytał rozbawiony adwokat – że jednak dostanę swoje pieniądze?

– Pieniędzy pan mecenas nie zobaczy. Ale coś mi się widzi, że pana ten list interesuje. Ja go mecenasowi sprzedam. Właśnie za te dwa papierki. Zgoda?

– Zgoda – przystał ochoczo adwokat.

Stanisław Kowalski wyszedł, a Mieczysław Ruszyński jeszcze raz dokładnie obejrzał kopertę i przeczytał list.

O mistyfikacji nie mogło być mowy. Obywatel Wołomina na pewno tego listu nie wysłał sam do siebie. Na to był po prostu zbyt mało inteligentny. I po cóż miałby to robić?

Adwokat nakręcił numer majora Leszka Kałinowicza. Miał szczęście, oficer milicji pomimo późnej godziny był jeszcze w Pałacu Mostowskich. Obaj panowie postanowili spotkać się w pobliskiej kawiarni „Galeria sztuki”. Nawiasem mówiąc, mecenas lubił odwiedzać ten lokal. Tu zawsze można było popatrzeć na młode przystojne koty.

Major wysłuchał historii tajemniczego listu i również dokładnie go obejrzał.

– Nie mogę twierdzić bez przeprowadzania szczegółowej analizy pisma, ale tak na pierwszy rzut oka widać się, że wszystkie trzy dokumenty, to znaczy kopia testamentu Włodzimierza Jareckiego, jego list do milicji z wyznaniem, że popełnia samobójstwo, jak i pismo do Stanisława Kowalskiego, napisane zostały na tej samej maszynie.

– List do milicji i testament pisał przecież sam Jarecki. Nic więc dziwnego, że posługiwał się swoją maszyną.

– Stąd wniosek, że i to pismo do Kowalskiego sporządził samobójca i wrzucił do skrzynki przed swoim desperackim krokiem.

– To nonsens.

– Naturalnie, że taki wniosek, chociaż pozornie logiczny, jest nonsensem. Po cóż testator miałby robić tak dziwny zapis i później pouczać swojego spadkobiercę, w jaki sposób ma on kłamać?

– Jedyne słuszne wyjaśnienie to ten, że list do Kowalskiego napisał ktoś, kto znał treść testamentu i komu bardzo zależało na tym, aby mały złodziejaszek wszedł w posiadanie spadku. Ponieważ te pisma napisano na tej samej maszynie, możemy założyć, że autor listu do Kowalskiego pochodzi z kręgu osób najbliższych Jareckiemu i nie stanowiło żadnej przeszkody poznanie przez niego tajemnicy wytwórcy dewocjonalii oraz korzystanie z jego maszyny. Tą osobą na pewno nie jest Barbara Jarecka, bo testament ją krzywdzi i nie miała ona żadnego interesu, aby działać na korzyść Kowalskiego.

– To jasne, że nie Jarecka – zgodził się major.

– A więc pozostają – rozumował adwokat – pracownicy i uczniowie zatrudnieni w warsztacie. Któryś z nich musiał podpatrzeć Jareckiego, kiedy ten pisał testament i spostrzegł błąd w wyborze spadkobiercy. Widocznie tego człowieka łączyły jakieś stosunki z Kowalskim i po samobójstwie Jareckiego „przyjaciół” postanowił dopomóc mieszkańcowi Wołomina w otrzymaniu spadku.

– To przypuszczenie mogłoby mieć podstawy, gdyby nie jeden kontrargument. Dlaczego nasz tajemniczy „przyjaciół” nie pojechał po prostu do Kowalskiego i nie wytłumaczył mu wszystkiego ustnie? Dlaczego nie podpisał się imieniem i nazwiskiem? Gdyby Kowalski miał swojego kumpla wśród pracowników warsztatu, nigdy by się panu nie przyznał do otrzymania tego listu i nigdy by go z rąk nie wypuścił. Nie, jestem przekonany, że Kowalski tym razem mówił całkowitą prawdę. Ten list, jak i wiadomość, że jest spadkobiercą rzemieślnika, były dla niego zaskoczeniem.

– To racja – przyznał Ruszyński.

– Wytłumaczenie powodu napisania takiego listu – powiedział major – jest dla mnie, fachowca od kryminalistyki, bardzo łatwe, ale nie rozwiązuje sprawy.

– Ciekawy jestem?

– Autor listu, jak to wynika z jego treści, wiedział, że spisując swój testament Jarecki popełnił błąd i że Kowalski nigdy

rzemieślnikowi życia nie ocalił. Pomimo to stara się, aby objął on ten spadek w posiadanie, bo autor listu chce w ten sposób odnieść osobistą korzyść.

– Jaka?

– Grożąc Kowalskiemu ujawnieniem błędu Jareckiego, wyszantażo-wałby od szczęśliwego spadkobiercy co najmniej połowę tego majątku. Kowalski pod groźbą utraty wszystkiego, musiałby płacić swojemu „przyjacielowi” tyle, ile tylko by zażądał. Ten szantaż byłby bardzo prosty do przeprowadzenia.

– Ma pan słuszość, majorze. Ale trzeba pamiętać, że i Kowalski jest sprytny. Nie ma skrupułów. Już nieraz zetknął się z wymiarem sprawiedliwości. Nie wiem, czy dałby się zastraszyć?

– A cóż by mógł zrobić? Sprzątnąć szantażystę? Bardzo wątpię, czy na to by się zdobył. To mały złodziejasek, a nie żaden wołomiński „asior”. Drobni kombinatorzy najczęściej nie grzeszą odwagą. Musiałby płacić.

– To jednak nie przeczy mojej tezie, że autora listu należy szukać wśród ludzi bliskich Jareckiemu.

– Z tym mogę się zgodzić – przyznał major – ale muszę panu powiedzieć jeszcze jedną zabawmą rzecz.

– Jaka?

– Po przekazaniu nam przez mecenasa listu samobójcy pojechaliśmy do warsztatu na ulicę Chełmińską, aby sprawdzić, czy rzeczywiście za deską od licznika znajdują się dokumenty zmarłego. Znaleźliśmy je. Trzeba było sporządzić krótką notatkę, którą mieli podpisać świadkowie rewizji. Prosta formalność. Jeden z moich wywiadowców zasiadł do maszyny znajdującej się w kantorku warsztatu i napisał odpowiedni tekst. Z prostej ciekawości, bo nie miałem podstaw do żadnych podejrzeń, sprawdziłem, czy Jarecki użył tej maszyny do napisania swojego listu do milicji. I niech pan zgadnie, co się okazało?

– Wynik negatywny?

– Jak najbardziej. Maszyna Jareckiego to stary grat pamiętający zapewne jeszcze przedwojenne, czasy. A testament i list do milicji napisano na małym czeskim portablu. Tę okoliczność stwierdził ponad wszelką wątpliwość nasz ekspert. Zresztą różnice są widoczne na pierwszy rzut oka.

– Może Jarecki ma dwie maszyny? W biurze tego starego grata, w domu nową, małą?

– Jeśli nawet tak jest, to i tak upada pańska teoria. Jareccy mieszkali we dwójkę. Podczas dochodzenia o morderstwo sprawdziliśmy przeszłość i teraźniejszość pięknej pani Barbary. Żadnego przyjaciela nie miała. Zresztą dlaczego kochanek miałby działać na szkodę swojej najdroższej? Ani uczniowie, ani pracownicy nie bywali w domu pryncypała. W ogóle w życiu towarzyskim Jarecki starał się nie utrzymywać kontaktów ze swoimi klientami, nawet z księżmi. Ograniczał się do przyjaciół z czasów młodości i wojny. Jarecka, jak się zdaje, nie miała swojego własnego kółka towarzyskiego. O tyle to zrozumiałe, że nie jest warszawianką z urodzenia. Pochodzi z Wybrzeża, z Trójmiasta. Muszę panu powiedzieć, że prokurator umorzył śledztwo w sprawie śmierci Jareckiego, niemniej mam ochotę zająć się na własną rękę sprawą tego listu.

– Cała ta historia, z pozoru prosta, staje się coraz bardziej skomplikowana i tajemnicza. Zupełnie nie mogę zrozumieć celu wysłania tego listu. Chyba że przyjmiemy za prawdę pańską teorię, iż chodziło o przyszły szantaż. Ale kim jest tajemniczy „Przyjaciel”? Z którejkolwiek strony rozpatrywalibyśmy ten problem, wracamy do punktu wyjściowego.

– Bo nie tutaj jest pies pogrzebany – zauważył oficer milicji. – List jest jedynie ubocznym detalem bez większego znaczenia.

– Czyżby? Nie powiedziałbym tego.

– Główna tajemnica tkwi gdzie indziej. W niezrozumiałej decyzji Jareckiego i w jego niepojętym wprost samobójstwie. Przede wszystkim jednak w tym testamencie. Jeżeli dojdziemy, dlaczego ten człowiek napisał „całą resztę mojego majątku... zapisuję Stanisławowi Kowalskiemu zamieszkałemu w Wołominie, ulica Malinowa 9. Czynię to, żeby spłacić dług wdzięczności Stanisławowi Kowalskiemu, który w czasie Powstania Warszawskiego uratował mi życie”..., to poznamy całą prawdę. Wtedy wszystko będzie jasne. Także i list „Przyjaciela”. Ale dopóki tego nie wiemy, błądzimy po omacku. Przecież ten człowiek, mówię o Włodzimierzu Jareckim, nie był wariatem. Mogą tak mówić adwokaci dyskutujący na temat ważności testamentu, ale każdy, kto do dnia śmierci stykał się z

właścicielem warsztatu, twierdzi, że był on całkowicie przy zdrowych zmysłach.

– Raz tylko rozmawiałem z Jareckim i również odniosłem to samo wrażenie – zgodził się adwokat.

– Dlaczego więc człowiek całkowicie normalny sporządził taki cudaczny zapis? Miał w tym jakiś cel. Nigdy nie uwierzę w sklerozę lub niepoczytalność Jareckiego.

– A jednak taki testament został napisany przez Jareckiego i w mojej obecności przez niego podpisany.

– W tym tkwi jakiś sekret. Tu jest główna tajemnica.

– Ale jaka? – adwokat również nie znajdował odpowiedzi na pytania oficera milicji.

– Napijemy się chyba do tej kawy po kieliszku koniaku – zaproponował major. – Może to rozjaśni nam umysł.

Niestety, nawet koniak nic nie pomógł.

ROZDZIAŁ VI

130 KILOMETRÓW NA GODZINĘ

W dwa dni później major Leszek Kalinowicz, mając nieco więcej wolnego czasu, postanowił zająć się sprawą dziwnego listu wysłanego do Stanisława Kowalskiego. Oficer milicji doszedł do wniosku, że najlepiej wy badać Barbarę Jarecką. Może ona zna autora tego pisma lub kogoś o to podejrzewa?

– Chciałbym się z panią zobaczyć – powiedział major, kiedy w słuchawce rozległ się niski o melodyjnym brzmieniu głos pięknej pani.

– Jeszcze jedno przesłuchanie? – Barbara Jarecka bez entuzjazmu przyjęła tę wiadomość.

– Raczej rozmowa. Pragnąłbym dowiedzieć się kilku szczegółów, ale nie widzę potrzeby fatygowania pani tutaj. Do której będzie pani na Chełmińskiej?

– O szesnastej zamykamy.

– Doskonale. Postaram się zjawić przed tą godziną.

– Proszę bardzo – ton tych słów znacznie różnił się od ich treści.

Tak się jednak złożyło, że oficerowi milicji „wpadły” jakieś dodatkowe zajęcia, dość, że zdołał wyrwać się z Pałacu Mostowskich dopiero o wpół do czwartej. Jak na złość nie było pod ręką żadnego samochodu służbowego, a o taksówce o tej porze ani zamarzyć. Kalinowicz zdołał jakoś wepchnąć się do przepełnionego autobusu. Na Chełmińską dotarł kilka minut po czwartej. Właśnie spod numeru siedemnastego ruszał samochód. Renault pani Jareckiej. Major wyskoczył na jezdnię i ruchem ręki usiłował zatrzymać auto. Kobieta siedząca za kierownicą poznała oficera milicji, zahamowała i uchyliła drzwiczek.

– Spóźnia się pan – zauważyła, kiedy major zajął miejsce obok niej.

– Przepraszam, nie moja wina, nie mogłem wcześniej wyrwać się z pracy, a później miałem kłopoty z komunikacją. Oficerowie milicji nie mają tak pięknych wozów, jak niektórzy przedstawiciele naszego rzemiosła. Nam musi wystarczyć bilet miesięczny.

– Nikt nie musi być oficerem milicji – odcięła się piękna pani – a ciągle pisze się, że rzemieślników u nas jest za mało.

– Oficerów milicji także.

– Jedziemy do Pałacu Mostowskich?

– Broń Boże! Wysiedziałem się tam od rana. Czy pani jest po obiedzie?

– Zawsze jadam w warsztacie. Razem ze wszystkimi pracownikami. Poza tym nie lubię chodzić do restauracji. Nauczyłam się tego od Włodka. Mam nadzieję, że już znaleźliście morderców?

– Zmartwię panią. Nie natrafiliśmy na najmniejszy nawet ślad.

– Pan specjalnie przyjechał, aby zakomunikować mi tę „miłą” nowinę?

– Nie. Chciałem z panią porozmawiać o pewnych sprawach, które być może będą miały duże znaczenie dla śledztwa. Porozmawiać, zaznaczam od razu, półprywatnie.

Bez protokołu, uprzedzania o karalności za składanie fałszywych zeznań i innych formalności. Chciałem panią zaprosić na obiad, skoro jednak to odpada, może wstąpimy gdzieś na kawę? Ponieważ nasza rozmowa nie ma charakteru oficjalnego, ma pani prawo odmówić, zatrzymać wóz, a ja wysiądę.

– Jest pan dzisiaj wyjątkowo grzeczny, bardzo ugodowo nastawiony i znacznie miłszy niż w czasie naszego ostatniego

widzenia się w Pałacu Mostowskich, kiedy pan mnie przesłuchiwał. Wówczas pan wyraźnie podejrzewał, że to ja zamordowałam swojego męża. Obawiałam się nawet, czy wyjdę z gmachu komendy milicji.

– Ostatni raz widzieliśmy się u pana mecenasa Mieczysława Ruszyńskiego – sprostował Kalinowicz. – A co do tamtego przesłuchania, proszę nie mieć do mnie żalu. Dla milicji wszyscy są w pewnym stopniu podejrzani. Właśnie uwalnianie ludzi od podejrzeń jest naszym głównym zadaniem przy prowadzeniu dochodzenia. W końcu pozostaje ten, którego od podejrzeń uwolnić nie można, przestępca. Musiałem sprawdzić pani alibi, dowiedzieć się o jej pożyciu z mężem, stosunkach majątkowych i towarzyskich. Powiem szczerze, że to, co pani powiedziała, było później dokładnie sprawdzone.

– Teraz pan już mnie nie podejrzewa? – uśmiechnęła się piękna pani.

– Teraz już nie.

– Bardzo jestem zobowiązana. Czemu zawdzięczam tę łaskę?

– Po prostu wiem zarówno o sprawie, jak i o pani znacznie więcej niż wtedy, przy pierwszym przesłuchaniu.

– Ciekawa jestem, czego się pan o mnie dowiedział?

– Chyba wszystkiego, ale nie o tym chciałem rozmawiać.

– Nie wyproszę paha z samochodu – odpowiedziała Jarecka – chociażby dlatego, że to na nic by się nie zdało. Otrzymałabym oficjalne wezwanie i musiałabym się stawić w komendzie milicji. Wolę więc już „półprywatną”, jak pan ją nazywa, rozmowę.

– Czy w pobliżu jest jakaś kawiarnia?

– Proponuję co innego. Czy pan ma trochę czasu?

– Dla pani zawsze.

– Jestem zmęczona. Boli mnie głowa. Może pojedziemy nad Zalew? W Nieporęcie także dostaniemy kawy. W dzień powszedni o tej porze nie będzie tłoku.

– Doskonały pomysł.

Barbara Jarecka dojechała do skrzyżowania, wykręciła wozem i ostro ruszyła w stronę Wisły. Za chwilę samochód pędził bulwarem. Licznik wykazywał większą szybkość, niż dozwolona w obrębie miasta.

Kalinowicz w milczeniu obserwował kobietę prowadzącą wóz. Twarz miała ściągniętą, a oczy wpatrzone z uwagą w przestrzeń.

Prowadziła pewnie, ale ryzykancko. Z dwóch wariantów: zwolnić albo dodać gazu, zawsze wybierała szybkość.

– Lubi pani jazdę samochodem?

– Uwielbiam. Jak najszybszą. To chyba rodzinne. Pod tym względem niczym się nie różnimy z Zygmuntem. Moim bratankiem. Ten chłopak za posiadanie własnego samochodu sprzedałby chyba duszę diabłu.

– Diabli już dawno zaprzestali takich niekorzystnych dla siebie transakcji. Ale niech pani zwolni, bo nie pomoże obecność oficera milicji w wozie i wlepią nam mandat. Nie przejechaliśmy jeszcze czterech kilometrów, a pani przekroczyła chyba wszystkie przepisy kodeksu drogowego.

– O nie! Przepraszam! Nigdy nie wymuszam pierwszeństwa drogi – Jarecka zwolniła, szybkoomierz opadł do sześćdziesiątki. W tym tempie przejechali bulwary nad Wisłą, przedostali się na Pragę przez most na Cytadeli, dotarli do Stalingradzkiej i skręcili na szosę w stronę Zalewu. Tu piękna pani dała folgę swoim upodobaniom, zielony renault nabierał coraz większej szybkości. Strzałka zegara niebezpiecznie zbliżała się, a nawet przekraczała sto trzydzieści kilometrów na godzinę. Całe szczęście, że droga była prawie pusta.

– Obawiam się, że pani długo tak nie pojeździ – zauważył major.

– Dlaczego?

– Po prostu wóz się skończy, a po podwyżce cła do stu pięćdziesięciu złotych od kilograma drugiego pani nie kupi.

– Jeszcze kilka lat wytrzyma. Na liczniku nie ma więcej niż piętnaście tysięcy. Kupiłam w listopadzie, akurat zdążyłam przed podwyżką. Potem trzeba będzie jeździć polskim fiatem. Naturalnie nie tą szybkością, boby się ten grat w dwa tygodnie rozsypał.

Major nie podjął dyskusji na tak kontrowersyjny temat, jak wady i zalety wyrobów Fabryki Samochodów Osobowych. Jarecka zatrzymała wóz na parkingu i zaproponowała:

– Może się przejdziemy? Później wstąpimy na kawę.

– Z miłą chęcią.

Szli w milczeniu. Białe i czerwone żagle zataczały skomplikowane figury na lekko pomarszczonej powierzchni jeziora.

– Jachty mają dzisiaj piękną pogodę. Ciepło, a jednocześnie spory wiaterek.

– Nie mam przekonania do tego sportu. Dla mnie to za wolne. Już bym wolała ślizgacze.

– Jak pani sobie radzi ze wszystkimi sprawami? – major starał się, aby jego głos brzmiał najbardziej przyjacielsko.

– Jestem sama i muszę się z tym pogodzić. Bardzo dużą wyręką okazał się Zygmunt. Nie miałam do niego wielkiego przekonania. Młody człowiek nie lubiący pracy. Nic nie skończył. Zamiast rozumu, samochody w głowie. Czymś dorywczo handlował czy też pośredniczył w handlu samochodami i częściami zamiennymi. Kiedy przycisnęła go bieda, pracował u nas. Najchętniej rozwoził naszą warszawę towar po Polsce. To chyba jedyna praca, która mu odpowiadała. A mimo to Zygmunt był zawsze faworytem Włodka. Mąż miał do niego jakąś dziwną słabość. Lubił go za jego humor, bez troskę i za wszystkie wady. Nieraz też po cichu przede mną wspomagał tego chłopca różnymi zastrzykami gotówki.

– Sporo jest takich młodych ludzi. My, milicjanci, najwięcej o nich wiemy.

– Po śmierci Włodka Zygmunt zmienił się nie do poznania. W tych strasznych chwilach, które przeżyłam, nie wiem, co bym bez niego zrobiła: Zajął się pogrzebem i wszystkimi formalnościami, a mną opiekował się jak najlepsza matka. Teraz też mi pomaga.

– W warsztacie?

– Warsztat prowadzę sama od kilku lat. Włodek zajmował się sprawami zewnętrznymi. Był zaopatrzeniowcem i sprzedawcą towaru. Obecnie te funkcje częściowo przejął bratanek. Oczywiście pod moim nadzorem, bo nie ma jeszcze praktyki i rutyny, ale szybko się wyrabia. Poza tym z zamiłowania zajmuje się dwoma samochodami. Moim renaultem i firmową warszawą. Że ten wóz, jak pan się przekonał, jest tak sprawny, to właśnie zasługa Zygmunta, który go myje, pielęgnuje, sprawdza każdą śrubkę.

– No i jeździ nim w zamian za to – roześmiał się major. – Nareszcie może się przed dziewczynami pochwalić pięknym autem.

– Z tym jest gorzej, ko ciotka także lubi jeździć, chociaż nie dlatego, żeby podrywać młodych chłopców. A kiedy nie używam

samochodu, to i tak nie pożyczam go Zygmuntovi. Pod tym względem jestem strasznie samolubna. Musi biedak zadowalać się warszawą. I to najczęściej w sprawach firmowych.

– Z warsztatem nie ma kłopotów?

– Obawiałam się, że będzie opieczętowany aż do ukończenia postępowania spadkowego. Ale mecenas Resiewicz tak załatwił, że prowadzę go na prawach zarządcy. Po ugodzie z panem Kowalskim te problemy straciły na ostrości, bo i tak jestem jedyną spadkobierczynią. Włodek nie miał żadnych, nawet dalekich krewnych. Był, jak się to nazywa, „Ostatnim z rodu”.

– Z Kowalskim wszystko załatwione?

– Tak. Dzisiaj rano podpisywaliśmy w hipotece odpowiednie dokumenty. Mecenas Resiewicz od razu zaniósł je do sądu. Obu stronom było pilno, żeby to mieć za sobą.

– Ciągle się zastanawiam – zauważył oficer milicji – skąd ten Kowalski znalazł się w testamencie.

– Nie wiem. To w ogóle przykry dla mnie temat rozmowy – piękna pani lekko się wzdrygnęła.

– Pani zimno. Nad wodą wilgotno. Wracajmy.

Jarecka bez słowa zawróciła; weszli do kawiarni.

– Rozmowy z oficerami milicji – zauważył major, kiedy kelnerka ich obsłużyła – są zazwyczaj niezbyt przyjemne. Bardzo mi przykro, ale' muszę wrócić do tego tematu.

– Rozumiem. Mówi się trudno. Niech pan pyta.

– Czy pani mąż w ostatnich miesiącach i tygodniach życia nie zdradzał objawów jakiegoś zdenerwowania lub przygnębienia?

– Każdy usiłuje tłumaczyć zapis tym, że Włodek zwariował. Chociaż testament, a przede wszystkim jego uwagi o mojej osobie, skrzywdziły mnie, muszę odrzucić kategorycznie takie twierdzenia. Mój mąż był wspaniałym człowiekiem. Do ostatniej chwili cieszył się pełnym zdrowiem. Zarówno fizycznym, jak i umysłowym.

– Więc jakim sposobem ten Kowalski...

– Nie wiem. Nawet o tym nie myślę. Po prostu nic z tego nie rozumiem.

– Niech pani przeczyta ten list – major podał kobiecie pismo otrzymane od adwokata Ruszyńskiego. To, które dostał on swego czasu od Kowalskiego.

Barbara Jarecka przeczytała kartkę papieru.

– Kto to wysłał?

– Nie wiemy. Jak pani sama widzi, jakiemuś „przyjacielowi” pana Kowalskiego bardzo zależało na tym, aby wszedł on w posiadanie spadku. Co dziwniejsze, „przyjaciel” doskonale znał treść testamentu pani męża. Proszę zwrócić uwagę na datę tego listu. Ten sam dzień, w którym Włodzimierza Jareckiego znaleziono bez życia pod wiaduktem. Jest zastanawiające, skąd tajemniczy nadawca listu o tym wiedział. Przecież milicja miała wielkie kłopoty z identyfikacją zwłok.

– Nie daliście mi nawet zobaczyć go po śmierci. Nigdy wam tego nie darują.

– Pani Barbaro, ja osobiście wydałem ten rozkaz. Proszę mi wierzyć, zrobiłem to jedynie dla pani dobra. Widok człowieka, który runął z wysokości przeszło dwudziestu metrów głową na bruk, jest straszny. Chciałem pani tego oszczędzić.

– Jak go zidentyfikowaliście?

– Po ubraniu. W kieszonce spodni, tej u paska z lewej strony, zachowała się mała karteczka. Notatka krawca, u którego mąż szył garnitur. Właśnie z nazwiskiem i adresem klienta. Sprowadzony przez nas krawiec rozpoznał swoją robotę i potwierdził, że szył te spodnie na zamówienie pana Jareckiego. Wasi pracownicy także w podobny sposób zidentyfikowali swojego szefa.

– Kiedy wieczorem w Zakopanem powiedziano mi, że Włodek nie żyje, byłam zupełnie nieprzytomna. Nie pamiętam, jak dojechałam do Warszawy. Wiem, że zajęło mi to mniej niż pięć godzin. Błagam, zróbcie wszystko, żeby złapać mordercę.

– Pani ciągle jest przekonana, że to morderstwo?

– A cóż innego?!

– Widzi pani, przyznaję, że milicja nie jest tego taka pewna.

– Pan żartuje!

– Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Mówię najzupełniej poważnie. Dlaczego wykluczyć wypadek? Nasze dochodzenie nie znalazło ani jednego punktu zaczepienia, że to zbrodnia – major, zobowiązany tajemnicą, nie mógł zdradzić, że Jarecki popełnił samobójstwo. Usiłował jednak przekonać swoją towarzyszkę, że jej mąż nie zginął z cudzej ręki. Za kilka dni prokurator zawiadomi Jarecką o umorzeniu śledztwa. Trzeba ją na to przygotować. Choćby dlatego, żeby nie składała skargi do wyższych władz na

decyzję prokuratora i nie nabrała fałszywego przekonania o pracy milicji oraz prokuratury.

– Przecież nie będzie pan twierdził, że Włodek sam rzucił się z mostu na bruk? Na pewno nie popełnił samobójstwa.

– W takim wypadku, jak ten, niczego nie można być pewnym – ostrożnie zauważył Kalinowicz.

– Bzdura! Mój mąż był człowiekiem żywym, wesołym. Był też na swój sposób religijny. O samobójcach zawsze wyrażał się jako o tchórzach życiowych. Nie krył swojej pogardy dla ludzi, którzy w ten sposób rozwiązują swoje trudności życiowe.

– Nie twierdzę, że to samobójstwo, ale nie mogę wykluczyć nieszczęśliwego wypadku. Pan Jarecki, mówiąc delikatnie, nadużył i to. dość mocno alkoholu. Szedł przez most. Może zrobiło mu się niedobrze? Zbyt daleko wychylił się za barierę i stracił równowagę? Takie wypadki nieraz się zdarzały.

– Nie! Nigdy w to nie uwierzę. Co Włodek miał do roboty na moście Poniatowskiego?

– Był wtedy pijany. Ten fakt nie ulega wątpliwości. Stwierdzono stężenie alkoholu w organizmie na pograniczu utraty przytomności. Mógł więc po prostu nie orientować się, gdzie jest i w jakim kierunku idzie. Pani sama w swoich zeznaniach podkreśliła, że mąż nie miał żadnych wrogów. Nie widzimy żadnego motywu do popełnienia tej zbrodni. Przecież nic nie zginęło. Jak pani wie, rzeczy osobiste i dokumenty zmarłego znaleźliśmy w kantorku warsztatu. W tych okolicznościach ten zgon łatwiej wytłumaczyć nieszczęśliwym wypadkiem niż przestępstwem.

– Jest powód do morderstwa i nawet wiem, kto jest przestępcą.

– Kto?

– „Przyjaciel”. Zaś Stanisław Kowalski jego współnikiem.

– Badałem sprawę i pod tym kątem widzenia. Kowalski odpada. To mały złodziejasek, który nigdy by nie poszedł na mokrą robotę. Nie dlatego, że to by mogło kolidować z jego zasadami moralnymi, ale ze strachu. A poza tym, gdyby był współnikiem „przyjaciela”, to przecież ten nie pisałby do Wołomina takich listów. A Kowalski nie oddałby tego pisma mecenasowi Ruszyńskie- mu, ani też nie chwaliłby się tym listem.

– Pan mnie przekonał. Kowalskiego wykreślam. Pozostaje jednak „przyjaciel”. Pan powiedział, że był on poinformowany o

śmierci mojego męża nie później niż milicja. Z listu wynika, że znał treść testamentu.

– Pani rozumowanie jest słuszne. Ale tylko do pewnego momentu. Pomijam, że „przyjacielowi” nic by nie przyszło z tego, iż mieszkaniec Wołomina zostałby właścicielem warsztatu. Najwyżej mógłby szantażować Kowalskiego groźbą zdradzenia jego tajemnicy. Ale to jest zbyt skomplikowane i odrzucam tę hipotezę. Gotów jestem uwierzyć, że to zbrodnia i że „przyjaciel” jest mordercą. Nie tłumaczy to jednak faktu, że Włodzimierz Jarecki obarczył swój testament tak bezsensowną klauzulą. Właśnie o te kilka zdań wszystko się rozbija. Najbardziej logiczne rozumowania nie potrafią tego wytłumaczyć. A jednak trzeba przyznać, że tam, w treści tego testamentu musi tkwić jakaś logika. Tylko jaka?

– Nie wiem. Nic już nie wiem. Niech pan mnie nie męczy. Błagam pana – Barbara Jarecka była bliska płaczu.

– Proszę mi wybaczyć, ale mam jeszcze kilka pytań.

– Słucham – piękna pani była zupełnie zrezygnowana.

– Kiedy panią przesłuchiwałem, pytałem także i o pracowników warsztatu. Wtedy usłyszałem odpowiedź, że pani za nich ręczy. Teraz, znając list „przyjaciela”, czy podtrzymuje pani to twierdzenie? Niech pani weźmie pod uwagę, że tylko krawiec i pracownicy warsztatu byli tymi, którzy pierwsi dowiedzieli się o wypadku jej męża. Czy tajemniczy „przyjaciel” nie kryje się właśnie w waszym warsztacie?

– Nie. Na pewno nie. Wszyscy pracują od założenia warsztatu i byli z Włodkiem w jakiś sposób serdecznie związani. Jeden z nich jest jego kolegą z wojska. Kobieta, którą zatrudnił, to wdowa po łączniku z Powstania Warszawskiego. Ten trzeci także to od lat znajomy męża. Ci ludzie zarabiają stosunkowo bardzo dobrze. Na pewno lepiej niż gdzie indziej. Męża lubili i szanowali. Do mnie odnosili się początkowo dość nieufnie, ale w końcu i ja zdobyłam ich sympatię. Poza tą trójką są jeszcze uczniowie. Ale to młodzi chłopcy. Trudno ich posądzać o takie wyrafinowanie. Zresztą przyjęliśmy ich dopiero przed trzema miesiącami.

– Czasem wiele lat pracuje się z kimś i wcale się go nie zna. Nie wie się, do czego jest zdolny.

– Dla każdego z tych ludzi likwidacja albo tylko przejście warsztatu w obce ręce byłoby wielkim ciosem. Tym bardziej w

ręce takiego typka jak Kowalski, który przecież nie krył przed mecenasem Ruszyńskim, że chce wszystko sprzedać. Kiedy nasi pracownicy dowiedzieli się o testamencie Włodka, byli wprost zgnębieni. Jeszcze raz powtarzam, że całkowicie za nich ręczę.

– Drugie moje pytanie może wydać się pani nieco dziwne. Dlaczego posługujecie się w warsztacie taką starą maszyną do pisania?

Zielonooka kobieta uśmiechnęła się.

– Ile ja się z Włodkiem nawojowałam, aby pozbyć się tego grata. Mąż był dziwnie przywiązany do tej maszyny. Przywiózł ją gdzieś z zachodu. Śmiał się nieraz, że ten „Rheinmetał” jest jedyną jego zdobyczą wojenną. W jej remonty wsadził chyba więcej pieniędzy, niżby kosztowała nowa. W końcu pogodziłam się, bo u nas rzadko na niej się pisze. Rachunki wystawia się odręcznie, przez kalkę, a na maszynie jakieś listy względnie zamówienia.

– Pani dobrze pisze na maszynie?

– Pan chwalił się, że zna całą moją przeszłość. Wie pan i to zapewne, że przez pewien czas pracowałam na Wybrzeżu jako maszynistka.

– Przepraszam. Naprawdę zapomniałem o tym. A mąż pisał?

– Nawet nieźle. Ale tylko dwoma palcami.

– W domu używa pani nowego „Consula”, słyszałem, że to słabe maszynki i nie można na nich szybko pisać. Czy pani jest tego samego zdania? Muszę kupić sobie maszynę na prywatny użytek i pewien znajomy proponuje mi właśnie „Consula”. Co pani myśli o tej marce?

Barbara Jarecka ze zdziwieniem spojrzała na swojego towarzysza.

– Nie wiem. Drugiej maszyny nie mamy. Ani w warsztacie, ani w domu. Skąd panu przyszło to do głowy? A na „Consulu” nigdy w życiu nie pisałam.

– Widocznie coś mi się pomyliło – tłumaczył się zmieszany major. – Zdawało mi się, że w swoich zeznaniach wspominała pani o jakiejś maszynie do pisania, którą macie w domu.

– Nigdy nic takiego nie mówiłam. Widzę, że pan znowu mnie o coś podejrzewa. Może o to, że to ja jestem „przyjacielem”?

– Mogę przysiąc, że nie. Bardzo też przepraszam, że panią wymęczyłem rozmową na tematy na pewno dla niej niezbyt miłe – Leszek Kalinowicz ucałował rękę pięknej pani.

– Robi się już późno – zauważyła Jarecka. – Moja towarzyszka może się o mnie niepokoić.

– Towarzyszka?

– Po śmierci Włodka nie potrafię być sama w mieszkaniu. Wszystko w nim przypomina mi męża i całą naszą przeszłość. Początkowo mieszkał ze mną Zygmunt. Ale kiedy na schodach usłyszałam, jak pewna sąsiadka skomentowała to słowami: „Jeszcze ziemia na grobie męża nie obeschła, a ta już sobie sprowadziła młodego chłopca”, poprosiłam córkę pewnej naszej klientki, aby zamieszkała u mnie na jakiś czas. Bardzo miła i spokojna dziewczyna. No, ale wracajmy.

– Tylko proszę nie jechać tak szybko – zastrzegł oficer milicji.

ROZDZIAŁ VII

PRZEZ SZPARĘ W FIRANCE

Kamienica była stara. Mury solidne i grube. Niestety, jak tysiące domów warszawskich, i ona nie oparła się płomieniom ognia rozpalonego w dniu pierwszego września 1939 roku przez pewnego niedouczonego malarza z wąsikami i loczkiem nad niskim czołem. Spłonęła od bomb zapalających w czasie oblężenia stolicy. Mury trwały jednak dzielnie, aż doczekały się, że w dziesięć lat po wybuchu wojny nastał dla nich czas odbudowy. Wówczas rozebrano jedną oficynę, powiększono podwórko i odgradzono je od sąsiedniej posesji wysokim, trzymetrowym murem. Przy murze postawiono duży śmietnik, obecnie nie używany i zamknięty na kłódkę, gdyż zastąpiono go metalowymi pojemnikami.

Dochodziła północ. Księżyc swym sierpem niewiele rozjaśniał ciemności. Pomimo to w jego poświacie bystry obserwator, gdyby taki znajdował się na podwórzu, zauważyłby czyjąś głowę, która wychyliła się spoza muru.

Człowiek bacznie rozglądał się i nasłuchiwał, czy wszyscy już śpią w tej kamienicy. Widocznie uznał sytuację za pomyślną, bo zręcznie wspiał się na mur i bez najmniejszego hałasu zeskoczył na stojący pod nim śmietnik. Zejście stąd na ziemię nie przedstawiało najmniejszych trudności.

Przybysz dobrze znał ten teren. Już przedtem dokonał dokładnego zwiadu. Wiedział, że ta kamienica nie ma stałego dozorczy, na noc jest zamykana, a każdy lokator ma klucz. Wiedział też, że pewna mieszkanka drugiego piętra urządziła właśnie dziś wielkie pranie. Postanowił przeto sprawdzić na strychu, jak prezentuje się ta bielizna, czy warto zrobić z niej duży tobół i wycofać się z nim tą samą drogą, którą tu przyszedł. Złodziej zdążył nawet spenetrować, że strych jest zamknięty na ogromną i z pozoru niesłychanie solidną kłódkę. Wiedział, że to dzieło, raczej kowalskiej niż ślusarskiej sztuki, można bez trudu otworzyć kawałkiem zagiętego drutu. Taki drut miał w kieszeni. Gumowe „pepegi” pozwalały mu poruszać się bezszelestnie.

Dopiero na podwórzu amator cudzej bielizny zauważył, że nie wszyscy w kamienicy ułożyli się do snu. W bocznej oficynie, na parterze, w jednym z mieszkań jeszcze paliło się światło. Człowiek w „pepegach” podsunął się pod mur. Ostrożnie zajrzał do wewnątrz.

Wąziutka szpara pomiędzy nie całkowicie zasuniętymi firankami pozwalała dojrzeć fragment pokoju. Przy stole siedział mężczyzna. Przed nim pusty talerz i kieliszek po wódce. Po pokoju chodził drugi mężczyzna. Złodziej słyszał jego głos, ale nie widział postaci. Wietrznik u góry okna był uchylony i rozmowę słyszeć było zupełnie wyraźnie.

– Przecież ci tłumaczę, że w tej chwili nie mam. Trzeba poczekać.

– Już i tak za długo czekam.

– Sprawy się skomplikowały. Sam o tym dobrze wiesz.

– To mnie nic nie obchodzi. Umowa stała, robię swoją robotę i dostaję forszę.

– Dostałeś!

– Co ja tam dostałem? Ty masz zagarnąć wszystko, a ja parę nędznych groszy? Nie ma frajera. Musisz dołożyć.

– Dołożę. Czy ja mówię, że nie? Tylko muszę mieć z czego dołożyć. W tej chwili z próżnego nie naleję. Będę miał, to i ty dostaniesz.

– Jak nie masz, weź z interesu.

– Stary jesteś, już ci głowa łysieje, a mówisz jak dziecko. W jaki sposób mam wziąć z interesu? Albo on jest mój? Musisz trochę poczekać. Niedługo.

– Nic mnie nie obchodzą twoje kombinacje. Ja swoje zrobiłem, a ty za to płac. Bo jak nie, sam wiesz, znajdą się tacy, którzy by dobrze za to zapłacili. Tobie i mnie. Chyba rozumiesz, o czym mówię...

– Grozisz mi? Nie bądź głupi.

– Nie grożę – siedzący przy stole mężczyzna nieco się zreflektował.

– Po co mamy się kłócić? – spacerujący również nie chciał zadrażniać dyskusji. – Zdobądź się na trochę cierpliwości. Staram się właśnie o pieniądze.

– Kiedy?

– Nie mogę określić ścisłego terminu. To zależy od różnych okoliczności. Mnie samemu pilno i chyba nie potrzebuję cię o tym przekonywać. Może miesiąc, może dwa.

– Nie ma tak dobrze. Muszę mieć forszę zaraz. Mam nóż na karku. Nie mogę czekać tatka-latka. Aż się panu hrabiemu spodoba rzucić mi jakieś ochłapy. Kiedy robi się taki interes, trzeba być przygotowanym, że to kosztuje, i mieć pieniądze.

– Robi się interes, żeby mieć pieniądze i będę je miał. A ty wiesz o tym.

– Mowa-trawa. Szkoda gadki. Musisz bulić.

– Zaraz?

– Zaraz. Dziesięć patyków, jak mówiłem. Dzisiaj muszę mieć te pieniądze.

– Zrozum, nie mam. Postaram się za tydzień.

– Dzisiaj – siedzący mężczyzna był nieustępliwy.

– Twardy jesteś.

– Gdybym nie był twardy, nie brałbyś mnie do tej roboty.

– Mam przy sobie cztery tysiące. Firmowe. Nie moje. Dam ci je teraz, a resztę za tydzień. Naprawdę nie mam.

– Mówiłeś, że nie masz ani grosza, a teraz cztery koła się znalazły! – triumfował człowiek za stołem.

– Powtarzam, że nie moje. Miałem za nie jutro rano kupić towar dla firmy.

– A co mnie to obchodzi? No dobra, dawaj te cztery patyki. A spróbuj nie dopłacić za tydzień!

– Coś ty?

– No! Znasz mnie. Jeszcze nikt nie zrobił ze mnie frajera, a wielu spotkał dobry obciach.

– Będziesz miał te pozostałe sześć tysięcy. A teraz bierz cztery. Złodziej widział, jak jakaś ręka podała siedzącemu zwitek banknotów.

– Przelicz, żebyś nie mówił, że cię oszukałem.

– A ty myślisz, że nie przeliczę? Za dobrze cię znam.

Siedzący przy stole mężczyzna odsunął stojący przed nim pusty talerz i zabrał się do liczenia pieniędzy. W pokoju zapanowała cisza.

Nagle człowiek zza okna zobaczył tę samą rękę, która podawała pieniądze, tym razem uzbrojoną w ciężki młotek. Mignął w powietrzu, nim zwałił się na głowę liczącego banknoty. Łysiejący szatyn nawet nie jęknął. Głowa opadła na stół. Rozległ się cichy śmiech.

– Twardy byłeś, ale i na ciebie znalazł się sposób. Nie będziesz, draniu, więcej mnie żyłował. Doigrałeś się tego, co ci się dawno należało.

Ręka zagarnęła leżące na stole banknoty.

Przerażony złodziej odskoczył w najciemniejszy kąt podwórka. Najchętniej uciekłby gdzie pieprz rośnie, ale ze strachu bał się nawet ryzykować przeprawy przez mur. Przycupnął w kącie i siedział bez ruchu.

Upłynęło z pół godziny, a może ukrytemu w ciemności tak czas się dłużył. Już, już decydował się, aby podbiec do śmietnika i jednym susem przeskoczyć na drugą stronę muru, kiedy drzwi wejściowe do oficyny cicho skrzypnęły. Ktoś wyszedł na podwórze. Złodziej nie widział twarzy, ale domyślił się, kim jest ten szczupły, wysoki człowiek, który zatrzymał się na środku podwórka i pilnie rozglądał wokół. Nie dostrzegł widocznie niczego podejrzanego, bo swoje kroki skierował w stronę bramy. Zgrzytnął klucz i w ciemnej wnęce sklepienia zarysował się dużo

od niej mniejszy i jaśniejszy prostokąt. Morderca otworzył furtkę i wyszedł na ulicę. I tam przez chwilę badał sytuację. Potem wrócił, by zniknąć w oficynie.

Złodziej przyczajony w kącie podwórka bał się głośniejsz oddychać. Wiedział, co nastąpi. Rzeczywiście, niewiele minęło czasu, kiedy drzwi wejściowe do domu znowu się uchyliły. Ten sam człowiek wyszedł na podwórze. Teraz jednak był zgięty w pół, z wielkim garbem na plecach. Złodziej wiedział, że ten garb to duży worek i domyślał się zawartości tego pakunku.

Morderca na mgnienie oka zatrzymał się w bramie. Najwidoczniej badał teren, aby zorientować się, czy może go bezpiecznie opuścić. Uznał, że nie ma niebezpieczeństwa, i zniknął w głębi ulicy. Brama pozostała jednak otwarta. Postać okryta mrokiem podwórza czekała na zakończenie makabrycznego widowiska. Ten, który zabił, wrócił i zamknął bramę na klucz. Rozległ się przytłumiony warkot zapuszczanego motoru i odjeżdżającego samochodu. Potem wszystko ucichło. W kamienicy spano mocnym snem.

Mimo to złodziej zrezygnował z oglądania bielizny na strychu. Bezszelestnie przesunął się w stronę śmietnika. Jeszcze trochę i jego głowa, a później cały korpus zarysowały się w blasku księżyca nad murem rozdzielającym sąsiednie domy. „Pepegi” stłumiły odgłos skoku na drugą stronę i nic już więcej nie zakłócało spokoju nocy.

Gdyby złodziej, będący świadkiem morderstwa, mógł widzieć, co działo się za bramą, zauważyłby, że samochód szybko wystartował przed kamienicą i skierował się w stronę śródmieścia. Kierowca prowadził wóz pewnymi ruchami. Był zupełnie spokojny, choć rozglądał się czujnie, czy nie wyłoni się z jakiejś bocznej ulicy radiowóz lub nie napotka lotnej kontroli ruchu. Te jednak po północy należą w Warszawie do wyjątków.

Na placu Unii Lubelskiej kierowca odetchnął z ulgą. Pierwsze niebezpieczeństwo miał za sobą. Na głównych ulicach, pomimo późnej pory, ruch był większy, nie groziło ryzyko przypadkowego zatrzymania. Samochód jechał więc spokojnie Marszałkowską, skręcił w Aleje Jerozolimskie, objechał rondo przed Domem Partii i znalazł się na Nowym Świecie. Jeszcze dwa zakręty. Najpierw Foksal, później Kopernika i Tamką w dół.

Przy widocznym z daleka na tle Wisły pomniku Syreny samochód na chwilę się zatrzymał. Kierowca lustrował dwie strony bulwaru nad rzeką. Nie było widać żywego ducha. Przestępca uspokojony skręcił w stromy zjazd i przyhamował dopiero nad samym brzegiem wody. Zgasił wszystkie światła i siedział bez ruchu. Badał sytuację. Panowały cisza i spokój. Tylko po pobliskim moście kolei średnicowej przeleciał jasno oświetlony sznur wagonów. Pociąg elektryczny do Mińska lub do Otwocka. Kierowca wysiadł z samochodu. Ten człowiek był bardzo ostrożny, ale i pewny siebie. Parę spojrzeń w prawo i w lewo, mocny chwyt worka leżącego na podłodze wozu, kilka kroków w dół nad samą Wisłę i cichy plusk wody. Znowu nic nie mąciło spokoju czerwcowej nocy. Samochód bez zapalania świateł wyjechał na bulwar, dopiero tutaj rozbłyły żarówki auta. Wóz nabierając szybkości oddalał się od pomnika Syreny. Następnie skręcił w Obożną, by z powrotem dotrzeć do Nowego Świata, kierowca już nie wrócił do miejsca, gdzie niedawno parkował wóz. Zatrzymał się przed innym domem. Nikt z kamienicy nie słyszał po cichu otwieranej bramy. Nikt poza pechowym złodziejaszkiem niczego nie widział.

Po dniu pracy ludzie spali zdrowym, mocnym snem. wśród nich był też morderca. I jego snu nic nie zakłócało. Nawet sumienie.

Rankiem jak zwykle wstał, ogolił się i pojechał do roboty. Koledzy zauważyli, że tego dnia ich towarzysz jest w wyjątkowo dobrym humorze.

- Coś taki wesoły? – zapytał go jeden ze współpracowników.
- Miałem wczoraj dobry fart.
- Dziewczyna? Ładna była?
- Nie. Mężczyzna.

Wszyscy roześmieli się z doskonałego żartu.

A przecież on powiedział jedynie prawdę.

Tego samego ranka aż trzy samochody milicyjne stały na Wybrzeżu Kościuszkowskim przy Syrenie. Milicjanci mieli dużo pracy.

O świcie dwaj zamiłowani rybacy: Jerzy Chrabicki i Tadeusz Janukowicz wybrali się „na rybki”. Wiadomo, ryba najlepiej bierze o pierwszym brzasku. Obaj mężczyźni rozlokowali się wygodnie na brzegu rzeki, rozłożyli wędziska, przygotowali przynętę i już

mieli zarzucić pierwsze wędki, kiedy jeden z nich zauważył jakiś przedmiot.

Oto w zielonkawej, na wpół przezroczystej wodzie wyraźnie rysował się duży kształt, leżący na dnie rzeki tuż przy brzegu. Wartki prąd nie mógł zagarnąć ze sobą tego przedmiotu i potoczył w dół rzeki na większą głębokość, gdyż ugrzązł on pomiędzy wielkimi głazami leżącymi tutaj jako pozostałość dawnych umocnień rzecznych.

– Popatrz, Jerzy, chyba jakiś worek? – zawołał Tadeusz.

– Worek. Solidnie załadowany. Ciekawy jestem, co jest w środku. Woda ciepła, rozbiorę się i wyciągnę. Tam nie ma więcej niż półtora metra.

Wędkarz zaczął ściągać sweter.

– Daj spokój – mitygował go nieco starszy kolega. – Diabli wiedzą, co może być w takim worku i kto go wrzucił do rzeki. Lepiej idź do automatu i zadzwoń po milicję. To raczej ich sprawa.

– Będzie im się chciało o tej porze biegać nad Wisłę? Pomyślą, że ktoś z nich wariata struga.

– Idź do elektrowni. Stamtąd zadzwonisz. Wylegitymujesz się strażnikowi, wtedy będą wiedzieli, że nie lipa.

Milicja nie zlekceważyła wezwania. Nie minęło piętnaście minut, kiedy przed Syreną zatrzymał się pierwszy radiowóz. Tadeusz Janukowicz czekał na niego.

– To obywatel dzwonił do Pogotowia Milicyjnego? – zapytał sierżant gramoląc się z wozu.

– Nie. Nie ja. Kolega. Jerzy Chrabicki.. Stoi tam nad rzeką.

– A gdzie te skarby?

– W wodzie widać duży wór – tłumaczył wędkarz. – Tuż przy brzegu. Na głębokości półtora albo dwóch metrów. Może nawet nie tyle.

– No dobrze. Pokażcie.

Milicjanci stanęli nad wodą.

– Gdzie to?

– Tam, panowie, jak ten duży kamień, a obok ten mniejszy. Widzicie ten worek?

Milicjanci wpatrywali się uważnie. Nie od razu utrafili wzrokiem we wskazywane im miejsce. Ludzie rzeki, a takimi są przecież rybacy, lepiej widzą dno' Wisły.

– Jest! – wykrzyknął jeden z milicjantów. – O tam! Pełny. Jak go wydostać?

– Trzeba się rozebrać i wejść do Wisły. Woda ciepłutka, mimo że to dopiero wół do czwartej. Jeżeli panowie chcecie, pomogę...

– Dam znać do komendy – zdecydował sierżant.

Z radiowozu przeprowadzono rozmowę z oficerem dyżurnym w dyspozytorni, a ten zawiadomił Pałac Mostowskich o znalezisku rybaków. Następny samochód udał się w drogę Tamką w dół. Tą ekipą kierował porucznik Stefan Nowak. Na ochotnika jeden z kaprali rozebrał się i razem z Jerzym Chrabickim wszedł do wody. Dwie nieudane próby, w końcu wędkarzowi udało się chwycić za kawał materii. Przy pomocy swojego towarzysza wyrwał worek spomiędzy kamieni. Dalej poszło łatwo. Dociągnęli swój ciężar do brzegu, gdzie wyciągnęło się po niego kilka par rąk.

Wór związany był kawałkiem konopnego sznurka, zaciśniętego na supeł. Trudno było go rozplątać, pomimo to porucznik nie przeciął linki, lecz łamiąc przy tym dwa paznokcie zdołał rozluźnić węzeł. Delikatnie rozchylił mokrą tkaninę i zajrzał do wnętrza. Milicjanci zobaczyli ludzką głowę a dalej. resztę korpusu.

– Heniek – polecił oficer zamykając worek – daj natychmiast znać, żeby przysłali techników dochodzeniowych. Powiedz im, co widziałeś.

Niedługo potem następny samochód z literami MO zatrzymał się przy dwóch poprzednich. Rozpoczęły się normalne czynności dochodzenia: fotografowanie miejsca, worka, a później wydobytych z niego zwłok, oględziny lekarskie, zdjęcia odcisków palców itd.

Lekarz milicyjny po obejrzeniu ciała orzekł, że zabity mężczyzna ma pięćdziesiąt do pięćdziesięciu pięciu lat. Wzrost wysoki. Włosy ciemne, czoło wysokie przedłużone łysiną, wydatny nos, dobrze zarysowany podbródek.

Zwłoki były całkowicie nagie.

Milicji nie udało się ustalić tożsamości tego człowieka za pomocą odcisków palców. Tego rodzaju odbliski nie figurowały w Głównym Biurze Daktyloskopijnym. Sekcja zwłok stwierdziła, że jedyną przyczyną śmierci był silny cios w tył czaszki, zadany jakimś tępym narzędziem. Stężenie alkoholu we krwi wskazywało,

że zamordowany bezpośrednio przed śmiercią wypił parę kieliszków wódki.

Milicja sprawdzała skrupulatnie wszystkie meldunki o ludziach zaginionych w ostatnim czasie. Co miesiąc w Polsce „ginie bez śladu” kilkadziesiąt osób. Część z nich milicja odnajduje po pewnym czasie. Pozostaje jednak spory margines takich, którzy, jak to określają komunikaty MO zamieszczane w dziennikach, „wyszedł z domu i nie powrócił”, i na ich ślad nigdy się już nie natrafia. Najczęściej są to samobójcy, starający się nie dopuścić do odnalezienia ich zwłok. Na przykład odbierają sobie życie tonąc z przymocowanym u szyi ciężarem w głębokim jeziorze lub skacząc ze skały w jakimś odludnym zakątku górskim. Wśród tych, którzy „wyszli i nigdy nie powrócili”, są także ofiary zbrodni.

Jednakże nie natrafiano na najmniejszy ślad pozwalający zidentyfikować „człowieka w worku”. Ten dziwny brak zainteresowania mężczyzną, który zapewne miał jakąś rodzinę, jakichś znajomych, może gdzieś pracował, kazał milicji przypuszczać, że jest to ktoś ze świata przestępczego. A ludzie z tych kół nie zwykli ze swoimi kłopotami zwracać się do MO.

W tej sytuacji Komenda Stołeczna MO postanowiła jeszcze raz za pośrednictwem prasy i telewizji odwołać się do pomocy społeczeństwa.

Komunikat o makabrycznym odkryciu dwóch rybaków zamieszczono we wszystkich stołecznych dziennikach. Zaopatrzone go w zdjęcie twarzy znalezionej mężczyzny. Ten sam komunikat radio powtórzyło kilkakrotnie, zaś telewizja pokazała na szklanym ekranie podobiznę „człowieka w worku”.

ROZDZIAŁ VIII

POZNAJĘ TEGO CZŁOWIEKA. TO JEST...

Mecenas Mieczysław Ruszyński zwykł był rozpoczynać swoje urzędowanie w zespole od czytania popołudniówki. Wyjmował gazetę ze swojej brązowej, mocno zniszczonej teczki i wygodnie siedząc w fotelu uważnie ją studiował. Dopiero po zapoznaniu się

z najnowszymi wydarzeniami, sławny adwokat przyjmował klientów.

– Dwóch panów czeka na mecenasa – zameldował woźny Franciszek.

Ostatnimi czasy Franciszek coraz częściej narażał się prawnikowi.

– Przecież pan widzi, że nie przejrzałem jeszcze gazetki! Niech poczekają.

Adwokat spokojnie rozwinął pismo i zagłębił się w czytanie drugiej strony dziennika. Tutaj jego uwagę zwróciło opisanie ze wszystkimi szczegółami wydarzenie na brzegu Wisły. „Czerwoniak” nie ograniczył się tylko do przedrukowania komunikatu milicji, ale uzupełnił tę wiadomość własnymi detalami i rozmową z obu pechowymi rybakami, którzy zamiast szczupaka czy brzany wyciągnęli z wody nagie zwłoki mężczyzny.

„Może do indentyfikacji zwłok przyczyni się charakterystyczny znak szczególny, który zauważył nasz reporter – pisała popołudniówka. – Oto zamordowany mężczyzna miał na prawym ręku, powyżej przegubu dłoni, bliznę czerwonego koloru o szerokości około centymetra i długości około sześciu centymetrów. Najprawdopodobniej znak po nożu lub oparzeniu. Rana ta odniesiona została nie dalej jak trzy, cztery lata temu.”

– Ale bujają – mruknął mecenas – przecież w innych pismach komunikat milicyjny także podaje ten znak szczególny. Jego odkrycie nie jest więc zasługą reportera popołudniówki, lecz lekarza milicyjnego.

Natomiast zdjęcie w popołudniówce było znacznie wyraźniejsze niż w prasie porannej. Mieczysław Ruszyński długo wpatrywał się w twarz mężczyzny, którego ciało znaleziono w tak niecodziennych okolicznościach. Pan Franciszek jeszcze raz zajrzał do boksu adwokata.

– Panie Franciszku, czytał pan o tym trupie w worku na dnie Wisły?

– Czytałem i w radio słyszałem. Wczoraj w telewizji także pokazywali.

– Ja go chyba znałem?

– Mógł pan mecenas widzieć go w sądzie. Myślę, że nieraz siedział na ławie oskarżonych. I jeszcze jedna pani przyszła do

pana. I ci dwaj bardzo się denerwują, że już przeszło pół godziny czekają. Mówią, że im się bardzo śpieszy.

– U adwokata każdemu się śpieszy. Szkoda, że nie zostałem dentystą. Tam choć w poczekalni pełno, do gabinetu trzeba zapraszać. Nikt się dobrowolnie nie pcha. Przydałby się i mnie taki świder elektryczny dla nudniejszych klientów. No dobrze, dawajcie, Franciszku, tych dwóch.

Dwaj panowie mieli skomplikowaną sprawę do załatwienia. Ruszyński przestał myśleć o trupie w worku i zajął się udzielaniem porady prawnej. Ale kiedy jeden z przybyłych pochylił się nad biurkiem, aby podpisać pełnomocnictwo, rękaw jego marynarki nieco się zawinął. Nagła błyskawica przeszła głowę adwokata. Ten ruch, taki s.am ruch widział niedawno przy tym stole. Wtedy człowiek podpisujący papier miał na ręku bliznę. Czerwoną i szeroką bliznę jak ta. o której wspomniano w komunikacie milicyjnym.

Ale kto to był? Mecenas z trudem opanował roztargnienie, poprosił klientów, aby przyszli za tydzień, ponieważ trzeba się dobrze zastanowić, w jaki sposób dalej pokierować tak ważną i zawiłą sprawą. Po uwolnieniu się od tej dwójki przyszła kolej na czekającą w korytarzu kobietę i dwóch następnych klientów. W szybkości załatwiania interesantów „Miecio” pobił dzisiaj chyba wszystkie swoje rekordy.

Niestety, nie mógł sobie przypomnieć nazwiska człowieka z blizną ani w jakiej sprawie ten klient przyszedł do adwokata. Nie pomogły nawet dwie kawy i coś mocniejszego, czym adwokat usiłował odświeżyć swoją pamięć.

Dopiero w nocy Ruszyński obudził się z wręcz absurdalną myślą. Tak dziwną, że już do samego rana chluba warszawskiej palestry wiercił się z boku na bok, drzemał, zapadał w półsen, ale nie mógł zasnąć naprawdę.

Przed ósmą mecenas zadzwonił do przyjaciela, adwokata z tego samego zespołu, i poprosił o zastąpienie go w badaniu świadków w Sądzie Powiatowym dla miasta Pruszkowa, który to sąd, jak sama nazwa wskazuje, mieści się w... Warszawie, w gmachu hipoteki, ściętnionej wskutek tego do nieprawdopodobnych rozmiarów. Ruszyński usprawiedliwił się przed kolegą nagłym wezwaniem do milicji.

Pocziwy przyjaciel nie zawiódł. Posądzał wprawdzie Mięcia o „kaca”, ale zastępstwo przyrzekł. A Miecio miał rzeczywiście „kaca” po nie przespanej nocy, ale już przed dziewiątą wchodził do Pałacu Mostowskich i poprosił dyżurnego o zameldowanie go majorowi Leszkowi Kalino-wiczowi.

– Oo, mecenas – zdziwił się oficer milicji, ale życzliwie powitał sympatycznego adwokata. – Jakie bogi sprowadzają pana do tego gmachu i czym możemy służyć? Czy jakieś nowe komplikacje ze spadkiem po Jareckim?

– Nie. Tam wszystko w porządku. Niedługo pani Barbara Jarecka obejmie w swoje posiadanie cały majątek po zmarłym mężu.

– Czym zatem mogę służyć?

– Ja w sprawie tego „trupa w worku”. Pan major zna sprawę?

– Naturalnie! Chyba wszyscy w Warszawie ją znają. Zaznaczam jednak, że nie ja ją prowadzę.

– Nie szkodzi. Chodzi mi o to, czy już zidentyfikowano tego faceta.

– Zaraz sprawdzę.

Major nakręcił jakiś numer i zamienił kilka zdań. Odłożył słuchawkę.

– W związku z komunikatem i artykułami w prasie milicja otrzymała moc listów i telefonów – wyjaśnił. – Jeszcze nie wszystkie meldunki sprawdzone, ale te, które opracowano, okazały się fałszywe. Dochodzenie nie ruszyło na razie naprzód.

– Może ja mógłbym dopomóc? Zdaje się, że miałem klienta z taką bliźną. Fotografia również wykazuje pewne podobieństwo.

– Jak nazwisko tego klienta?

– Wolałbym najpierw obejrzeć zwłoki – adwokat był ostrożny. Jego teoria była tak nieprawdopodobna, że znany prawnik bał się ośmieszyć w oczach milicji. – Czy da się to zrobić? Pewnie są w prosektorium na Oczki?

– Zaraz załatwię, żeby pan nie miał żadnych przeszkód w oględzinach.

Major znowu zatelefonował.

– Załatwione – stwierdził. – Może pan jechać do prosektorium. Nie tłumaczę, gdzie to jest, bo na pewno pan dobrze wie.

– Jeszcze z czasów, kiedy słuchałem wykładów profesora Grzywo-Dąbrowskiego z medycyny sądowej – roześmiał się adwokat. – Prawie czterdzieści lat temu.

– Gdyby mecenas odkrył coś ważnego, proszę dać mi znać albo bezpośrednio skomunikować się z kapitanem Józefem Milczarkiem, który prowadzi dochodzenie w tej sprawie. Pan go zna? To on zajmował się tymi fałszerzami dolarów.

– Jeżeli moje przypuszczenia potwierdzą się, wrócę do pana majora. Będzie pan tutaj za godzinę? Zdażę, bo prosto stąd jadę na Oczki.

– Będę cały dzień. Mam teraz taką siedzącą robotę. Kontrola spraw umorzonych. Całe dni spędzam przy biurku na przeglądaniu stert najrozmaitszych akt. Niektóre nawet sprzed kilkunastu lat. Uprzedzę przy wejściu, żeby pana puścili bez żadnych formalności.

Przejazd na Oczki zajął adwokatowi kilka minut. Gorzej było z zaparkowaniem fiata. W tym punkcie stolicy gęsto jest od urzędów z dwoma ministerstwami na czele, a tylko jeden niewielki parking. Wreszcie udało się Ruszyńskiemu złapać kawałek wolnego miejsca na Hożej. Zamknął wóz i pomaszerował do prosektorium.

Adwokat długo przyglądał się leżącemu przed nim człowiekowi. Twarz niby ta sama, a jednak trochę inna. Elizna na ręku? Wtedy Ruszyński widział tylko jej kawałek wystający spod koszuli. Ale chyba była identyczna. A ten brak zęba z lewej strony w górnej szczęce? Teraz mecenas doskonale sobie przypomniał, że tamten klient miał ten sam brak w uzębieniu. Im dłużej prawnik wpatrywał się w leżące przed nim zwłoki, tym większej nabierał pewności. Znał tego mężczyznę. Raz w życiu rozmawiał z nim w zespole adwokackim. Potem już go nigdy nie zobaczył. Ale też i nigdy nie przypuszczał, że z tym klientem zetknie się dzisiaj w prosektorium. Adwokatowi nie mogło się to wprost pomieścić w głowie. Ale chyba nie ma dwóch identycznych czerwonych blizn na prawych rękach i dwóch identycznych braków w uzębieniu? A poza tym to samo łysiejące czoło, ten wydatny nos i mocno ' zarysowany podbródek...

– No i cóż? – zapytał major Kalinowicz na widok Ruszyńskiego wkraczającego do jego pokoju.

– Ja naprawdę zwariowałem!

- Skąd ten pesymistyczny wniosek?
- Wracam z prosektorium.
- To wiem. Znał mecenas tego człowieka?
- Tak. Z całą pewnością poznaję go. To mój klient.
- To świetnie – major okazał duże zadowolenie. – A więc identyfikację zwłok mamy z głowy. Pierwszy poważny krok naprzód w dochodzeniu. A to ucieszy się kapitan Milczarek! – oficer sięgnął do telefonu.
- Chwileczkę, majorze. Proszę jeszcze nie dzwonić.
- Dlaczego?
- Poznałem tego człowieka. To jest Włodzimierz Jarecki. Ręka wyciągnięta do telefonu opadła.
- Pan żartuje, mecenasie?
- Mówię najzupełniej poważnie. W prosektorium znajdują się zwłoki Włodzimierza Jareckiego.
- Przecież on popełnił samobójstwo przed dwoma miesiącami i został pochowany. Obaj z mecenasem byliśmy na jego pogrzebie.
- Tamtych zwłok nie oglądałem.
- Zaraz, zaraz – zastanowił się major – rzeczywiście cała twarz Jareckiego została zmasakrowana wskutek upadku na bruk z wiaduktu mostu Poniatowskiego. Zidentyfikowano go na podstawie garnituru i innych szczegółów odzieży oraz na podstawie podobieństwa budowy fizycznej. Świadkowie stwierdzili, że znaleziony pod mostem nieboszczyk to fabrykant dewocjonalii. Ciekawe, fantastycznie ciekawe. Czy jesteście, mecenasie, pewni swojego odkrycia?
- Absolutnie. Gotowy jestem podpisać oficjalny protokół nawet z adnotacją, że za fałszywe zeznania grozi odpowiedzialność prawna.
- Ale jeżeli pan się nie myli, jak to rozumieć?
- W zespole z Jareckim rozmawiał także nasz woźny – Franciszek Mioduszewski. On także powinien poznać zabitego.
- Czy Mioduszewski jest teraz w zespole?
- Jeżeli nie załatwia czegoś na mieście...
- Niech pan zatelefonuje i jeżeli go pan zastanie, proszę go poprosić, - aby zaraz pojechał na Oczki i poczekał na nas przy wejściu. Ale nie uprzedzajmy go, o co chodzi. Lepiej nie sugerować świadka.

Na szczęście telefon w zespole odebrał właśnie pan Franciszek. Trochę się zdziwił niezwykłym poleceniem, ale zapewnił, że weźmie taksówkę i wkrótce zjawi się na Oczki.

– Doskonale – ucieszył się Kalinowicz. – To i my jedziemy. Tylko postaram się o jakiś wóz służbowy.

– Nie trzeba. Mam swojego fiata – powstrzymał go adwokat.

Kiedy dwaj panowie podjeżdżali pod budynek prosektorium, właśnie ze stojącej przy wejściu taksówki wysiadał Franciszek. Mecenas dokonał prezentacji.

– Pokażemy panu pewne zwłoki – wyjaśnił major. – Niech pan sobie przypomni, czy widział pan kiedykolwiek tego człowieka. A jeśli tak, to gdzie? Ewentualnie jak się nazywa.

– Wolałbym oglądać żywą, młodą dziewczynę. Ale mówi się trudno.

Zeszli do podziemia. Pracownik prosektorium zsunął z ciała biały całun.

– Poznaje pan?

Franciszek Mioduszewski długo wpatrywał się w twarz zabitego.

– Jak gdybym go widział... Chyba w naszym zespole. Niedawno. Z miesiąc, może dwa. Czy on nie przychodził do pana mecenasa?

Adwokat nic nie odpowiedział. Nie chciał wpływać na opinię pana Franciszka

– Ten ząb na przodzie, a właściwie brak tego zęba? Chyba nosił popielaty garnitur. Siedział na trzecim krześle, licząc od drzwi wejściowych. Chyba ten...

– Widzę, że pan sobie przypomina – zachęcał major.

– Już wiem! Pan mecenas nie chciał go przyjąć, bo był umówiony z taką jedną rudą, Co to przychodziła do zespołu przed tą blondynką, co teraz...

– Mniejsza o to – Ruszyński dał panu Franciszkowi znak ręką, żeby woźny nie zgłębiał mozaiki pięknych dziewcząt odwiedzających czasem zespół.

– Tak, tak – woźny był już zupełnie pewny siebie. – Dał mi nawet pięćdziesiąt złotych, żebym mecenasa namówił do przyjęcia go. Tłumaczył, że ma bardzo ważną sprawę i koniecznie musi się z panem zobaczyć. Potem biegałem do „Szanghaju”, bo tam na pana mecenasa...

– Mniejsza o te szczegóły – adwokat znowu przerwał. Stanowczo ten Franciszek jest zbyt gadatliwy i za dużo sobie pozwala.

– Pan mecenas go przyjął – ciągnął dalej Mioduszewski. – Przypomniałem sobie i nazwisko. To był ten pan Jarecki, co to zdeponował u nas testament, a później zabił się pod wiaduktem. Ale, ale – pan Franciszek zamilkł zmieszany – musiało mi się coś poplątać, bo przecież tamten zginął dużo wcześniej i wiem, że pan mecenas był na jego pogrzebie.

– Mniejsza o to. Niech pan po prostu odpowie, czy to jest Jarecki?

– Gdybym nie wiedział, że Jarecki został zabity w maju i nie słyszałbym, że miał całą głowę zmiażdżoną, odpowiedziałbym, że tak. Wprawdzie twarz jest niezmienną, ale oglądałem go żywego, a teraz widzę na stole.

– To mi wystarczy. Bardzo dziękuję, panie Mioduszewski. Jeżeli trzeba będzie, to zaprosimy pana do Komendy Milicji, do Pałacu Mostowskich, dla podpisania protokołu.

– Zawsze podpiszę to, co teraz powiedziałem – zapewnił Franciszek.

Trzej mężczyźni opuścili prosektorium. Mecenas podwiózł Mioduszewskiego do zespołu adwokackiego, a potem razem z majorem wrócili do gmachu Komendy Stołecznej MO.

– A więc – stwierdził major, kiedy już zajął miejsce za swoim biurkiem – zdarzył się cud. Mamy jednego nieboszczyka a dwa trupy. A że cudy zdarzają się tylko przy grze w karty i jedynie wtedy, kiedy partnerami są Pan Bóg i Mojżesz, spróbujmy nasze przedziwne zdarzenie wyjaśnić w jakiś ziemski sposób. Czy pan ma na ten temat jakieś zdanie?

– Miałbym, ale, przyznaję, zupełnie nieprawdopodobne, chociaż pasuje jak ulał do sprawy testamentu Jareckiego.

– W naszej sytuacji najbardziej nieprawdopodobne teorie mogą być prawdziwe.

– A więc założmy, że Włodzimierz Jarecki dla takich czy innych, sobie tylko wiadomych powodów postanowił zniknąć. Zniknąć nie z tego świata, lecz dla rodziny, znajomych, może nawet opuścić Polskę, aby gdzie indziej rozpocząć nowe życie. Takie wypadki, jak wiemy, zdarzają się i nie są niczym nadzwyczajnym.

– Są dość częste – uzupełnił major. – W samych Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej co roku w ten sposób ucieka od swojego środowiska przeszło czterdzieści tysięcy ludzi. Tam nawet istnieją specjalne prywatne agencje zajmujące się poszukiwaniem takich zbiegów.

- Oryginalność polega na sposobie, w jaki pan Jarecki postanowił wprowadzić w życie swój plan. Oto pisze testament, w którym całkowicie świadomie popełnia błąd co do osoby Kowalskiego. Jednocześnie deponuje list do milicji, zawiadamiający o swoim przyszłym samobójstwie, z podaniem najdrobniejszych szczegółów. Potem, w stosownym momencie, kiedy żony nie ma w Warszawie, rzemieślnik morduje jakiegoś swojego znajomego, może klienta z prowincji, masakrując mu głowę, i nocą, po przebraniu trupa w swój garnitur, zrzuca go z wiaduktu na bruk ulicy. W ten sposób przeprowadza jedną część swojego planu.

– To trzyma się kupy. Ta teoria jest zupełnie logiczna, ale po co ten testament?

– Jarecki dobrze wie, że Kowalski nigdy nie ocalił mu życia i że to zwykły mały złodziejasek. Ale i po zniknięciu pieniądze są potrzebne do zorganizowania nowej egzystencji. Tych pieniędzy dostarczyć musi Kowalski po wejściu w posiadanie spadku. Właśnie szantaż, o którym już major wspominał, szantaż przeprowadzony przez samego rzekomego nieboszczyka pozwala wykonać drugą część planu.

– Kowalski wiedząc, że Jarecki żyje, nie dałby mu ani grosza. Po prostu zagroziłby wytwórcy dewocjonalii doniesieniem do milicji. Proszę nie zapominać, że Jarecki stał się tymczasem mordercą. Kowalski natychmiast by się zorientował, co do jego roli. A poza tym Jarecki miał przeszło dwieście tysięcy złotych na książeczkach oszczędnościowych. Mógł przed zniknięciem podjąć tę gotówkę.

– Jarecki nie musiałby sam szantażować mieszkańca Wołomina. Na pewno ma współnika lub współniczkę. Zresztą szantażowany niekoniecznie musi znać twarz szantażysty;

– Trochę karkołomna teoria.

– Jeszcze nie skończyłem. Druga połowa planu Jareckiego nie powiodła się. Wysypał go, w dobrej zresztą wierze działający, kolega z powstania. Spadek dostała Barbara, zaś mąż pozostał

na łodzi. Kto wie, może zupełnie bez grosza, chociaż w to wątpię. Przypuszczam, że Jarecki znikając upłynnił wszystko, co mógł, bez zwracania uwagi zamienił na gotówkę, tak że poza perspektywą spadku po samym sobie rozporządzał sporą sumką.

– A jego śmierć?

– To już najłatwiejsze do wytłumaczenia. Jarecki ukrywał się wśród ludzi ze świata przestępczego. Może nawet korzystał z pomocy tych elementów? Zabito go po prostu dla pieniędzy, które miał przy sobie.

– „Zabójstwo nieboszczyka”, co za paradoks – uśmiechnął się oficer milicji.

– A w razie procesu przestępcy, ile ciekawych kwestii prawnych – dorzucił adwokat.

– Już sobie wyobrażam naszego sławnego luminarza palestry w roli obrońcy zabójcy nieboszczyka. Ogonek przed gmachem sądu byłby większy niż przed niejednym kinem – oficer milicji wstał, otworzył stojącą pod ścianą i Detalową szafę i wyjął z niej akta w szarej, kartonowej okładce. – To są dokumenty w sprawie zabójstwa Jareckiego – wyjaśnił. – Dlatego mają taką sygnaturę, bo żalu:..ono je, zanim mecenas doręczył nam list samobójcy. Pamiętam, że są tu zdjęcia Włodzimierza Jareckiego. Te dowodu osobistego.

Oficer odszukał niebieską kopertę i wyjął z niej kilka odbitek fotograficznych.

Proszę, niech pan obejrzy.

Ruszyński przyglądał się fotografii. Ten sam łysiejący szatyn. Nos dość duży, podbródek może bardziej pełny. To zdjęcie podobne było do człowieka, który był w jego kancelarii, chociaż znacznie mniej przypominało tego biedaka. leżącego obecnie pod białym całunem w prosektorium.

– Dla mnie nie ulega wątpliwości – jeszcze raz stwierdził adwokat – że ten człowiek, którego fotografie; oglądam, był u mnie w zespole i podał się za Włodzimierza Jureckiego.

– Tak – zgodził się major. – Podobieństwo pomiędzy Jareckim a mężczyzną znalezionym w worku na dnie Wisły jest bardzo duże.

– Co dalej? – zapytał adwokat.

– Nie wiem – przyznał oficer milicji. Ani ja, ani chyba nikt w historii powojennej kryminalistyki w Polsce nie miał takiej sprawy. Złożę raport swoim władzom. Na pewno wznowimy dochodzenie

w sprawie śmierci Jareckiego i będziemy sprawdzać pańską teorię. Może też zbudujemy i jakąś inną. Nie o teorię zresztą chodzi, ale o wykrycie prawdy materialnej.

– Oczywiście, że wyłącznie prawdy – przytaknął mecenas.

– W każdym razie, bez względu na to, jakimi torami potoczy się dalsze dochodzenie, jesteśmy bardzo panu mecenasowi wdzięczni za zwrócenie nam uwagi na nowe aspekty sprawy. Na pewno będziemy w stałym kontakcie z panem.

Adwokat doskonale zrozumiał te wszystkie komplementy, jakimi poczęstował go major. Znaczyły po prostu, że oficer milicji pragnie zostać sam. Toteż Ruszyński podniósł się z krzesła i zapewniając majora o niezmiennej gotowości niesienia dalszej pomocy organom bezpieczeństwa, opuścił pokój Kalinowicza.

Po wyjściu prawnika oficer milicji zabrał się do gruntownego studiowania akt sprawy zabójstwa Włodzimierza Jareckiego.

ROZDZIAŁ IX

UPÓR MECENASA RUSZYŃSKIEGO

Major Leszek Kalinowicz, chociaż z całą uwagą wysłuchał przedziwnej historii, opowiedzianej mu przez adwokata Mieczysława Ruszyńskiego, i chociaż nie kwestionował .szczyrych intencji zarówno mecenasa, jak i woźnego Franciszka Mioduszewskiego, to jednak ani przez chwilę nie uwierzył w teorie głoszone przez znakomitego prawnika.

Oficer milicji miał podstawy, aby w nie wątpić. Oto w aktach sprawy o zabójstwo Włodzimierza Jareckiego znajdowało się świadectwo obdukcji zwłok znalezionych pod wiaduktem. Lekarz wyraźnie stwierdził, że zabity przechodził, i to prawdopodobnie jeszcze w młodości, jedną operację. Na przepuklinę pachwinową z lewej strony. Pozostałością tej operacji była słabo widoczna blizna. Żadnych innych znaków szczególnych .tamten człowiek nie posiadał. Poza tym Jarecki miał sztuczną górną szczękę. Rzeczywiście, znaleziono ją w ustach człowieka, którego zwłoki odkryto pod wiaduktem.

Wszyscy znajomi Jareckiego, łącznie z jego pracownikami, potwierdzili fakt używania przez rzemieślnika protezy ustnej. Nikt natomiast ani razu nie wspomniał o bliźnie na prawym ręku. A przecież musiała ona być bardzo widoczna..

Człowiek leżący na stole w prosektorium na Oczki nie mógł więc być Włodzimierzem Jareckim. Ciekawa teoria Mieczysława Ruszyńskiego runęła w gruzy z momentem jej powstania. Niemniej major ani słowem, ani gestem nie zdradził się, że w świetle jego wiadomości ta hipoteza jest nieprawdziwa. Przeczyły jej fakty.

Jednakże oficer postanowił ponownie sprawdzić dane. Lekarz, który dokonywał sekcji zwłok Jareckiego, aż uniósł się gniewem na pytanie, czy mógł zapomnieć o bliźnie na prawym ręku. Samochód milicyjny udał się na ulicę Chełmińską pod numer siedemnasty i stamtąd zawiózł trzech pracowników warsztatu rzemieślniczego wprost do prosektorium. Długoletni współpracownicy Włodzimierza Jareckiego zgodnie oświadczyli, że mężczyznę leżącego na stole widzą po raz pierwszy.

Wezwano także pana Andrzeja Leśniaka, przyjaciela zmarłego. On również kategorycznie zaprzeczył istnieniu u Jareckiego blizny na ręku lub widocznych ubytków w uzębieniu. W prosektorium Leśniak stwierdził, że zabity na pewno nie jest jego zmarłym przyjacielem, chociaż nie zaprzeczył pewnego podobieństwa, zwłaszcza figury, włosów, czoła, a także wydatnego nosa.

– Znałem Włodka od dziecka – wyjaśniał przyjaciel rzemieślnika. – Razem chodziliśmy do szkoły. Potem konspiracja, Powstanie Warszawskie, wojsko. Dobrze znałem tego człowieka. Widziałem go na dwa tygodnie przed jego śmiercią. Miałbym go nie poznać? Nie, ten mężczyzna to zupełnie ktoś inny.

Wezwano dentystę, u którego Włodzimierz Jarecki pielęgnował swoje zęby i zamawiał protezę. Stomatolog także zdecydowanie zaprzeczył, jakoby okazane mu zwłoki miały być ciałem wytwórcy dewocjonalii.

– Nie muszę oglądać twarzy, mimo że, przyznaję, jest pewne podobieństwo. Ale zęby? Nie ma na świecie dwóch ludzi o identycznym uzębieniu. Ten mężczyzna ma zęby bardzo zaniedbane. Duże braki. Nawet na przodzie brak jednego zęba. Pan Jarecki bardzo dbał o siebie. Wiadomo, młoda żona, nie

chciał być bezzębnym dziadem. Wszystkie zęby miał zaleczone, a w górnej szczęce zrobiłem mu protezę. Nie poznałbym mojej roboty?

Tak więc adwokat Ruszyński i woźny Mioduszewski musieli się pomylić. Złudziło ich podobieństwo dwóch mężczyzn.

Major mógłby wezwać Baroarę Jarecką i zażądać od niej identyfikacji ciała, ale oficer milicji nie chciał tego robić. Sam nawet nie zdawał sobie sprawy, że w jego postępowaniu może było mniej współczucia dla biednej wdowy, która w tak tragiczny sposób straciła męża, co osobistej chęci spotkania się z piękną panią w innym otoczeniu niż prosektorium czy pokój w Pałacu Mostowskich. Kalinowicz po swoich niezbyt fortunnych doświadczeniach małżeńskich był zdecydowanym nie „starym kawalerem”, ale „starym rozwodnikiem”. Od kobiet raczej stronił. Bał się wiązać na stałe, bo stracił w ogóle zaufanie do tej „lepszej części rodzaju ludzkiego”. Tym razem zielonooka kobieta bardzo go fascynowała.

Badania świadków, pisanie protokołów, wyprawy do prosektorium, wszystko to przeciągnęło się aż do późnych godzin popołudniowych. Leszek Kalinowicz dopiero po siódmej wieczorem opuścił gmach komendy milicji. Wsiadł w autobus i pojechał na Zapogodną.

Zielony renault stał przed domem. Znak, że Barbara Jarecka jest w domu. Major zadzwonił. Piękna pani sama mu otworzyła. W mieszkaniu nie nosiła żałoby, była w jakiejś letniej sukience o spokojnych, jasnych kolorach. Wyglądała w niej jeszcze bardziej efektownie niż w tej czerni, w jakiej ją zawsze widywał oficer milicji.

– Pan major? – zdziwiła się.

– Pani sama? Może przeszkadzam?

– Nie. Proszę, proszę – Jarecka starała się odegrać rolę gościnnej gospodyni, lecz widać było, że wizyta przedstawiciela milicji nie wzbudza jej entuzjazmu. – Rzeczywiście jestem sama, bo moja towarzyszka wrybrała się z kolegami do teatru. Chciała zabrać mnie ze sobą, ale co ja bym tam z nimi robiła? Młodzi, weseli, a mnie każdy śmiech denerwuje.

– Trzeba się otrząsnąć z tego nastroju. Mocno wziąć w garść.

– W pracy się trzymam – Jarecka wprowadziła gościa do dużego pokoju, który spełniał rolę salonu, gabinetu pracy pana

domu i jego sypialni, bo stał tu wąski i niski tapczan. – Najgorzej, kiedy jestem sama w tych czterech ścianach.

Kalinowicz z przyjemnością zauważył, że pokój nie był umeblowany jak u „nowobogackich”. Ładne meble, trochę dobrych obrazów.

– Napije się pan kawy? – zaproponowała gospodyni po wysłuchaniu paru konwencjonalnych pochwał mieszkania, kiedy już usiedli w wygodnych fotelach. – Może pan głodny?

– Jeśli mam być szczery, przyznaję, że w pracy miałem dzisiaj taki mętlik, nie było czasu nawet na zjedzenie obiadu.

– Dobrze się składa, ja jeszcze nie jadłam kolacji. Zaraz się tym zajmę. Niech się pan za wiele nie spodziewa.

Ale coś w lodówce się znajdzie. Będzie pan musiał przez pewien czas zająć się sam sobą.

– Nie chciałbym robić kramu – certował się oficer. – Wpadłem tutaj na chwileczkę...

– Na pewno znowu „półurzędowo”. Jak widzę, to pana ulubiona metoda pracy.

– Nie myli się pani. Ludzie chętniej i więcej mówią w innym otoczeniu niż biurko i metalowa szafa milicyjnego pokoju oficera dochodzeniowego.

– To nie potrwa długo – pani domu zniknęła w głębi mieszkania.

Major rozglądał się ciekawie po pokoju. Uwagę jego przykuło zdjęcie w srebrnej ramce, stojące na małym biurku. Niewątpliwie przedstawiało Włodzimierza Jareckiego. Oficer podszedł do biurka, wziął w rękę fotografię i dokładnie ją studiował. Było to zdjęcie nieporównanie lepsze od odbitek z dowodu osobistego, którymi dysponował prowadzący dochodzenie. Fotografia przedstawiała mężczyznę w wieku około czterdziestu lat, roześmianego, pełnego energii. Pomiędzy rozchylonymi wargami widać było pełny komplet zębów. Prawdziwych czy sztucznych? Leszek Kalinowicz nie był dentystą i tego nie wiedział. Ale nawet niefachowiec musiał spostrzec, że to uzębienie było zupełnie inne niż u człowieka, którego ciało spoczywało teraz na stole w prosektorium. Natomiast zarys łysin i wydatny nos były prawie identyczne.

– Przygląda się pan Włódkowi? – major usłyszał głos Jareckiej. Weszła do pokoju niosąc kolorowy obrusik. – Sama robiłam to zdjęcie w parę miesięcy po naszym ślubie. Nad morzem w

Bułgarii. Bardzo dobrze tu wyszedł. Znacznie młodziej niż naprawdę.

– Wygląda na czterdzieści lat.

– A miał już czterdzieści pięć. Zazwyczaj żartował, że drugie małżeństwo tak go odmłodziło.

– Ryzykowna kuracja.

– Powiedział pan to z wielkim przekonaniem.

– W oparciu o własną praktykę.

– W tej rozmowie mamy nierówne szanse. Pan wie o mnie wszystko, ja o panu nic. Pan też jest wdowcem?

– Nie. Po prostu żona odeszła. Znudziło się jej być panią milicjantową.

– Przepraszam pana – w tonie Jareckiej zabrzmiały jakieś cieplejsze nutki. – Nie chciałam pana urazić.

– Nic nie szkodzi. To stara historia. Może pani pomóc? Uprzedzam, znam się doskonale na gospodarstwie domowym. Umiem ugotować jajka zarówno na miękko, jak i na twardo. Tajemnica smażenia jajecznicy i gotowania manny na mleku też mi jest znana.

– Dlaczego więc nie rzucił pan milicji i nie zaangażował się jako główny kucharz do „Grandu”? – roześmiała się zielonooka. – A za pomoc dziękuję. Poradzę sobie sama.

Wbrew zastrzeżeniom pani domu, kolacja nie była taka skromna. Znalazły się wędliny, pudełko sardynek, . Ser i dobrze zamrożona, prosto z lodówki butelka „Jarzębiaku”.

– Nasz jarzębiak ostatnio się popsuł – zauważył major nalewając go do kieliszków. – Ale to zdanie ludzie powtarzają od samego końca wojny i będą mówili przez następne stulecie albo i dłużej. Może wtedy nie będą już w ogóle pili?

Major roześmiał się.

Zaimprovizowana kolacja przeszła w miłym nastroju. Barbara Jarecka rozruszała się trochę i przestała traktować oficera milicji z tajoną niechęcią. Leszek Kalinowicz, jeśli chciał, umiał być bardzo interesującym gawędziarzem. Dwudziestoletnia praktyka pracy w milicji sprawiała, że tematów mu nie brakowało.

Kiedy pani domu poczęstowała swojego gościa dobrą, mocną herbatą, a kieliszki do jarzębiaku zamienione zostały na zgrabne beczuleczki z węgierskim koniakiem „Trois tours”, Barbara Jarecka zagadnęła:

– Domyślam się, że nie przyszedł pan tutaj jedynie dlatego, żeby trochę rozerwać samotną wdowę?

– Bardzo bym chciał – szczerze odpowiedział major – ale nawet bym się nie ośmielił. Musiałem znaleźć jakiś pretekst.

– Domyślam się jaki. Do warsztatu przyjechało auto milicyjne i zabrało wszystkich moich pracowników. Wrócili po przeszło dwóch godzinach. Opowiadali, że zawieziono ich do prosektorium i pokazywano jakiegoś zabitego człowieka. Pewnie temu zawdzięczam pańskie odwiedziny.

– Tak – przyznał major. – Czytała pani w gazetach o sprawie „człowieka w worku”?

– Nie. Nie czytam teraz gazet. Denerwują mnie. W ogóle z moimi nerwami coś nie w porządku. Zresztą nic dziwnego... Ale obito mi się o uszy, mówili w radio czy w telewizji. Znalezione jakieś zwłoki?

– Tak. Dwaj wędkarze zauważyli na dnie rzeki duży worek. Po jego otwarciu okazało się, że zawiera on nagie zwłoki mężczyzny zabitego uderzeniem w tył głowy.

– Makabryczne odkrycie – wzdrygnęła się pani Barbara.

– Nie możemy zidentyfikować zwłok – przyznał major. – Nikt. nie zna tego człowieka.

– A dlaczego przypuszczaliście, że mogą go znać moi pracownicy?

– Powiem pani szczerze. Zdarzyła się przedziwna historia. Adwokat Mieczysław Ruszyński, ten sam, który przeprowadzał postępowanie spadkowe, rozpoznał w zabitym ni mniej, ni więcej tylko... Włodzimierza Jareckiego.

– Pan żartuje! – Jarecka była oburzona.

– Nie. Nigdy bym sobie na to nie pozwolił. Mecenas Ruszyński oświadczył, że gotów jest pod przysięgą stwierdzić, że to ciało Włodzimierza Jareckiego. Mało tego, zeznania mecenasa potwierdził woźny zespołu adwokackiego, Franciszek Mioduszewski.

– To niesamowite.

– Zgadza się z panią. Ale może sobie pani wyobrazić, jakiego zamieszania narobiły te dwa zeznania. Właśnie z tych powodów woziliśmy pani pracowników do prosektorium.

– No i co?

– Oczywiście oświadczyli, że nigdy nie widzieli ani nie znali zabitego.

– To chyba zrozumiałe.

– Niemniej musieliśmy wszystko dokładnie sprawdzić, chociaż od początku byłem przekonany, że adwokat po prostu się omylił.

– A dlaczego nie wezwał pan mnie?

– Chciałem pani oszczędzić tego przeżycia.

– Bardzo dziękuję, majorze – piękna pani łagodnym ruchem dotknęła ręki oficera milicji. W jego głosie znowu usłyszała cieplejszą nutę.

– Wołałem panią odwiedzić i swoją, jak pani powiada, ulubioną metodą zadać parę półprywatnych pytań.

– Słucham – tym razem piękna pani uśmiechnęła się.

– Niech mi pani powie, czy Włodzimierz Jarecki miał jakąś bliznę?

– Tak. Pooperacyjną. W młodości przechodził operację przepukliny. Z lewej strony. Blizna była prawie niewidoczna. Pozostał lekki, jaśniejszy ślad na skórze.

– A jakiejś innej blizny nie miał?

– Nie.

– Na pewno?

– No wie pan? Ostatecznie żona po siedmiu latach małżeństwa zna swojego męża – rumieniec zabarwił śniadą twarz kobiety.

– Przepraszam, ale to bardzo ważne.

– Powtarzam więc, mąż miał bliznę po operacji przepukliny. Żadnych innych.

– Widzi pani, mecenas Ruszyński twierdzi, poza ogólnym podobieństwem „człowieka w worku” do swojego klienta, pana Włodzimierza Jareckiego, że miał on na prawym ręku, powyżej nadgarstka, czerwoną, dość szeroką bliznę.

– Coś mu się przywidziało.

– Ja też tak sądzę, ale człowiek znaleziony przed trzema dniami nad brzegiem Wisły właśnie ma taką bliznę na swojej prawicy.

– Adwokat na pewno skojarzył odrębne cechy dwóch ludzi. Rozmawiał z klientem, który miał taką bliznę, a później zetknął się z moim mężem i pamięć o tym znaku szczególnym przeniósł z iksa na igreka, czyli na Włodka.

– To tym bardziej jest możliwe, że rzeczywiście istniało pewne podobieństwo pomiędzy tymi dwoma mężczyznami. Proszę się przyjrzeć.

Major podał pani Barbarze zdjęcie „człowieka w worku”.

– Ja nie mogę dopatrzeć się wielkiego podobieństwa – powiedziała Jarecka.

– Czoło, włosy, łysinka, a także nos i może trochę podbródek?

– Ale osadzenie oczu, policzki, a przede wszystkim usta są zupełnie inne – Jarecka nie dawała się przekonać.

– Pani na to patrzy pod specjalnym kątem. Zbyt dobrze pani знаła swojego męża, więc tego rodzaju podobieństwo wydaje się pani niewielkie. Co innego ludzie, którzy, jak mecenas Ruszyński, widzieli pana Jareckiego raz w życiu. Zapamiętali przede wszystkim ten wydatny nos, kolor włosów i łysiejące czoło. To mogło wprowadzić w błąd i spotęgować skojarzenie z bliźną na ręku.

Major spojrział na zegarek. Minęła godzina dziewiąta wieczór. Najwyższy czas pożegnać się. Wstał z krzesła. Pani domu powiedziała parę grzecznościowych frazesów, że jeszcze nie jest tak późno i odprowadziła gościa do przedpokoju.

– Mam nadzieję, że następnym razem przyjdzie pan tu już bez „półprywatnych” pytań, prawda?

– Nie przypuszczam, aby pani mówiła to szczerze. Nie lubi się zbyt wielu oficerów dochodzeniowych.

– A jednak do widzenia – piękna pani pożegnała swojego gościa tak uroczym uśmiechem, że chyba nie mógł on być sztuczny.

– Jak pan widzi, mecenasie – mówił major nazajutrz do adwokata Ruszyńskiego – potraktowaliśmy z całą powagą pańską teorię. Niestety, po sprawdzeniu okazało się, że to jeszcze jeden niewypał. Nikt ze świadków, poza wami dwoma, nie rozpoznał w zabitym Włodzimierza Jareckiego. Lekarz dentysta dostarczył nam pod tym względem niezbitych dowodów.

– A ja pozostanę przy swoim. Choćby tysiąc osób i wierdziło co innego, ten człowiek to Włodzimierz Jarecki.

– Niech pan sobie przypomni. Może był u pana inny klient, który właśnie miał bliźną na ręku? Nawet ten nieboszczyk w worku? A później przyszedł Jarecki i ci dwaj skojarzyli się w jedną postać — major powtórzył teorię pani Barbary.

– Panie majorze, jeszcze nie mam aż takiej sklerozy.
– Niech pan się nie obraża. Po prostu usiłuję wytłumaczyć panu błąd.

– Z całą pewnością przypominam sobie czerwoną bliznę na ręku Jareckiego. Zresztą nie tylko ja go poznałem. A świadectwo Franciszka Mioduszewskiego to pies? Był pan przy oględzinach zwłok. Nie sugerowałem świadkowi niczego, ani słowem, ani gestem.

– Tak, przyznaję.

– On także poznał w zabitym mojego klienta. I to nie jednego z wielu, lecz właśnie Włodzimierza Jareckiego

– Tak, to jest zadziwiające. A jednak obydwaj panowie mylicie się. Wytwórca dewocjonalii od prawie dwóch miesięcy spoczywa na cmentarzu. Nie zakłócajmy jego wiecznego spokoju.

– Kim więc jest „człowiek w worku”?

– Tego na razie nie wiemy. Ale dojdziemy i do tego.

– A jednak nie przekonał mnie pan, majorze. Jestem uparty, wierzę, że najbliższa przyszłość przyzna mi rację.

– Mecenasiu, wszystkie dowody wskazują, że to nic larecki.

– Tym gorzej dla dowodów – odpowiedział adwokat.

Po opuszczeniu przez adwokata gabinetu major przestał się uśmiechać. Celowo w tej rozmowie wielu spraw nie dopowiedział do końca. Naturalnie, mając wszelkie dowody w rękę był absolutnie pewien, że „człowiek w worku” to nie zmarły przedtem Włodzimierz Jarecki. Tak, to wykluczone...

Ale w języku polskim istnieje pewne dość słuszne porzekadło: „jeżeli ci dwóch mówi, że jesteś pijany, to idź spać”. Twierdzenia tak poważnego człowieka, jakim był adwokat Mieczysław Ruszyński i kategorycznego zeznania woźnego zespołu adwokackiego, pana Franciszka Mioduszewskiego, nie sposób było zlekceważyć lub wszystko wytłumaczyć pewnym podobieństwem dwóch zmarłych czy też zwykłą omyłką. Na pewno adwokat przychodząc do gmachu milicji dobrze te sprawy rozważył, a jednak był zupełnie pewien swojego.

A więc może rzeczywiście się nie mylił? Może naprawdę ten człowiek, którego ciało znaleziono w worku na dnie Wisły, odwiedził 104 Zespół adwokacki i zdeponował u Ruszyńskiego tak dziwnie napisany testament? A wtedy zeznania' obu panów:

adwokata i woźnego rzuciły zupełnie inne światło na całą sprawę Włodzimierza Jareckiego.

Jeżeli to „człowiek w worku” był u adwokata, to nie był u niego Włodzimierz Jarecki. Ten ktoś, kogo milicja nie zdołała jeszcze zidentyfikować, zdobył w jakiś sposób dowód osobisty Jareckiego i wykorzystując istniejące podobieństwo z powodzeniem odegrał małą komedyjkę ze zdeponowaniem testamentu. Oficer milicji doskonale wiedział, że zarówno w kancelariach adwokackich, jak i nawet w notariacie tożsamość osoby sprawdza się jedynie przez dość pobieżne przejrzanie dowodu osobistego. Zresztą tak się dzieje i w większości innych urzędów. Nikt przecież nie ucieka się do jedynie pewnego sprawdzianu, jakim są odciski palców. Dlatego też adwokat działał w najzupełniej dobrej wierze i przekonany był, że ma przed sobą właściciela warsztatu rzemieślniczego.

Dlaczego nieznanemu osobnikowi podszedł pod Jareckiego i sporządził dziwny testament?

Odpowiedź na to pytanie była bardzo prosta. Na pewno dla jakichś sobie tylko wiadomych korzyści materialnych. Ten człowiek musiał wiedzieć o tym, że Włodzimierz Jarecki wkrótce umrze, i postanowił to wykorzystać dla własnych celów. Najprawdopodobniej żeby wyszantażować od Kowalskiego większą część spadku. Spadku, który mieszkaniec Wołomina miał otrzymać właśnie z laski pszusta.

Włodzimierz Jarecki, jak to stwierdziła późniejsza sekcja zwłok i jak to zeznali wszyscy świadkowie, był zupełnie zdrowy aż do chwili katastrofy na moście Poniatowskiego. A jednak człowiek, który fałszował jego ostatnią wolę, doskonale wiedział, że właściciel warsztatu z dewocjonaliami wkrótce umrze. Nawet zapowiedział tę śmierć adwokatowi. Czyżby więc pomagał losowi? Zamordował Jareckiego, a także był autorem listu do milicji, w którym Jarecki donosi o swoim samobójstwie. Oba pisma: testament i list, zostały przecież złożone na ręce adwokata Ruszyńskiego jednocześnie.

Tak! Jeżeli przyjąć tę na pozór fantastyczną hipotezę, wszystko stawało się jasne. I dziwna klauzula testamentu, i pominięcie w nim żony, a nawet te obraźliwe zwroty pod jej adresem.

A jednak i ta nowa koncepcja miała też w sobie pewną niejasność. Jeśli to „człowiek w worku” odegrał w gabinecie

adwokata rolę Jareckiego, a następnie zamordował rzemieślnika, to dlaczego i sam w parę tygodni później skończył tragiczną śmiercią?

Im bardziej się major nad tym wszystkim zastana-wiał, tym sprawa stawała się coraz trudniejsza i coraz to bardziej skomplikowana. Na razie o swoich przypuszczeniach oficer milicji postanowił nikomu nie mówić, a przede wszystkim zachować tajemnicę wobec adwokata. Natomiast doszedł do przekonania, że należy natychmiast wznowić dochodzenie milicyjne w sprawie śmierci Jareckiego.

ROZDZIAŁ X

ŚMIERĆ ORGANIZATORA

Upłynęło przeszło pięć tygodni. Dochodzenie milicyjne w sprawie „człowieka w worku” nie posunęło się ani krok naprzód. Kapitan Milczarek przeklinał złą godzinę, kiedy jego przełożony obarczył go tą sprawą. Pomimo wszelkich usiłowań nie rozwiązano nawet podstawowej zagadki: jakie było imię i nazwisko zamordowanego.

Na próżno Milczarek regularnie co dziesięć dni rozsyłał po całej Polsce i zdjęcia zabitego, i monity, przypominające o braku odpowiedzi. W wydziale poszukiwań osób zaginionych przy Komendzie Głównej MO na Ksawerowie oficer z Komendy Stołecznej był prawie codziennym gościem. Wyciągał z archiwum sprawy sprzed piętnastu lat i starsze. Porównywał setki najrozmaitszych przypadków, badał fotografie. Wszystko na próżno.

Major Leszek Kalinowicz dosyć często spotykał się z adwokatem Ruszyńskim. Mecenas witał majora jednakowym pytaniem „jak tam sprawa Włodzimierza Jareckiego?” Na co oficer niezmiennie odpowiadał „pochowany w dniu dwudziestego trzeciego maja, w obecności pana Mieczysława Ruszyńskiego”. To już weszło do ceremoniału ich spotkań. Ale uparty adwokat nawet na jotę nie zmienił swojego zdania.

Apele o pomoc kierowane do społeczeństwa jeszcze bardziej zagmatwały sprawę. Pewna starsza kobieta z uporem twierdziła,

że zabitym był jej syn, którego bezskutecznie poszukiwała od końca wojny. Jakaś niewiasta ze Szczecina przyznawała się, że to jej mąż, który przed kilku laty wyjechał za granicę i więcej się nie odezwał. Były i inne podobne meldunki.

Każde doniesienie trzeba było starannie sprawdzić. Badano nawet anonimy, a tych nie zabrakło w poczcie milicyjnej. Wszystko okazywało się fałszywym tropem.

Aż nagle sprawa wyjaśniła się bez żadnego wysiłku i bez żadnej zasługi milicji. Może zresztą nie tyle milicji, co kapitana Milczarka i jego ludzi, którym od słowa, „worek” od razu robiło się niedobrze.

Pewnego dnia, a było to już pod koniec lipca, do Komendy Stołecznej MO nadszedł krótki telefonogram z posterunku jednej z podwarszawskich miejscowości. Obywatelka Janina Widlewska zameldowała, że jej sublokator Roman Breguła nie zjawił się w swoim mieszkaniu od przeszło sześciu tygodni. Zachodzi podejrzenie, że Breguła jest poszukiwany przez Komendę Stołeczną w związku, ze zbrodnią na brzegu Wisły.

Nie minęło i pół godziny, jak kapitan Milczarek jechał już milicyjną warszawą do Janiny Widlewskiej.

Tym razem ślad był prawdziwy. Janina Widlewska, rencistka, wdowa po kolejarzu, mieszkała w małym domku, którego kolejarzkie małżeństwo dorobiło się wysiłkiem pracy chyba całego życia. Po śmierci męża Widlewska odnajęła dwa pokoje. Jeden duży, z osobnym wejściem przez werandę, zajmowało młode małżeństwo, czekające na własne lokum w spółdzielni. Lokatorem drugiego, małego pokoiku był Roman Breguła, z zawodu fryzjer.

Starsza kobieta rzadko czytywała gazety. Telewizora nie miała, komunikat w radio albo przegapiła, albo w ogóle, nie skojarzyła go z osobą sublokatora. Była przyzwyczajona, że Breguła zniknął nieraz na kilka dni, wcale więc nie dziwiła się jego dłuższej nieobecności. Kiedy jednak trwała ona ponad miesiąc i nie nadszedł od niego choćby krótki list, rencistka zaczęła obawiać się jakiegoś nieszczęścia. Odczekała jeszcze tydzień i wtedy zgłosiła zaginięcie sublokatora do miejscowego posterunku milicji.

Janina Widlewska bez trudu rozpoznała Bregułę na okazanej jej fotografii.

— Czy ten obywatel – zapytał kapitan Milczarek – miał jakiś znak szczególny?

– Nie rozumiem?

– Czy miał coś, po czym można by go było rozpoznać? Na przykład zezą albo kulał na jedną nogę?

– Nie – wyjaśniła rencistka. – Nie miał zezą ani nie kulał. Pan Breguła miał na ręce, chyba prawej, długie czerwone znamię. Mówił mi, że kiedyś potknął się i dotknął tą ręką rozpalonego do czerwoności piecyka. Kiedy nosił koszulę bez rękawów, to czerwone znamię było widoczne.

Nie ulegało wątpliwości, dwaj wędkarze znaleźli na dnie Wisły ciało Romana Breguły

Dochodzenie ruszyło z miejsca. Miejscowy posterunek milicji mógł udzielić wielu informacji o byłym fryzjerze. Swoim zawodem Roman Breguła nie zajmował się już od lat. Podobno przedtem był dobrym fachowcem. Pracował nawet w jakimś teatrze warszawskim. Zbyt jednak lubił zaglądać do kieliszka, żeby mógł dłużej zagrzać gdzieś miejsca. Wreszcie w ogóle rzucił pracę i zaczął „kombinować”. Parę razy padło na niego podejrzenie, że w miejscowej knajpie okradł przygodnie poznanego współbiesiadnika. Nigdy jednak niczego mu nie udowodniono.

Pytany, dlaczego nie pracuje, chociaż w zawodzie fryzjerskim brakuje mężczyzn i dobry fachowiec znajdzie zarówno zajęcie, jak i wysoki zarobek, Breguła tłumaczył się, iż wzrok nie pozwala mu na przyjęcie stałej roboty. Dla podkreślenia tego inwalidztwa Breguła często nosił duże, ciemne okulary. Niemniej nigdy nie starał się o uzyskanie renty inwalidzkiej. Czy te przydymione szkła nie były zakładane po to, aby ludzie nie znali i nie zapamiętali jego twarzy?

Milicji warszawskiej, jak się okazało, nazwisko Breguły nie było obce. Zatrzymywany był kilkanaście razy pod rozmaitymi zarzutami, z których pośrednictwo przy sprzedaży kradzionych towarów było bodaj najłagodniejszym. Pomimo to Breguła nigdy nie bawił w areszcie milicyjnym dłużej niż czterdzieści osiem godzin. Zazwyczaj musiano go zwalniać z braku dostatecznych dowodów winy. Dlatego też odciski jego palców nigdy nie znalazły się w Centralnym Biurze Daktyloskopii.

Od przynajmniej trzech lat Breguła zniknął z oczu warszawskich milicjantów. Nigdy nie wpływały na niego żadne skargi, nigdy nie zatrzymano go nietrzeźwego. Można byłoby powiedzieć, że

grzesznik w porę zawrócił ze złej drogi, na którą zdawał się wkraczać.

W takie cudowne nawrócenie kapitan Milczarek nie wierzył. Tym bardziej że Roman Breguła prowadził stosunkowo wystawny tryb życia. Obecnie, kiedy już wiadomość o identyfikacji zwłok rozniosła się w różnych sferach Warszawy, ludzie odzyskiwali i pamięć, i mowę. Kelnerzy bez trudu rozpoznawali w okazywanych im zdjęciach dobrego klienta, który lubił wprawdzie popić, ale i dał zarobić.

Jakie były źródła tych zarobków?

Przeprowadzona bardzo szczegółowa rewizja w mieszkaniu zabitego nie dała na to pytanie żadnej odpowiedzi, chociaż w przemyślnie urządzonej skrytce milicja znalazła sporą sumę pieniędzy. Przeszło dwanaście tysięcy złotych, sto siedemnaście dolarów USA, trzydzieści pięć dolarów kanadyjskich i pięćdziesiąt marek NRF, a także jedną dwu- dziesięciodolarówkę złotą, trzy pięciorublówki i złotą bransoletę wagi około trzydziestu gramów. Jak na bezrobotnego fryzjera ze zrujnowanym zdrowiem, prawdziwy skarb. Na pewno nie zdobyty uczciwą pracą w swoim zawodzie.

Nie znaleziono natomiast żadnych dokumentów, zapisków czy numerów telefonów. Ten człowiek nie prowadził ksiąg handlowych, nie spisywał pamiętnika i najwyraźniej liczył się z tym, że może nadejść moment, kiedy jego mieszkaniem zainteresują się władze prokuratorskie czy też milicyjne.

A przecież wyjaśnienie zagadki życia tego człowieka było niesłychanie ważne dla wyjaśnienia powodów jego śmierci i odnalezienia jej sprawców.

Kapitan Józef Milczarek postanowił rozwikłać tę tajemnicę. Najlepsi wywiadowcy zaczęli zbierać konfidencjonalnie wiadomości o Romanie Bregule. Ostatecznie każdy agent milicyjny ma pewne znajomości w świecie przestępczym. Wbrew legendom, tego światka nie cechuje solidarność zawodowa i nie rządzi się on specjalnymi prawami własnej moralności. Sypanie współników nie jest tam pochwalane, ale powtarzanie różnych wiadomości i plotek nawet pracownikom milicji nie uchodzi za grzech zbyt wielki. Tym bardziej plotek o zmarłym.

W tych kołach Roman Breguła cieszył się nieszczęśliwą sympatią. Uważano go za człowieka twardego, ale jednocześnie

za faceta, z którym opłaci się współpracować. Byłemu fryzjerowi miano przede wszystkim za złe, że sam nigdy nie ryzykował. Napuszczał innych. Jeżeli wpadli, oni ponosili konsekwencje, zaś Breguła pozostawał na wolności.

Ten człowiek w podziemnym świecie stolicy stworzył nowy zawód, zawód organizatora przestępstwa, oczywiście na miarę stosunków warszawskich. Daleko mu było do przestępcy, który zaplanował i przeprowadził słynny angielski „napad stulecia”. Tylko w jednym łączyło ich podobieństwo. Władzom nie udało się ich ująć ani na gorącym uczynku, ani później. „Mister X” pozostał Scotland Yardowi nie znanym, ale poszukiwanym przestępcą. Breguła natomiast spokojnie odwiedzał warszawskie knajpy i uprzejmie kłaniał się milicjantom. Pozory świadczyły o tym, że ma zupełnie czyste sumienie.

Miał on duże znajomości w świecie przestępczym. Dobrze wiedział, kto w jakiej branży jest specjalistą. Zbierał więc dla tych ludzi cenne informacje. W jaki sposób je zdobywał, pozostało jego tajemnicą.

Przychodził, na przykład, do fachowców od okradania wagonów kolejowych i informował ich: „za trzy dni na stację towarową Warszawa-Czyste nadejdzie wagon z Bielska. Eksportowe wełny po siedemset złotych metr. Wagon podstawiają na bocznice 87 da rozładunku. Trzeba go zrobić jeszcze przedtem na rozrządowej. Nadejdzie zbiorowym pociągiem w godzinach nocnych. Numer wagonu 203.869. Prócz plomb będzie, dodatkowo zamknięty na kłódki. Trzeba wziąć »buchwel« i buteleczkę oliwy, żeby przepiłować bez hałasu. Niech to robi trzech ludzi, a dwóch innych ma wywabić strażników kolejowych w pobliże pociągu, który będzie stał nieco dalej, na piątym torze. Towar przerzucać przez parkan i od razu zabierać bela po beli. Taki materiał chętnie kupi paser Adamczczak. Jak się potargujecie, zapłaci po trzysta złotych za. metr, bo właśnie szuka czegoś podobnego. Dla mnie z tego dziesięć kół.”

Albo innym specjalistom proponował: „Do sklepu na Wspólnej najlepiej dostać się przez dziurę w piwnicy. Trzecie drzwi z korytarza po prawej stronie. Strop przebije się lekko świdrem. Sklep dostał akurat nową partię towaru. Po robocie towar wynieść na podwórko i przerzucić przez mur. Od Hożej tamten dom nie ma dozorczy. Można podjechać taryfą pod sam mur i od razu

ładować. Sprzedacie na Pradze u »Ślepego«. Dla mnie trzy patyki.”

Informacji można było nie sprawdzać. Zawsze wszystko zgadzało się co do joty. Robota była tak wybrana, że przy minimum ryzyka gwarantowała maksimum powodzenia.

Od dawna nikt się z Bregułą nie targował ani też nie próbował go okantować. Podobno dawniej zdarzyło się parę takich przypadków. Organizator nie powiedział ani słowa, nie odgrażał się ani pomstował. Ale nie upływało parę tygodni, jak niesolidni dłużnicy znajdowali się za kratkami. Wpadali na następnej, zdawałoby się, zupełnie bezpiecznej robocie. Co ciekawsze, milicja po odniesieniu takiego sukcesu nie przypuszczała, że zawdzięcza go eks- fryzjerowi.

W ten sposób Roman Breguła wyrósł w ciągu ostatnich I rzęd lat na prawdziwego asa podziemia stolicy. A mimo to władze bezpieczeństwa nie domyślały się jego roli w rozmaitych kradzieżach i włamaniach.

Milicjanci, którzy znali tego mężczyznę w ciemnych okularach, nigdy nie skojarzyli go z „człowiekiem w worku”. Światek przestępczy wiedział naturalnie, o kogo chodzi, ale nie zwykł był pomagać MO w jego pracy. Nie znaczy to, że w tych sferach żałowano Breguły. Niejeden złodziej, który musiał słono mu się opłacać za dostarczone wiadomości, był zadowolony, że „pijawkę”, bo tak bowiem przezywano organizatora zuchwałych kradzieży, szlag wreszcie trafił.

Kapitan Milczarek miał się czym pochwalić. Nie tylko zidentyfikowano zabitego, ale również dowiedziano się ciekawych rzeczy o jego działalności w świecie przestępczym.

Jednakże po tych wstępnych sukcesach dochodzenie znowu utknęło na amen. Kto zabił tego człowieka? Na to pytanie nie znaleziono odpowiedzi; w kołach, w których żył i działał Roman- Breguła, krążyły na ten temat najbardziej fantastyczne pogłoski, nie zawierające jednak, jak to sprawdzał oficer milicji, nawet grama prawdy. Morderca wielkiego organizatora pozostał nieznany.

Adwokat Mieczysław Ruszyński jakoś przegapił króciutką wzmianeczkę, ponieważ nie wszystkie stołeczne dzienniki poinformowały czytelników o zidentyfikowaniu zwłok „człowieka w worku”. Przy okazji zetknięcia się z majorem Kalinowiczem zadał

mu tradycyjne pytanie o sprawę Włodzimierza Jareckiego. Oficer milicji przeżył, mały tryumf, informując mecenasa o wynikach dochodzenia.

– Nic nie pozostało z pańskiej teorii. Trzeba się przyznać do błędu. Nie ma już jednego nieboszczyka i dwóch zwłok, jak to pan błyskotliwie określił. – Są tylko dwaj mężczyźni: Włodzimierz Jarecki, który w maju popełnił samobójstwo, i Roman Breguła, który w czerwcu został zamordowany przez nieznanego czy też nieznanymi sprawców. Fakty są nieubłagane.

Ale uparty adwokat powtórzył:

– Tym gorzej dla faktów.

ROZDZIAŁ XI

„NIEWYPAŁY SĄ CIĄGLE GROŻNE”

Upłynęło przeszło dwa miesiące. Wrzesień dobiegał końca. Kapitan Józef Milczarek nadal nie odniósł sukcesów w swoich dochodzeniach. Sprawca zabójstwa Romana Breguły pozostał nieuchwytny. W Komendzie milicji panowało przekonanie, że ta zbrodnia jest wynikiem porachunków osobistych podziemia stolicy. Sprawca morderstwa umiejętnie zatarł ślady i wykrycie go stanie się możliwe wtedy, kiedy on sam czymś się zdradzi albo zostanie „sypnięty”.

Milczarek był przekonany, że w warszawskim świątku podziemnym jest co najmniej kilku ludzi, którzy mogliby na ten temat powiedzieć coś interesującego. Jego pracownicy nadal penetrowali środowisko, zbierając skrzętnie najdrobniejsze wiadomości o „organizatorze”. Takim bowiem kryptonimem ochrzcił akta sprawy oficer dochodzeniowy. Na razie nie dowiedzieli się niczego, co mogłoby doprowadzić ich do sprawcy zbrodni lub choćby posunąć sprawę naprzód.

Major Leszek Kalinowicz w tym czasie zajmował się dużym gangiem samochodowym, operującym przede wszystkim na Wybrzeżu. Kradziono tam jasne warszawy, zawsze tylko jasne: wywożono je następnie do Poznania, część do stolicy, czasem do Katowic i sprzedawano na giełdach samochodowych. Złodzieje rozporządzali całą kolekcją fałszywych świadectw i przy

transakcjach posługiwali się kradzionymi dowodami osobistymi. Zdobywali je w ten sposób, że starali się ulokować w pokojach zbiorowych hoteli i korzystając z nieuwagi współtowarzyszy noclegów zabierali im dokumenty, niczego innego nie ruszając.

Gang był doskonale zorganizowany. Wszystkie funkcje były w nim podzielone. Jedni kradli samochody, inni starali się o fałszywe papiery wozów. Jeden z przestępców garażował je we własnym garażu, gdzie przerabiano numery auta i motoru, inni zajmowali się sprzedażą. W ciągu półtora roku banda ukradła i upłynniła samochody na przeszło trzy miliony złotych. Teraz całe to towarzystwo siedziało pod kluczem, a milicja z całej Polski zajmowała się odszukiwaniem skradzionych maszyn i zwracaniem ich prawowitym właścicielom. Były nimi najczęściej przedsiębiorstwa państwowe i społeczne, a w długim szeregu poszkodowanych nie zabrakło nawet popularnego na Wybrzeżu pisma „Dziennika Bałtyckiego”.

W czwartek, dwudziestego czwartego września, zadzwonił telefon na biurku majora.

– Halo, Leszek?

– Tak, to ja. Poznaje cię po głosie, chociaż coś strasznie trzeszczy w tej słuchawce. Michał?

– We własnej osobie. Michał Nowak z dzielnicy, do usług.

– Dzwonisz, żeby zaprosić na imieniny?

– To też przy okazji, ale chciałem powiedzieć ci coś ciekawego. Może to cię zainteresuje...

– No to wykładaj, co tam masz. Czuję, że chcesz mnie zrobić w jakąś paskudną sprawę. Ale nic z tego. Dopóki mam swoich samochodziarzy, reszta mnie nie obchodzi. Nic mnie od nich nie odciągnie. Choćby się paliło i waliło.

– Ja właśnie dosłownie w sprawie palenia i walenia.

– To do straży ogniowej, a nie do Komendy Stołecznej.

– Była i straż. Może jednak dasz mi dojść do słowa? – kapitan Michał Nowak usiłował przerwać przyjacielowi.

– No już gadaj.

– Pamiętasz takiego fabrykanta dewocjonalii, co to bryknął z wiaduktu? Jarecki, chyba Włodzimierz. Nasza dzielnica zajmowała się czynnościami wstępnymi dochodzenia, a potem ten cały kram ty przejąłeś z ramienia Stołecznej.

– Pamiętam. To było samobójstwo. Prokurator umorzył śledztwo.

– Nie o Jareckiego chodzi. Dzisiaj rano w jego dawnym warsztacie przy Chełmińskiej nastąpił groźny wybuch.

– No i co?

– Dwie osoby lekko ranne, reszta ciężko przestraszeni.

– A Barbara Jarecka? – major nie widział się więcej z piękną panią. Uważał, że lepiej nie kontynuować tej ściśle urzędowej znajomości. Ale dobrze zapamiętał duże, zielone oczy przystojnej wdówki.

– Właśnie ona jest trochę potłuczona. Nic groźnego.

– A co tam się stało? . . .

– Moi ludzie siedzą na Chełmińskiej i rozglądają się w terenie. Coś wybuchło, powstał pożar, wysadziło jedną ściankę działową, drzwi i okno. Pożar ugaszono jeszcze przed przyjazdem straży ogniowej. Dzielna baba ta właścicielka warsztatu. Chociaż nieźle ją przygniotło, nie straciła głowy. Sama kierowała akcją ratunkową. Mieli dużo szczęścia. Mogła być masakra na dziesięć fajerek.

– Zainteresowałeś mnie. Zajrzę na tę Chełmińską.

– Właśnie myślałem, że to może być coś dla ciebie. Ja też jadę tam się rozejrzeć. To się spotkamy.

Major złożył i zamknął w szafie studiowany kolejno tom akt samochodowego gangu i pojechał na Chełmińską. Już z daleka widać było sporą grupkę gapiów przed numerem siedemnastym. Milicja nie chcąc dopuścić do zbiegowiska po prostu zamknęła bramę posesji, na podwórzu której mieścił się warsztat rzemieślniczy. Gapie, a tych nigdy nie brakuje, zgromadzili się przed domem. Czyżby czekali na następny wybuch?

Oficer przepchał się przez tłumek. Ponieważ był w cywilu, pokazał swoją legitymację służbową, a wtedy stojący w bramie milicjant uchylił furtkę i wpuścił go do środka.

Major Kalinowicz dobrze znał cały teren. Przecież w tym warsztacie przeprowadzał wraz ze swoimi ludźmi rewizję po śmierci Włodzimierza Jareckiego.

Wytwórnia mieściła się w murowanym, dość długim, parterowym budynku. Poza fabrykantem dewocjonalii znajdowały się tu jeszcze dwie placówki rzemieślnicze. Jakaś stolarnia i

zakład rymarski. Ten budynek stanowił jedno skrzydło oficyn. Po drugiej stronie stał dwupiętrowy dom mieszkalny.

Parterowe zabudowania warsztatów rzemieślniczych pokryte były prawie płaskim dachem z papy. Pierwszy z brzegu, licząc od bramy, był właśnie warsztat Jareckiej. Prowadziły do niego dwa wejścia. Normalne drzwi na początku budynku, którymi wchodziło się bezpośrednio do małego kantorku. Dalej były dwa większe pomieszczenia przeznaczone na maszyny do wyrobu dewocjonalii. Jedno z tych pomieszczeń miało szerokie wrota na podwórze, tak że samochód z towarem czy po towar mógł wjeżdżać bezpośrednio do środka warsztatu. Okno kantorku wychodziło na bramę wejściową domu; pomieszczenia warsztatowe oświetlały duże zakratowane okna z widokiem na sąsiednią oficynę.

Oficer milicji od razu zorientował się, co tutaj zaszło. Silny wybuch nastąpił właśnie w kantorku. Eksplozja wyrwała nad nim część dachu i wywaliła okno wraz z framugą. Drzwi musiały być uchylone, bo siła podmuchu wyrwała je z zawiasów i odrzuciła na jakieś trzy metry od budynku. Całe wnętrze pomieszczenia biurowego było kompletnie zrujnowane. Rozpadła się także cienka na pół cegły ścianka działowa pomiędzy kantorkiem a pierwszą halą warsztatową. Po całym podwórzu poniewierały się różne strzępki papy, kawałki desek i papiery. Niektóre z tych przedmiotów były osmalone.

– Jesteś? – z warsztatu wyszedł oficer milicji w mundurze z dystynkcjami kapitana.

– Wziąłem taksówkę i wyjechałem z komendy zaraz po twoim telefonie – major przywitał się z Michałem Nowakiem.

– Właściwie niepotrzebnie cię fatygowałem. Sprawa jest już wyjaśniona.

– Co to było?

– Niewypał.

– Skąd się tu wziął? W starym żelastwie?

– Nie. Ten budynek bez większych uszkodzeń przetrwał całą drugą wojnę światową. Przed wrześniem 1939 roku kazano strychy wysypywać piachem w obawie przed pożarami i bombami zapalającymi. Tutaj stryszek jest bardzo niski. Nie więcej niż metr dwadzieścia. Ale piachem wysypano go wówczas solidnie. Po upadku Powstania Warszawskiego ta dzielnica Warszawy

ucierpiała stosunkowo niewiele. W tych budynkach stacjonowali żołnierze hitlerowscy broniąc przeprawy przez Wisłę. Rzeka jest w bezpośrednim sąsiedztwie. Teren ten, po zajęciu Pragi przez nasze wojska, był stale ostrzeliwany i bombardowany. Z „kukuruźników” rzucono też granaty lotnicze. Takie małe bombki wagi do dziesięciu kilogramów.

– Po co mi to wszystko opowiadasz?

– Właśnie kilka takich granatów lotniczych musiało spaść na ten budynek. Przebiły dach i grzęznąc w sypkim piachu nie wybuchły. Po wojnie pośpiesznie położono nową warstwę papy, a stryszkciem nikt się specjalnie nie interesował. Tylko z tamtej strony budynku stolarz czasami kładzie deski, aby przeschły. Pociski przeleżały spokojnie dwadzieścia pięć lat, wreszcie jednemu z nich sprzykrzyło się i postanowił dostarczyć użytkownikom budynku godziwej rozrywki. Czterech jego towarzyszy dalej sobie drzemie w piaseczku na strychu. Moi ludzie odnaleźli je bez większych trudności. Czekamy teraz na saperów, są zawiadomieni. Przyjadą i zabiorą te cacka. No cóż, jeszcze dużo tego świństwa poniewiera się po naszym kraju. Niedawno słyszałem, że na Kielecczyźnie wykryto kapliczkę przydrożną na skraju wsi zrobioną z kilkuset min przeciwczołgowych. Murowano nimi zamiast cegieł. A na szczycie umieszczono obraz Matki Boskiej. Prawdziwa „Matka Boska Wybuchowa” – kapitan Nowak był w świetnym humorze. – Sprawa mogła Skończyć się znacznie groźniej.

– Usuwasz wszystkich ludzi z budynku? – zapytał major.

– Nie ma potrzeby. Statystycznie biorąc, następny granat wybuchnie za dwadzieścia pięć lat. Siedzą one w piasku nad warsztatem rymarskim. Kazałem ludziom wyjść stamtąd. W tym pierwszym warsztacie nikomu nic nie zagraża.

Obaj oficerowie weszli do środka budynku. Kilku mężczyzn usiłowało przywrócić tu jaki taki porządek. Usuwano gruz, porządkowano rozrzucone wszędzie fabrykaty i surowiec. Robotą kierowała Barbara Jarecka. Ubrana była w jakiś przydługi jasny, męski płaszcz. Włosy w nieładzie, obficie upudrowane wapnem i gruzem, ranka pod okiem, na lewej nodze bandaż.

Na widok majora Kałnowicza kobieta uśmiechnęła się.

– Zapraszałam pana w odwiedziny, ale nie myślałam, że złoży mi pan wizytę w takich okolicznościach.

– Nic się pani' nie stało?

– Nic poważniejszego. Trochę jestem potłuczona i mam skaleczoną nogę. Poza tym sukienka i pończochy poszły w strzępki. Widzi pan, jak modnie jestem ubrana? W maxi! – Barbara Jarecka nadrabiała zmartwienie humorem. – Mogło być gorzej. Skończyło się na strachu i stratach.

- Jak to było?

– Pracowałam w kantorku. Właśnie przyszedł listonosz i zostawił pocztę. Wśród różnych urzędowych zawiadomień z Izby Rzemieślniczej i z Banku był list do jednego z naszych pracowników. Po wyjściu listonosza wzięłam kopertę i poszłam doręczyć ją adresatowi. Pan Maciejak pracował przy sztancy w ostatnim pomieszczeniu.

– To panią ocaliło – wtrącił kapitan Nowak.

– Porozmawiałam w warsztacie parę minut z panem Maciejakiem, pokazałam uczniowi, że źle kroi miedzianą blachę, potem wróciłam do pierwszego pomieszczenia warsztatu i zatrzymałam się przy uczniu Dereckim, obsługującym wiertarkę. Wiertarka stoi w pobliżu ściany mojego kantorku. Byłam do niej odwrócona tyłem. Raptem usłyszałam huk, coś mnie uderzyło w plecy, poczułam walący się na mnie ciężar, jednocześnie rzuciło mnie na ziemię. Chyba na krótko straciłam przytomność, bo nic nie pamiętam.

– Nic dziwnego.

– Kiedy się ocknęłam, wstałam o własnych siłach. Naokoło było pełno gruzu. Ktoś wziął mnie na ręce i wyniósł na podwórze. Słyszałam krzyki „pali się”. To mnie zupełnie oprzytomniło. Zebrałam ludzi i zaczęliśmy gasić pożar. Pomagali nam w tym pracownicy innych warsztatów i mieszkańcy domu. Dopiero po pewnym czasie spostrzegłam, że cała jestem uwalana gruzem, mam podartą sukienkę, a z nogi leje się krew. Nie przypominam sobie, kto mi ją zabandażował. Chyba któryś z pracowników. Dereckiego, tego naszego ucznia, także rzuciło na ziemię. Rozbił sobie głowę. Pewnie o wiertarkę. Ale nic groźnego. Po prostu duży guz. Ale to młody chłopak i ogromnie się przestraszył. Kazałam mu iść do domu.

– Ten list do Maciejaka – roześmiał się kapitan Nowak – powinna pani w srebrne ramki oprawić i zawiesić nad swoim łóżkiem. Gdyby nie on, rozerwałoby panią na kawałeczki.

Niewypał znajdował się dokładnie nad kantorkiem. Właśnie tam, gdzie pani przed paru minutami siedziała.

Barbara Jarecka przeszła do zrujnowanego kantorku. Nachyliła się i spod rumowiska cegieł wyciągnęła maszynę do pisania. Nie trzeba było być fachowcem, aby stwierdzić, że nie nadaje się do naprawy.

– Kiedyś dziwił się pan – właścicielka warsztatu zwróciła się do majora – dlaczego używam takiego starego grata. Najwidoczniej w złą godzinę pan to wypowiedział, bo trzeba będzie postarać się o nową. Telefon też zniszczony. Milicję i straż ogniową zaalarmował jeden z mieszkańców kamienicy z własnego aparatu. W ogóle szkody nie są specjalnie wielkie, ale dokuczliwe. Wszystkie rachunki, wszystkie zamówienia i cała księgowość przepadły. Będą z tym duże kłopoty.

– Przede wszystkim dobrze, że pani wyszła z tego bez większego szwanku. Reszta głupstwo – major powiedział te słowa bardzo gorąco.

Pani Jarecka posłała mu w podzięcie uśmiech. Pomimo pokaleczonej twarzy i przysypanych wapnem włosów nic nie straciła z wrodzonego sobie wdzięku.

Milicjant stojący przy bramie zaczął ją otwierać.

– Ludzie, rozstąpcie się. Tu nie ma nic ciekawego.

I tak nikt nie wejdzie do środka – kaprał walczył z naborem gapiów. – Przepuście ciężarówkę!

Samochód wjechał na podwórze, z szoferki wysiadł porucznik. Spod plandeki zgrabnie wyskakhvali saperzy. Porucznik zbliżył się do oficerów milicji.

– Zupełnie nieźle tu rąbnęło – powiedział z uznaniem. – Dobrze, że było okno, drzwi i słaby dach. Poszło wszystko na , zewnątrz, a ścianę tylko przewróciło. Gdyby pomieszczenie było solidniejsze, te cegły jak pocisk'? poleciałyby w różne strony. Ofiar nie było?

– Jak pan widzi – uśmiechnęła się Jarecka – drugi potłuczony poszedł do domu.

– Całe szczęście. Gdzie te niewypały, kapitanie? Co to Jest?

– Cztery granaty lotnicze. Leżą w piasku na strychu tego budynku. Piątemu znudziło się czekać na was i sam się rozbroił.

– Sądziłem – porucznik machnął ręką – że to jakaś przyzwoita bomba albo pocisk z działa kolejowego, a tu takie zawracanie

głowy. Niepotrzebnie brałem tylu ludzi i ciężarówkę. Takie coś można byłoby przewieźć i tramwajem.

– Właśnie to widzimy – major pokazał na pobojuwisko, jakie pozostało z kantorku.

– W której części budynku leżą te jajeczka?

– Tam gdzie warsztat rymarski – tłumaczył kapitan milicji. – Poleciałem tamtejszym pracownikom opuścić to pomieszczenie.

– Dla pewności wszystkich usuniemy. Niech przejdą na klatkę schodową budynku od ulicy. Tak będzie bezpieczniej. Nie powinno to być groźne, ale skoro jeden wywalił, to i inne mogą.

W całej kamienicy i w oficynie okna były pełne gapiów. Takiej sensacji nigdy tu nie przeżywano, a przynajmniej od końca wojny.

– Będziemy rozbierać niewypały — porucznik zwrócił się do mieszkańców domu. – Mogą wybuchnąć i ranić lub zabić. Proszę otworzyć wszystkie okna w kamienicy. Proszę też odsunąć się od okien. Najlepiej usiąść pod ścianami.

Okna otwierano w pośpiechu, natomiast głowy gapiów wcale z nich nie znikwały. Wiadomo, polski naród byle czego się nie lęka, a porucznikowi od saperów nie pozwoli sobą rządzić!

– A niech ich... – oficer tylko ręką machnął i zwracając się do swoich ludzi zakomenderował: – Wacek i Marian, jak ludzie opuszczą warsztaty, włączcie na strych i obejrzyjcie, co tam jest.

Rzemieślnicy i ich pracownicy, choć z ociąganiem, opuszczali lokale i znikali na klatce schodowej głównego budynku. Fatalne miejsce, nic się nie zobaczy z tak pasjonującego widowiska.

– Milicja może zostać – zdecydował porucznik - ale stańcie za ścianą budynku.

Saperzy znaleźli jakąś drabinkę, przystawili ją do rozwalonego dachu i za chwilę dwóch z nich zniknęło w głębi stryżka.

– Kazik, dawaj latarkę – jedna głowa wyrzała z dziury w dachu.

– Tam dalej ciemno jak u Murzyna...

Jeden z żołnierzy podał kolegom duży, silny reflektor.

– Tyle lat po wojnie ciągle mamy robotę. Nie ma dnia, żeby nas nie wzywano. A przecież nasza jednostka pracuje jedynie w obrębie Warszawy. Wczoraj na budowie na Nowym Bródnie rozbajaliśmy półtonową bombkę. To była robota, nie jakieś tam głupie granaty.

– Panie poruczniku – meldował z dachu jeden z żołnierzy – znaleźliśmy cztery granaty. Takie po osiem kilo. Już przynieśliśmy je tutaj. Można podawać?

W kilka minut potem małe bombki znalazły się we wnętrzu ciężarówki. Widzowie w oknach byli najwyraźniej rozczarowani.

– Jeszcze raz przeszukać cały strych – rozkazał porucznik. – Może ukrywa się tam jakieś inne świństwo?

– Nic nie ma – meldowali po chwili saperzy. – Wszystko przetrząsnęliśmy.

– No to koniec. Wracamy.

– Bardzo dziękujemy, poruczniku – oficerowie milicji zegnali się z saperami.

– Nie ma za co. Zawsze do usług. A swoją drogą dziwny wypadek.

– Dlaczego?

– Nigdy mi się nie zdarzyło, aby taki granat . sam eksplodował. Wypadki z niewypałami zdarzają się wyłącznie dlatego, że ktoś je poruszy, uderzy lub też na własną rękę zajmie się ich rozbrajaniem. Te bombki mają stosunkowo twarde zapalniki. Detonowały zazwyczaj przy uderzeniu w coś solidnego. Najlepszy dowód, że nie rozerwały się przy przebijaniu dachu.

– Faktem jest, że jeden wybuchł – kapitan Nowak pokazał ręką szczątki kantorku.

– Najwidoczniej temperatura na strychu musiała z jakichś przyczyn gwałtownie wzrosnąć – zgodził się saper. – No, ale skończyło się na strachu. Do widzenia.

Samochód z saperami odjechał. Gapie w oknach i na ulicy zaczęli się rozchodzić.

– Panią musi opatrzyć Pogotowie – major tłumaczył Jareckiej. – Trzeba zdezynfekować ranę i sądzę, że przyda się zastrzyk przeciwwężcowy.

– Głupstwo – machnęła ręką pani Barbara. – Przecież muszę tu trochę uprzątnąć i na tyle zabezpieczyć warsztat, aby można go było chociaż zamknąć. Nic mi nie będzie. Czuję się zupełnie dobrze.

– Nie będę dyskutował z upartym dzieckiem. Jedziemy do Pogotowia – rzekł Kalinowicz. – Dadzą sobie radę i bez pani.

— Pan major ma rację. Niech szefowa jedzie – Maciejak poparł oficera milicji. – Ja wszystkiego dopilnuję. Okno jakoś zamocujemy, przecież stolarz jest na miejscu.

Drzwi się wstawi i będzie można budę zamknąć. Jutro rano przyjdzie murarz, w moim domu mieszka taki jeden, co się tym zajmuje, i naprawi. Nawet śladu nie będzie. Po remoncie przeprowadzanym na wiosnę zostało parę rolek papy. Teraz się przydadzą. Może pani być zupełnie spokojna o warsztat.

Jarecka chciała protestować, ale major stanowczym ruchem wziął ją pod rękę i poprowadził w stronę bramy.

– Chwileczkę. Muszę znaleźć swoją torebkę. Dokumenty, pieniądze, klucze do mieszkania. Pamiętam, wyciągnęłam ją spod gruzów, ale później gdzieś położyłam.

– Leży tutaj na maszynie – jeden z pracowników podał szefowej brązową torebkę ze skaju. Była w paru miejscach zarysowana, gdzie indziej grudki tynku wbiły, się w sztuczne tworzywo, ale na ogół torba wyszła z katastrofy Jsez większego szwanku. Podobnie jak i jej właścicielka.

Jarecka już nie sprzeciwiała się. Pożegnała się z pracownikami i kapitanem Nowakiem, który został, aby sporządzić protokół wypadku.

– Największy pech – powiedziała do oficera milicji – i jestem zupełnie sama. Moja współlokatorka jeszcze nie wróciła z wakacji, a Zygmunt, mój bratanek, właśnie z rana wyjechał firmową warszawą do Częstochowy i na Śląsk z kolekcją towaru.

– Pani ma kluczyki do wozu?

Jarecka sięgnęła do torebki, major otworzył zielonego renaulta.

– W tym stanie pani nie może prowadzić – powiedział zajmując miejsce za kierownicą.

Pani Barbara usiadła obok.

– Nawet mocna kobieta lubi, żeby czasem mężczyzna za nią decydował.

W Pogotowiu okazało się, że rana na nodze nie jest groźna, ale dość głęboka. Trzeba ją było oczyścić i zdezynfekować. Opatrunek był bolesny, nie mówiąc już o zastrzyku przeciwwężcowym, który przecież nie należy do przyjemności. Dopiero teraz szok zaczął mijać i Jarecka poczuła się tak osłabiona, że bez pomocy Kalinowicza nie miałyby siły wyjść sama z gmachu Pogotowia.

– Jedziemy do pani i zaraz zapakuję panią do łóżka – major znowu zabawił się w kierowcę.

– Boże, jak ja wyglądam! – przestraszyła się Barbara Jarecka na widok swojego odbicia w lustrze.

Kiedy wróciła z łazienki wykąpana i odświeżona, zastała posłany tapczan, zaś brzęk talerzy dochodzący z kuchni wskazywał, że major tam gospodaruje.

– Co pan robi? – piękna pani stanęła w drzwiach kuchni. Gdyby nie oko, nikt by nie domyślił się, jaką przygodę przeżyła przed kilku godzinami.

– Pitraszę coś do jedzenia – oficer smażył na patelni szynkę, aby wbić w nią znalezione w lodówce jaja. – A pani ma grzecznie pomaszerować do łóżka. Tapczan przygotowany.

I tym razem zielonooka nie zaprotestowała.

– A teraz niech pani postara się zasnąć – polecił Kalinowicz, kiedy zjedli zaimprovizowany obiad. – W razie gdyby pani poczuła się gorzej, proszę zawołać, będę w sąsiednim pokoju.

– Tyle pan ma ze mną zachodu. Oderwałam pana od pracy.

– Nie szkodzi. Prowadzę teraz dochodzenie w sprawie gangu samochodziarzy. Mogą trochę poczekać. I tak nigdzie im się nie śpieszy, i to w perspektywie najmniej najbliższych siedmiu lat.

– Pan jest bardzo dobry.

– To już zawodowa cecha oficerów milicji.

– Bardzo, bardzo dziękuję za wszystko.

– Spać – oficer delikatnie zamknął drzwi.

Siedząc w drugim pokoju za biurkiem Włodzimierza

Jareckiego, Leszek Kalinowicz usiłował sobie przypomnieć z balistyki i pirotechniki to, czego się nauczył najpierw jako młody chłopak w konspiracji i w partyzantce, a później w szkole oficerskiej MO. Pomimo to nie mógł znaleźć odpowiedzi na pytanie: jak to się dzieje, że granaty same wybuchają?

Mijały godziny. Wieczorem major zajrzał cicho do drugiego pokoju. Barbara Jarecka spała. Kalinowicz postanowił jej nie budzić. Z powrotem zamknął drzwi. On też był zmęczony. Zdjął buty, marynarkę i przykrywając się kocem wyciągnął się na wąskim tapczanie. Przez całą noc śniły mu się koszmarne sny. Nosił całe masy granatów i innych pocisków albo uderzał ciężkim młotem w ich zapalniki, usiłując wywołać detonację. Obudził się

dopiero wtedy, kiedy ktoś go potrząsnął za ramię i usłyszał niski, melodyjny głos.

– Panie majorze, śniadanie na stole.

Otworzył oczy. Przed nim stała Barbara Jarecka już ubrana i uczesana. Piękna jak zwykle.

– Pan się spóźni do biura. Śniadanie stygnie. Teraz szybko do łazienki, myć się i golić. Przygotowałam maszynkę Włodka. Po śniadaniu, w drodze rewanzu, dzisiaj ja pana odwiozę do Pałacu Mostowskich.

ROZDZIAŁ XII

SZÓSTY GRANAT

O tej porze w sklepie zawsze panował najmniejszy ruch. Kierowmiczka poszła więc do dyrekcji, aby wyklócić się o większy przydział atrakcyjnych i poszukiwanych na rynku towarów. Jedna z ekspedientek zajęta była na zapleczu. Robiła porządki, bo tylko patrzeć, jak komisja sanitarna zjawi się na kontrolę. Druga pracownica tego sklepu MHD załatwiała klientów.

Teraz nie było nikogo. Panna Kazia usiadła na taborecie i przeglądała dziennik. Kiedy drzwi się otworzyły i wszedł klient, ekspedientka' zręcznym ruchem wsunęła gazetę pod ladę.

– Co dla pana?

Rozglądał się po półkach wypełnionych butelkami z winem.

– Pani da tego rizlinga.

Panna Kazia wspięła się na palce i sięgnęła po wskazaną butelkę. Mężczyzna ubrany w szary garnitur w kratkę długo oglądał wino.

– Ile płacę?

– Czterdzieści dwa złote.

Podał czerwony papierek.

Ekspedientka wysunęła szufladę i zaczęła szykować resztę. Mężczyzna w garniturze w kratkę nagłym ruchem podniósł trzymaną w ręku butelkę i uderzył dziewczynę w głowę. Drugą ręką już sięgał po pieniądze z otwartej szuflady.

Ale pannę Kazię nie nadaremnie niektórzy klienci przezywali „błyskawicą”. W ostatnim momencie zdołała podnieść rękę, co

osłabiło cios. Dziewczyna nie straciła przytomności, lecz osuwając się na podłogę zaczęła krzyczeć:

– Ratunku! Ratunku! Bandydzi!

Z zaplecza wyskoczyła koleżanka. Bandyta wepchnął garść banknotów do kieszeni i rzucił się do ucieczki. Pracownica MHD wybiegła za nim wołając:

– Trzymajcie bandytę! Łapać złodzieja!

Kilku młodych ludzi rzuciło się w pogoń za opryszkiem, krzyki zaalarmowały przechodzącego w pobliżu milicjanta, który przyłączył się do pościgu. Po paruset metrach pogoni ujęto bandziora. Później sprawy potoczyły się normalnym torem. Radiowóz, przewiezienie bandyty do Komendy Stołecznej MO, Pogotowie Ratunkowe i pomoc udzielona rannej dziewczynie, zeznania naocznych świadków, protokoły. Nie obyło się też i bez rewizji osobistej zatrzymanego. Fachowe palce milicjantów wymacały za podszewką marynarki jakiś papier. Podszewka jednej z kieszeni nosiła ślady niedawnej reperacji. Widocznie papier wysunął się z kieszeni wówczas, kiedy była dziurawa.

Jeden z milicjantów scyzorykiem rozpruł kawałek podszewki i wyciągnął ze środka białą kopertę, zaadresowaną:

„Ob. Roman Breguła
Józefów k/Warszawy
Topolowa Aleja 36”

Był to ostatni ziemski adres „człowieka w worku”.

Sprawę przekazano kapitanowi Józefowi Milczarkowi, który przez tyle miesięcy szukał sprawcy makabrycznego mordu. Wielokrotnie przesłuchiwany bandyta, Adam Cichosz, plątał się w zeznaniach i nie umiał sensownie wytłumaczyć, skąd się wzięła w jego marynarce koperta listu adresowanego do Romana Breguły. Co dziwniejsze, data na tym liście była zaledwie o trzy dni wcześniejsza, niż znalezienie zwłok adresata na dnie Wisły.

Właścicielka domku w Józefowie, u której Roman Breguła odnajmował pokój, bez wahania oświadczyła, że doskonale poznaje okazane jej ubranie. Tak, to jest garnitur jej sublokatora. Właśnie ten miał na sobie, kiedy ostatni raz opuścił swoje mieszkanie.

Bandyta mieszkał w jednym z domów przy ulicy Wroniej. Zajmował tu jednoizbowy lokal na parterze w oficynie. Szczegółowa rewizja w tym mieszkaniu ujawniła w szafie brązowe buty, jeszcze dość nowe; mieszkanka Józefowa również poznała je jako własność Romana Breguły. W tym samym pomieszczeniu znaleziono solidny młotek. Dokładna analiza przeprowadzona przez Zakłady Kryminalistyki odkryła na młotku mikroskopijne ślady krwi. Grupa krwi zgadzała się z grupą „człowieka w worku”.

Młotek pokazano Adamowi Cichoszowi. Jednakże twierdził on z uporem, że to nie jego własność. Nie umiał jednak wytłumaczyć jego pochodzenia.

Nawet przeszłość tego człowieka była poszlaką, że jest on mordercą Romana Breguły. Już w 1946 roku, dziewiętnastoletni wówczas chłopiec, stanął po raz pierwszy przed sądem. Napad z bronią w ręku, zakończony zabójstwem ofiary. Wyrok: dziesięć lat więzienia. Za cztery lata młody człowiek był już na wolności. Następna sprawa w dwa lata później: Cichosz jako członek bandy; dokonała ona kilkunastu zuchwałych włamań do sklepów, wiejskich w województwie łódzkim. Osiem lat więzienia, nie odsiedziane zresztą w całości, było dalszym ciągiem edukacji przestępczej Cichosza, którego życie od tej pory składało się z krótkich pobyków na wolności, rabunku lub kradzieży i powrotu za kratki. Ostatnim razem brama więzienia otworzyła się przed Adamem Cichoszem zaledwie przed półtora rokiem.

Bardzo łatwo udało się ustalić, że bandyta i „organizator” doskonale się znali, a nawet łączyło ich coś w rodzaju przyjaźni. Między innymi w czasie pobytu Cichosza w więzieniu Roman Breguła posyłał mu parę razy pieniądze na „wypiski”.

Mieszkańcy domu przy ulicy Wroniej, przesłuchiwanie przez milicję, zeznali, że widywali stosunkowo często, jak człowiek podobny do okazywanej im fotografii odwiedzał mieszkanie Cichosza lub też przebywał w jego towarzystwie.

Adam Cichosz, stary przecież i można powiedzieć, że „zawodowy” kryminalista tłumaczył się najgłupiej w świecie. Najpierw usiłował wszystkiemu zaprzeczać lub zasłaniać się brakiem pamięci.

– Słuchajcie, Cichosz – z przestępcą rozmawiał kapitan Józef Milczarek – nie udawajcie dziecka. Bregułę naleziono nagiego w

worku, wrzuconym do Wisły na Wybrzeżu Kościuszkowskim, nieco powyżej pomnika Syreny. Zatrzymano was w ubraniu, który zmarły miał na obie w dniu śmierci. W waszej szafie znaleziono buty zabitego. Nie nosiliście ich, bo dla was za ciasne. Znalazłem też i młotek, właśnie nim zamordowano Bregułę. Sami rozumiecie, że to wszystko razem wzięte wystarczy każdemu prokuratorowi i każdemu sądowi, nawet gdyby was postawiono nie przed sądem państwowym, lecz przed dintojrą, dla wydania wyroku. Im głupiej zaprzeczacie, tym ten wyrok będzie surowszy.

– Panie kapitanie, ktoś mnie cholernie wrobił w ten baje.

– Aleście się wyrwali, Cichosz. Jak Barecki na zdechłej kobyle.

– Panie kapitanie, powiem całą prawdę, ale pan mnie i tak nie uwierzy. Wrobili mnie, jak Boga kocham, wrobili. Żebym ja tego ...syna dostał w swoje ręce!

– Przestańcie kłać, mówcie, jak to było naprawdę.

– Widzi pan, panie kapitanie, „pijawkę”, czyli Romka Bregułę, to ja znałem od szczeniaka, razem się uczyliśmy, bo ja też jestem fryzjerem z zawodu. Tylko on miał lepszą głowę ode mnie. Ja szedłem do mamra, jego nawet paznokciem nie tknęli. Kiedy mnie żona puściła kantem, to „pijawka” przysyłał mi pieniądze i opiekował się moją metą na Wroniej. Nawet komorne płacił. On miał swoje sposoby zarabiania. Panowie na pewno teraz wszystko wiedzą. Kiedy żył, nikt pary z gęby nie puścił. Romek zawsze miał klucze do mojego pokoju. Jak chciał z kimś pogadać spokojnie, to u mnie się spotykali. Nieraz przychodził i krótko mówił: „Spływaj na dwie godziny”. Bez słowa naciągałem kapotę na plecy, czy to był dzień, czy choćby środek nocy już mnie nie było. Różni do niego przychodzili. Nie mój interes. Za to kiedy mnie bieda przycisnęła, Breguła zawsze mnie poratował paroma seciakami.

– Dobra, dobra, Cichosz, to wszystko mowa-trawa. Do rzeczy.

– Pod koniec czerwca pojechałem w Lubelskie. Pewien kumpel, z którym razem siedzieliśmy pod celą, opowiadał, że tam łatwo o dobrą robótkę. Byłem w Lublinie, w Zamościu, w Puławach i w Kazimierzu. Zabrało mi to więcej niż dziesięć dni.

– Rozumiem, taka krajoznawcza wycieczka – zadrwił oficer milicji. – A świadków macie? Takich, którzy potwierdzą, że w czasie kiedy Breguła wędrował do worka, wyście sobie zwiedzali Polskę?

– Pan kapitan wie, że ja zawsze pracuję w pojedynkę. Nawet teraz, kiedy wygłupiłem się z tą dziewczyną. Staralem się nie mieć świadków. W hotelach przecież nie mieszkałem.

– No, jedźcie dalej.

– Kiedy wróciłem do chaty, widzę w szafie garnitur Romka i jego buty. Przyniósł? Wolno mu. Będzie chciał się przebrać, nie musi jechać do Józefowa. Dziwiłem się, że „pijawka” tak długo nie przychodzi, ale nie mnie mieszać się do jego spraw. Dopiero gdzieś po miesiącu dowiedziałem się od jego koleżków, co się Romkowi przytrafiło.

– A młotek?

– Najpierw młotka w ogóle nie widziałem. Kiedyś wróciłem po pijaku i rano nie mogłem buta znaleźć. Zaglądam pod łóżko, but leży, a obok niego ten młotek. Myślałem, że go wieczorem przytargałem w czasie „przerwy w życiorysie”. Wyciągnąłem młotek spod łóżka i wrzuciłem do skrzynki, gdzie trzymam różne narzędzia. Więcej go w ręku nie miałem. Dopiero przy rewizji go znaleźli.

– A teraz posłuchajcie, Cichosz, jak to wygląda w waszym opowiadaniu: Breguła przyszedł do waszego mieszkania na Wroniej i przyniósł ze sobą młotek oraz worek.

– Worek miałem – wygadał się przesłuchiwany. – Nawet dwa.

– Zgadza się, obywatelu Cichosz, zgadza się. Nie zdążyłem wam jeszcze powiedzieć, że w waszym mieszkaniu znaleźliśmy drugi taki worek. Identyczny z tym, w jakim znaleziono „pijawkę”.

– Trzymałem w nich różne stare graty – wyjaśnił Cichosz.

– Poprawiam się: Breguła przyszedł do was tylko z młotkiem. Grzecznie się rozebrał, powiesił ubranko w szafie, buty ustawił na baczność i przetaił do glansu. Potem wziął młotek, dał nim sobie w łeb i włożył do worka. Miał już zamówiony transport, żeby go przenieśli na Tamkę i wrzucili do Wisły. A może kazał się nadać przez pocztę jako list polecony?

– Pan kapitan się śmieje. A ja od razu mówiłem, że pan mi nie uwierzy.

– Musicie, Cichosz, wymyślić jakąś inną bajeczkę. Bardziej prawdopodobną. Ale ja wam radzę opowiedzieć całą prawdę. Tak będzie najlepiej. Nie straszę was „kaesem”, bo nie ja. będę wydawał wyrok, ale z waszą hipoteką miałbym się na baczności. Uważajcie, żeby was jakaś przykrość nie spotkała. Z mamra

prędzej czy później jednak się wychodzi. Z postronka też zdejmują, ale to już nie to samo.

– Panie kapitanie, powiedziałem jak najszczerzą prawdę. Sam się przyznałem, że ten worek, co Bregułę w niego wbili, jest mój. Powtarzam, wrobili mnie. Paskudnie mnie wrobili. Gdybym wiedział, jak to było z Bregułą, to czy nie umiałbym się pozbyć tego ubrania albo szastnąć butów do śmietnika? Młotek bym trzymał w domu? Na diabła mi on potrzebny? Mam dwa prawie takie same w skrzynce. A trzeci większy.

Kapitan odesłał do celi Adama Cichosza. Przyznał w duchu, że z całej rozmowy tylko ostatni argument przestępcy miał w sobie trochę logiki. Rzeczywiście, bandyta postępowałby ze skrajną lekkomyślnością, chodząc w garniturze swojej ofiary i nie usuwając butów; były mu one niepotrzebne, bo nie nadawały się do jego nóg. Ale oficer milicji mógłby z pamięci cytować setki podobnych przykładów, kiedy zaw'odowi, doświadczeni kryminaliści zachowywali się jak małe, naiwne dzieciaki.

Kapitan Józef Milczarek był głęboko przekonany o winie Adama Cichosza. Uważał sprawę za skończoną. Jedno lub dwa przesłuchania podejrzanego, uporządkowanie całego, ogromnego materiału dochodzenia i o dalszy ciąg niech martwi się prokurator.

Jeszcze jeden dziwny przedmiot znalazła milicja przy rewizji mieszkania Cichosza. Oto któryś z prowadzących poszukiwania zajrzał na piec. Mieszkanie było w starym domu, a piec miał ze dwa metry wysokości. Milicjant aż zaniemówił na widok tego, co tam ujrzał. Na glinianej, dobrze już popękanej polewie pieca, leżał granat. Nie taki zwykły, jakie noszą u pasa czy w chlebaku żołnierze wszystkich armii świata. Ten był większy, pękaty i z jednej strony zakończony małym, stalowym wiatraczkiem. Wojska hitlerowskie najbardziej bały się tych granatów. Nazywały je „cichą śmiercią”. Małe, pozornie niezdarne samolociki bezszumnie zjawiały się lotem ślizgowym nad pozycjami niemieckimi. Na pozycje nieprzyjaciela sypały się z góry dziesiątki takich bombek. A samolot, zwany przez Polaków „kukuruźnikiem”, zapuszczał motor i z jego terkotem wracał na lotnisko po nowy ładunek cichej śmierci.

Co robił ten granat na piecu Cichosza? Przestępca zdumiał się. Nie miał pojęcia, że mieszkał w tak niebezpiecznym „towarzystwie”. Na piec nie zaglądał, bo i po co?

Kapitan Milczarek skłonny był uwierzyć bandycie. Ostatecznie to niezbyt wielka frajda przebywać w pomieszczeniu, które lada chwila może wylecieć w powietrze. Niedawno przecież podobny granat wybuchł w jakimś domu i poranił dwoje ludzi. Oficer milicji słyszał, jak opowiadano o tym wypadku w gmachu komendy.

Ciekawe jednak, skąd się znalazł taki granat na piecu w prywatnym mieszkaniu. Nie leżał tam chyba od zakończenia wojny?

Przesłuchany w kilka dni potem Adam Cichosz przyznał się do dokonania dwóch przestępstw: włamania do sklepu z obuwem w Zamościu oraz do okradzenia kilku pokojów w dużym domu na rynku w Kazimierzu. Opisał dokładnie, co wtedy skradł, i wskazał paserów, którzy odebrali od niego towar. Dzięki tym zeznaniom, milicji udało się odzyskać dużą część rzeczy i zwrócić je prawowitym właścicielom.

Kapitan Milczarek nie dziwił się nagłej gadatliwości zatrzymanego opryszka. Przyznając się do tych kradzieży, usiłował zbudować sobie alibi, że w krytycznym dniu nie było go w Warszawie, a więc nie maczał palców w morderstwie Romana Breguły.

Niestety, te manewry na nic się bandycie nie zdały. Włamanie do sklepu w Zamościu zdarzyło się na cztery dni przed zabójstwem „pijawki”. Natomiast kradzież w dwa dni po odkryciu dokonanym przez dwóch rybaków. Takie alibi nie miało najmniejszego znaczenia.

– Słuchajcie, Cichosz – kapitan Milczarek perswadował opryszkowi – z tymi dwoma skokami dobrze wymyśliliście. Ale pociągami z Zamościa do Warszawy jedzie się około pięciu godzin, a do Kazimierza autobusem w niecałe cztery godziny. Włamaliście się do sklepu, może nawet Breguła nadał wam tę robotę,, bo przecież on zajmował się właśnie takimi rzeczami, wróciliście do stolicy, załatwiliście „pijawkę” i na następny skok wybraliście się do Kazimierza.

– Ja Romka nie zabiłem – upierał się bandyta.

– A może to było tak – Milczarek usiłował opryszkowi podsunąć najłagodniejszą wersję zbrodni – że po powrocie z roboty w Zamościu pokłóciliście się z Bregułą. Za dużo żądał za jej zorganizowanie. W kłótni, przy wódce, machnęliście go młotkiem w głowę.

– To nie mój młotek i ja Breguły nawet palcem nie ruszyłem.
– Trudno, dawałem wam szansę, wasza sprawa, teraz będziecie rozmawiali z prokuratorem.

– Jeżelibym miał stanąć nawet przed katem Maciejewskim, o którym śpiewał Grzesiuk, i tak mu powtórzę, że ginę niewinny – Adam Cichosz nie zmienił swoich zeznań.

Major Leszek Kalinowicz nie omieszkał pochwalić się przyjacielowi, adwokatowi Mieczysławowi Ruszyńskiemu, nowymi sukcesami milicji.

– No, mecenasie, teraz będziecie musieli się przyznać do błędu. Sprawa Romana Breguły została wyjaśniona w stu procentach. Nie ma ona nic wspólnego z samobójstwem Włodzimierza Jareckiego.

– Nie jestem tego taki pewny.

– Ależ – major skwitował uśmiechem dzielny upór przyjaciela – mamy zbrodnię, mamy sprawcę i mamy powody zabójstwa.

– Jakie?

– Bardzo proste. Zwykle porachunki w świecie przestępczym. Breguła był jednym z wodzów tego podziemia. On organizował aż do najdrobniejszych szczegółów wszystkie prawie większe skoki złodziejskie na terenie stolicy. Sam nie uczestniczył w ich wykonaniu, ale sprawcy słono mu opłacali się za nadanie roboty. W tej sytuacji nietrudno o zatarg. A wiadomo, jak się w tych sferach kończą tego rodzaju porachunki.

– Adam Cichosz nie przyznał się do tej zbrodni, chociaż, jeżeli dobrze zrozumiałem, milicja i prokurator gotowi byli przyjąć i uznać, że zabójstwo popełniono w czasie kłótni. Taki doświadczony kryminalista, gdyby naprawdę był sprawcą tego morderstwa, skorzystałby z szansy ocalenia głowy. Za zabójstwo w afekcie jest inny wyrok niż za zbrodnię z premedytacją. Cichosz nie poszedł na to.

– Sądzę, że do rozprawy zmądrzeje i zacznie śpiewać.

– A nie pomyślał pan, majorze, że on może być niewinny?

Oficer milicji roześmiał się.

– Miał już wyroki i za zabójstwo, i za rabunki. A poza tym ujęto go na gorącym uczynku napadu na sklep MHD.

– Nie przeczę, że jest winny rozboju, ale nie śmierci Romana Breguły.

– Ależ z mecenasa uparciuch! Na czarne będzie mówił białe. Byle postawić na swoim.

– Popelniacie zasadniczy błąd. Zasugerowaliście się przeszłością Adama Cichosza i wpadliście w samouspokojenie łatwym sukcesem oraz dowodami, które wam podsunęto. Jeżeli przyjąć wasze rozumowanie, to kluczowe zagadnienie całej sprawy pozostaje nierozwiązane.

– O czym pan mówi?

– O dziwnej klauzuli testamentu Włodzimierza Jareckiego. Tam jest sedno zagadki.

– Te dwie sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego. Powtarzam, pan się pomylił.

– Czy to kapitan Milczarek prowadzi dochodzenie w sprawie Adama Cichosza?

– Tak. Właściwie je skończył. Odsyła akta prokuratorowi. Wszystko wyjaśnione.

– Mam nadzieję, że kapitan zechce ze mną rozmawiać i pozwoli mi zapoznać się z materiałami zebranymi przez dochodzenie. To dla mnie bardzo ważne.

– Niczego nowego pan tam nie znajdzie, poza tym, co już powiedziałem. Ale naturalnie, kapitan Milczarek nie będzie panu stawiał przeszkód. Znacie się dobrze. Proszę jednak powiedzieć, dlaczego pana tak interesują te akta?

– Nie chcę, żeby powieszono niewinnego. Podejmę się obrony Cichosza.

Kapitan Milczarek zdziwił się niepomierne, kiedy sławny adwokat zwrócił się do niego o pozwolenie przejrzenia akt sprawy i prosił o przekazanie pełnomocnictwa Adamowi Cichoszowi, aby ten mógł je podpisać, ustanawiając tym samym adwokata Ruszyńskiego swoim obrońcą.

Mecenas przestudiował dokumenty, a oddając je oficerowi milicji zauważył:

– Pan kapitan zrećcznie to powiązał. Prokuratorowi nie pozostaje nic innego, jak pisać akt oskarżenia. Jednakże całe to dochodzenie ma jedną słabą stronę.

– Pan mecenas wierzy w niewinność Adama Cichosza? – zdziwił się Milczarek.

– Mogę za to dać własną głowę – poważnie odpowiedział adwokat.

– Nie radzę, zbyt duże ryzyko – roześmiał się oficer milicji. – Sprawa bez wątpliwości. To już nawet nie poszlakówka, chociaż podejrzany z uporem nie przyznaje się do winy. Jestem jednak przekonany, że do rozprawy i on zmańdrzeje. Tylko przez szczere przyznanie się może ocalić głowę.

– Całe dochodzenie przewróci się jak domek z kart. Ma zasadnicze braki.

– Jakie?! – oburzył się kapitan, zadraśnięty w swojej ambicji zawodowej. – Jakie?

– Ten granat na piecu. Nie umiecie wytłumaczyć jego tam obecności. ,

– To nie ma żadnego znaczenia dla sprawy.

– Ta cała sprawa, mówię nie tylko o Cichoszu, jest jak łamigłówka dla dzieci. Z wielu klocków trzeba złożyć kolorowy obrazek. A granat w mieszkaniu Cichosza jest jednym z klocków tej łamigłówki.

– Cóż to za łamigłówka – kapitan Milczarek zlekceważył słowa adwokata. – Nie widzę jej. Dla mnie po prostu zawodowy bandzior zlikwidował swojego, niezbyt mu wygodnego kumpla. Od początku świata aż do jego końca tego rodzaju porachunki były, są i będą na porządku dziennym w tym środowisku.

– Właśnie to jest największą wadą dochodzenia, że ułożyliście zresztą bardzo prawdopodobną teorię, która działa na was jak kantar na konia. Nie widzicie nic innego. W ogóle nie chcecie, a powiem więcej, boicie się dostrzec.

Oficer milicji zastanowił się. Bądź co bądź, adwokat Mieczysław Ruszyński był wielką sławą w świecie prawniczym. Czyżby opowiadał teraz głupstwa? A może ludzie się starzeją. Nawet sławni adwokaci. Zauważył więc jedynie:

– Nie widzę innych możliwości. Niech pan mecenas je wskaże.

– Ja je doskonale może nie tyle widzę, co wyczuwam. W tej sprawie istnieje masa wątpliwości. Wszystkie one przemawiają na korzyść podejrzanego.

– Chętnie posłucham.

– Chociażby ten garnitur zmarłego, w którym Cichosz paradował.

– Był tak pewien, że nikt go nigdy nie posądzi o tę zbrodnię, że żał mu było pozbywać się prawie nowego ubrania.

– Cichosz jest zawodowym kryminalistą, doskonale zna metody śledztwa i wie, że pierwszą czynnością przestępcy jest pozbycie się dowodów. Mógł na drugi dzień po zbrodni sprzedać na „ciuchach” garnitur Breguły i w zamian kupić jakiś inny. Albo nawet zamienić.

– Zgubiła go zbyt pewność siebie. Nie jego pierwszego.

– Zgoda – przyznał Ruszyński. – Uznaję pańskie argumenty. Ale niech pan mi powie, kapitanie, co stało się z bielizną zamordowanego?

– Z bielizną? – powtórzył oficer.

– W aktach sprawy znalazłem zeznania właścicielki domu, która odnajmowała Bregule pokój. Nazywa się ta kobieta bodaj Widlewska, jeżeli dobrze zapamiętałem nazwisko. Otóż ona wyraźnie stwierdziła, że kiedy Breguła ostatni raz opuszczał swój pokój, miał na sobie garnitur, buty i piękną koszulkę polo, zagranicznego pochodzenia. Musiał też mieć jakieś skarpetki, no i dolną część garderoby. Breguła ubierał się starannie nie licząc się z pieniędzmi. Był przeciwieństwem Cichosza, noszącego zazwyczaj zniszczone lachy. Gdzież podziła się reszta izeczy Breguły?

– Pewnie garderoba była zakrwawiona i Cichosz jej się pozbył.

– Prędzej zakrwawiłaby się marynarka, a na niej nie stwierdzono śladów krwi.

– Wtedy panowały upały i Breguła mógł być bez marynarki, w samej koszulce polo. Dlatego Cichosz pozbył się bielizny, a zostawił sobie garnitur.

– Hipoteza bez żadnych dowodów.

– Ale i bez kontrdowodów – bronił swojej tezy kapitan.

– Zgoda na koszulkę polo. Dobrze, była zakrwawiona i Cichosz ją zniszczył czy wyrzucił, ale pozostają jeszcze kalesony i skarpetki. To wszystko było pokrwawione? Nonsens.

– Cichosz rozebrał trupa do naga, z jego bielizny zrobił drugi tłumok, który również wrzucił do Wisły. Tę drugą paczkę, znacznie lżejszą, porwał prąd rzeki i dlatego jej nie znaleźliśmy.

– A buty, których nie mógł nosić, bo były za małe, Cichosz jednak zostawił. Na pamiątkę po przyjacielu?

– Niewątpliwie bandyta był wtedy zdenerwowany i mógł o butach zapomnieć.

– Znowu ten kantar – roześmiał się adwokat. – Wszystko dopasowujecie do swojej teorii. Każdy fakt staracie się wytłumaczyć tak, jak wam jest wygodniej.

Zasugerowaliście się z góry rozwiązaniem, że Cichosz jest mordercą i nie widzicie nic innego. A granat?

– Jaki granat?

– No ta bombka lotnicza, którą znaleźliście na piecu.

– Ach, o to panu mecenasowi chodzi. Ten szczegół zupełnie wyleciał mi z pamięci. To absolutnie nie ma znaczenia. Ten granat mógł przynieść sam Cichosz. Mógł też znaleźć się na piecu znacznie wcześniej. Poprzednimi lokatorami tego mieszkania była rodzina mająca dwóch synów w wieku 12 i 16 lat. Może któryś z chłopaków znalazł bombkę, przyniósł do domu i w obawie przed matką schował na piec? Później o niej zapomniał i granat spokojnie leżał aż do chwili naszej rewizji.

– Czy pan kapitan był przy tej rewizji?

– Tak, ja ją prowadziłem.

– Pamięta pan moment znalezienia granatu?

– Przypominam sobie. Piec jest bardzo wysoki i jeden z milicjantów chcąc zajrzeć na górę przystawił stół i dopiero wtedy sięgnął wzrokiem do szczytu.

– Wyście ją zdejmowali czy wezwaliście saperów?

– Do takiego głupstwa? Po co? Milicjant zdjął ją z pieca. Delikatnie położył na stole i wszyscy przyglądaliśmy się tej niecodziennej zdobyczy.

– Bardzo była zakurzona? Ten milicjant bardzo się ubrudził przy zdejmowaniu granatu?

– Nie, było na nim trochę kurzu, ale nie za wiele.

– Przedmiot, który według waszej teorii leżał na piecu przez wiele lat, musiałby być pokryty grubą warstwą kurzu i pajęczyny. Chyba nie przypuszcza pan, kapitanie, że Cichosz regularnie odkurzał swój skarb? Czy ten granat jest w depozycie razem z innymi rzeczami podejrzanego?

– No nie – roześmiał się oficer milicji: – Przekazaliśmy granat saperom. Cichosz oczywiście nie protestował przeciwko temu.

– Szkoda.

– Dlaczego?

– Gdyby granat leżał tam do dzisiaj, być może Zakład Kryminalistyki mógłby odpowiedzieć na pytanie, jak długo tkwił na tym piecu.

– Czy to takie ważne?

– Możliwe – odparł adwokat – że tym granatem rozbiję akt oskarżenia. Obawiam się, że lekkomyślnie zniszczyliście bardzo ważny dowód.

– Pan mecenas żartuje.

– Gdyby ten granat wybuchł akurat wtedy, kiedy Cichosz był na wolności i przebywał w swoim mieszkaniu, byłoby to idealne zakończenie sprawy. Morderca Breguły zginął od wybuchu niewypału, śledztwo zostałoby raz na zawsze zamknięte. Sądzę, że o takie rozwiązanie właśnie chodziło.

– Komu? Nam? – zdenerwował się kapitan, chociaż nie chciał się głośno przyznać, że sprytny adwokat swoimi wnioskami zrobił maleńki wyłom w doskonale zbudowanej konstrukcji dochodzenia milicyjnego. Z tym kurzem na bombie rzeczywiście popełniono niedopatrzenie. Trzeba było na ten szczegół zwrócić uwagę, ale komu mogło przyjść na myśl, że ktoś w taki podstępny sposób nastaje na życie Cichosza. Po prostu absurd.

– Nigdy nie posądzałem ani pana, ani w ogóle milicji o jakąkolwiek tendencyjność – zastrzegł się Ruszyński. – Dla mnie sprawa Breguły jest częścią innej łamigłówki. Chcę ją złożyć i dlatego podejmuję się obrony Cichosza. Jestem całkowicie przekonany, że ten granat wkrótce by eksplodował. A nieborak, którego trzymacie w więzieniu, nawet nie wie, jakie ma szczęście. Gdyby nie ten jego pechowy skok na sklep, prawdopodobnie dzisiaj by nie żył.

– Pan mecenas demonizuje zupełnie prostą sprawę.

– Na pewno nie. Za kulisami tej sprawy stoi ktoś piekielnie sprytny i nie liczący się z niczym. Tu nic nie dzieje się z przypadku. Plan jest doskonale opracowany i zapięty na ostatni guzik. Breguła z jakichś powodów, których na razie mogę się jedynie domyślać, był komuś niewygodny i musiał zginąć. Wsadzono go do worka całkiem nagiego też nie z przypadku, ale celowo, abyście później mieli dowody, że to Cichosz jest mordercą swojego kumpla. Ten ktoś dobrze znał małego opryszka i wiedział, że on się połakomi na zostawione w szafie ubranie. A następnie, żeby milicja nie miała żadnych wątpliwości i

jak najprędzej zamknęła całą sprawę, Cichosz miał zginąć od wybuchu niewypału. Cóż, niewypały ciągle są groźne, nie ma tygodnia, aby nie dały znać o sobie. Nikogo by nie zdziwiła jeszcze jedna tego rodzaju detonacja. A ta koperta za podszewką marynarki, która pozwoliła wam zidentyfikować ubranie Breguły, śmiem twierdzić, została tam włożona nie bez kozery. Granat na pewno by wybuchł. Ubranie Breguły znalezione na trupie Cichosza miało was upewnić, że to zginął morderca „człowieka w worku”.

– Niedawno zdarzył się podobny wybuch. Słyszałem o nim. Ekspłodował granat lotniczy. Nie pamiętam tylko gdzie? – przyznał kapitan Milczarek. – Ale mimo wszystko nie wierzę w pańską teorię. Jest zbyt fantastyczna.

– A ja panu mówię, że to jest łamigłówka. Taka składanka, tym razem nie dla grzecznych dzieci, a dla dorosłych. Dostrzegam wiele elementów tej łamigłówki, mam nadzieję, że uda mi się w końcu złożyć ją w jeden obraz.

– A wtedy?

– Wtedy będziecie mieli prawdziwego mordercę Breguły i może nie tylko Breguły.

ROZDZIAŁ XIII

JESZCZE JEDNA KOSTKA ŁAMIGŁÓWKI

Po rozmowie z kapitanem Milczarkiem mecenas Ruszyński udał się do zespołu adwokackiego. Przybył tam przeszło pół godziny przed swoimi normalnymi godzinami urzędowania. Wbrew zwyczajowi nie zabrał się dzisiaj do gazet, a na kartce papieru coś pisał, by za chwilę jednym pociągnięciem długopisu wszystko skreślić i znowu robić inne notatki. W końcu zapełnił cztery kartki papieru, ale podarł je na strzępki i wrzucił do kosza. Wreszcie siadł do maszyny. Potem wezwał woźnego Franciszka. Kiedy ten się zjawił, mecenas podał mu zapisany arkusz.

– Panie Franciszku, przed paru tygodniami oglądaliśmy na Oczki ciało pewnego człowieka. Pamięta pan?

– Naturalnie, panie mecenasie. Takich rzeczy nie zapomina się tak szybko. Poznałem, że to był ten sam klient, który przychodził

do pana zdeponować testament, a później spadł z mostu Poniatowskiego, chociaż to nie zgadzało się w czasie, bo ten Jarecki zabił się w maju. Milicja też mi nie uwierzyła.

– A czy pan się nie omylił?

– Ja już sam nie wiem, co o tym myśleć. Ten z Oczki miał taki sam nos, był łysawy i nie miał jednego zęba w górnej szczęce. Trochę z boku, ale było widać, kiedy się uśmiechnął. Tak samo jak ten klient, Jarecki.

– Milicja wzywała pana dla sporządzenia protokołu?

– Nie.

– Chciałbym jednak, aby pan podpisał oświadczenie, które przygotowałem.

Oświadczenie

Ja niżej podpisany Franciszek Mioduszewski stwierdzam, że w zwłokach oglądanych na Oczki w obecności adwokata Mieczysława Ruszyńskiego i majora Leszka Kalinowicza rozpoznaję człowieka, który zjawił się w zespole adwokackim, gdzie jestem zatrudniony, celem zdeponowania swojego testamentu. Człowiek ten, jak sobie przypominam, podawał się za Włodzimierza Jareckiego. Warszawa, dn. 16 października 1970 r.

Franciszek Mioduszewski

– Z pewnych względów – wyjaśniał adwokat – chciałbym mieć tego rodzaju oświadczenie w swoich aktach. Żeby później milicja z nas się nie śmiała.

Woźny bez namysłu podpisał dokument.

A mecenas Ruszyński nadal zastanawiał się nad sprawą Włodzimierza Jareckiego, śmiercią Romana Breguły i aresztowaniem małego opryszka, Adama Cichosza, pod zarzutem popełnienia tej zbrodni. Wierny pan Franciszek raz i drugi zajrzał do boksu, ale nie śmiał przeszkadzać adwokatowi. Koledzy znający Mięcia również tam nie wchodzili, aby się przywitać. Dobrze znali obyczaje swojego przyjaciela i wiedzieli, że skoro siedzi nieruchomo, wpatrzony niewidzącymi oczyma w jakiś punkt na przeciwległej ścianie, nie należy mu przeszkadzać.

Wreszcie po godzinie woźny odważył się.

- Panie mecenasie, ta pani czeka już przeszło pół godziny.
- Jaka pani? – adwokat jak gdyby obudził się ze snu.
- Ta klientka, żona tego, co to bryknął z mostu.
- Jarecka?
- Właśnie. Ona sama. Przyszła zaraz po czwartej, ale tłumaczyłem jej, że musi poczekać, bo pan mecenas bardzo zajęty. Czy prosić?
- Niech wejdzie.
- Piękna pani zajęła miejsce naprzeciwko adwokata.
- Przyznam się pani – zaczął mecenas – że niedawno myślałem o tej całej dziwnej historii, testamencie pana Włodzimierza Jareckiego i o pani.
- Najwidoczniej istnieje telepatia -- pani Jarecka uśmiechnęła się lekko – bo oto jestem i bardzo potrzebuję pomocy pana mecenasa.
- Mojej? – zdziwił się adwokat. – O ile wiem, kolega Resiewicz z doskonałym skutkiem prowadził postępowanie spadkowe i jeszcze jakieś inne pani sprawy. Wolałbym, żeby już mecenas. Resiewicz...
- Dowiedziałam się, że mecenas Resiewicz wyjechał na przeszło dwa tygodnie. Nie mogę tak długo czekać. Mam nadzieję, że w tej sytuacji pańskie obiekcje pozwolą jednak na opiekę nade mną.
- Oczywiście, jeżeli kolegi Resiewicza nie ma, a sprawa nie może czekać, chętnie pani służę. Ale co się stało? Czy znowu zjawił się jakiś inny Kowalski z pretensjami do spadku?
- Nie i mam nadzieję, że te kłopoty są definitywnie poza mną. Przychodzę w związku z tym pożarem. Zapewne słyszał pan mecenas, bo były nawet wzmianki, w gazetach.
- O niczym nie wiem – przyznał zgodnie z prawdą Ruszyński.
- Najwidoczniej pan mecenas nie zauważył małych wzmianek w prasie. Mniejsza o to. Dość, że miałam pożar w moim warsztacie. Wprawdzie nic groźnego i szczęśliwie obeszło się bez ofiar w ludziach, ale uległa zniszczeniu cała. nasza dokumentacja. Książki handlowe firmy, kopie rachunków, koncesja i uprawnienia do wykonywania rzemiosła. Prawie nic nie ocalało. Pozostały jakieś osmalone resztki. W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zwrócić się do prawnika o pomoc. Próbowałam

sama trochę działać, ale bez większego powodzenia. W urzędach trzeba tyle czasu stracić, a muszę przecież pilnować produkcji.

– No tak – zgodził się adwokat. – Sprawa nie jest skomplikowana, ale marudna. Część papierków będzie można uzyskać w urzędach, które mają ich kopie. Jeżeli chodzi o inne dokumenty, to jedyna rada odtworzyć je na drodze sądowej.

– Jestem zupełnie pewna, że pan mecenas to wszystko doskonale załatwi.

– Czy pani, ma jakieś urzędowe stwierdzenie, że na terenie warsztatu wybuchł pożar? Ze straży ogniowej albo z milicji?

– Tak. Mam odpis protokołu milicyjnego.

– Jak to się stało, że wszystko się spaliło? Czy to jakiś wybuch benzyny lub lakierów? Nie mogliście uratować dokumentów?

– Były w szafie w jak najlepszym porządku. Ale kiedy nastąpiła ta eksplozja, szafę zupełnie rozerwało, bo bomba znajdowała się tuż nad nią.

– Bomba?

– Tak. Niewypał, który leżał na strychu jeszcze z czasów wojny.

– Może granat lotniczy?

– Właśnie. Saperzy znaleźli tam jeszcze cztery tego rodzaju zabawki. Na szczęście nie wybuchły, bo gdyby razem detonowały, nic by nie zostało z budynku. A jednak pan mecenas słyszał o tym wypadku?

– Zapewniam panią, że nie.

– A skąd pan wie, że to granat lotniczy? Tak określili te bombki saperzy, którzy przyjechali je rozbijać.

– Pani była wtedy w warsztacie?

– Tak. Mało brakowało, a nie siedziałabym tu przed, panem. Na kilka minut przed eksplozją wyszłam z kantorku do sąsiedniego pomieszczenia i to prawdopodobnie ocaliło mi życie, bo bomba wybuchła akurat nad kantorkiem. Nic nie pozostało nie tylko z szafy, ale i z mojego biurka i fotela, na którym zazwyczaj siedzę. Siłę wybuchu nie oparła się nawet maszyna do pisania. Kiedy wyciągnęliśmy ją spod gruzów, było to już zupełnie pogięte żelastwo. Solidnie rąbnęło.

– Ciekawe – mruknął adwokat.

– Wywaliło całą ścianę pomiędzy kantorkiem a sąsiednim warsztatem. Wtedy właśnie stałam koło maszyny obsługiwanej przez jednego z uczniów. Przewróciło nas na ziemię. Miałam

skaleczoną nogę i twarz oraz trochę siniaków. Ten chłopak także, na szczęście, wyszedł bez większego szwanku. Można powiedzieć, prawie cud.

– A co mówili fachowcy?

– Co oni tam wiedzą? Przyjechali i byli bardzo zdziwieni, że bomba bez ich zgody ośmieliła się wybuchnąć. Dowódca saperów, jakiś porucznik, coś mętnie tłumaczył, że temperatura na strychu musiała się gwałtownie podnieść i dlatego nastąpiła eksplozja. Akurat! Przecież wtedy jeszcze nie paliło się w piecach. W kantorku było wprawdzie dość chłodno i włączyłam piecyk elektryczny, ale on zaledwie trochę ogrzał to małe pomieszczenie. Ciepło nie mogło dojść do stryszku. Ot, tak gadał ten oficer, żeby coś powiedzieć i nie zdradzić się, że niczego nie rozumie. Fakt jednak pozostaje faktem. Bomba wybuchła i narobiła mi niesłychanych kłopotów. Nie chciałabym, aby wydział finansowy obliczył mi domiar tylko na tej podstawie, że nie mogę przedłożyć ani ksiąg, ani żadnych dokumentów kasowych.

– To byłaby zwykła złośliwość. Nie przypuszczam, aby do tego doszło.

– W handlu i w przemyśle powiada się „nie wiesz, co zrobić, weź pudełko zapalek, ogień wrszystko zatrze”. Nie raz i nie dwa tak robiono. Dlatego wydziały finansowe są bardzo uczulone na tego rodzaju katastrofy. Częściowo mają rację.

– Istnieje protokół milicyjny, że to nie był sfingowany pożar, lecz wybuch niewypału. To zupełnie zmienia sprawę. Poza tym w wydziale finansowym doskonale się orientują, jaka firma jest solidna, a jaka szuka okazji do zrobienia kantu. Właśnie ta opinia będzie miała decydujące znaczenie, czy dadzą wiarę naszym tłumaczeniom i naszym dowodom.

– Przez wszystkie lata prowadzenia interesu Włodek nigdy nie miał kłopotów z domiarami. Ale mnie nie znają, bo mój mąż reprezentował warsztat na zewnątrz.

– Ja to załatwię – w głosie mecenasa brzmiała pewność siebie.– Ma się trochę znajomości w Warszawie.

– Bardzo będę panu wdzięczna – Barbara Jarecka złożyła ręce jak do modlitwy i posłała adwokatowi takie spojrzenie, że Ruszyński odczuł je jak smagnięcie ogniem. Ta kobieta nie tylko była piękna, ale wiedziała o tym i umiała robić użytek ze swojej urody.

Mecenas w duchu zauważył, że Jarecka lepiej i szybciej załatwiłaby sama swoje sprawy za pomocą takich spojrzeń. Dobrze jednak, że tego nie zrobiła. Z czego żyliby adwokaci, gdyby piękne panie używały takiej broni?

Następne pół godziny Ruszyński razem z Jarecką studiowali ocalałe strzępki dokumentów i naradzali się, jakie kroki prawne należy rozpocząć, aby wyratować warsztat rzemieślniczy z kłopotów, które mogą na nie czyhać. Potem Barbara Jarecka podpisywała jeszcze upoważnienia, wpłacała w kasie zespołu zaliczki na koszty i poczet honorarium. Kiedy żegnała się ze swoim pełnomocnikiem, ten zauważył:

– Jako dziecko pasjami lubiłem rozwiązywać najrozmaitsze łamigłówki. Wie pani, takie kwadratowe kostki oklejane kolorowymi obrazkami. Z tych kostek trzeba było ułożyć jeden większy obraz. Jakieś zwierzę lub widoczek z domami, rzeką i statkiem. Nigdy chyba pani nie zgadnie, dlaczego to pani mówię?

– Dzisiaj przyniosłam panu taką łamigłówkę?

– Nie łamigłówkę, a jedną kostkę, i to taką, która pozornie nie pasuje do niczego.

– Ten pożar i te zniszczone dokumenty?

– Nie chodzi o dokumenty. To głupstwo – adwokat machnął ręką. – Dla mnie moją kostką łamigłówki jest pytanie, dlaczego z tych pięciu granatów lotniczych wybuchł tylko ten jeden, właśnie nad pani biurkiem.

– Przeznaczenie. Wierzę w przeznaczenie. Widocznie nie było mi jeszcze sądzone zginąć. Dlatego na parę minut przed eksplozją wyszłam z kantorku do warsztatu.

– Ja też wierzę w przeznaczenie – odpowiedział adwokat – i dlatego chcę rozwiązać moją łamigłówkę i dowiedzieć się wszystkiego.

– Liczę na pana mecenasa jak na Zawiszę – czarnowłosa piękność uśmiechnęła się jeszcze raz i wyszła z zespołu adwokackiego.

Mieczysław Ruszyński do późnego wieczora pracował w swoim malutkim boksie. Pisał podania, wnioski i inne dokumenty. Sprawa Barbary Jareckiej nie była specjalnie skomplikowana. W czasie wojny wiele dokumentów, znacznie cenniejszych niż księgi handlowe warsztatu rzemieślniczego, padło pastwą ognia, tak że zarówno nasze ustawodawstwo, jak i praktyka sądowa

przewidują rozmaite okoliczności tego rodzaju katastrof. Niemniej sprawa, chociaż łatwa, była bardzo pracochłonna. Trzeba będzie składać do sądu wnioski o odtworzenie dokumentów, a z różnych urzędów wyciągnąć uwierzytelnione kopie pism i rachunków.

Toteż dopiero po ukończeniu tej dość absorbującej roboty, już w „Szanghaju”, po zjedzeniu swojej ulubionej potrawy „sandacz à la rouge”, siedząc nad filiżanką kawy i kieliszkiem winiaku, mecenas Ruszyński powrócił do swojej łamigłówki.

Wyjął z teczki kartkę czystego papieru i zanotował na niej:

„Wiem, dlaczego zginął Roman Breguła.”

Po namyśle dopisał:

„Adam Cichosz miał zginąć od wybuchu granatu lotniczego. W jego mieszkaniu milicja miała znaleźć ubranie i buty należące do Romana Breguły.”

Kolejna notatka:

„Dlaczego w mieszkaniu Cichosza nie znaleziono bielizny Breguły. chociaż ciało jego znaleziono w worku w Wiśle całkiem nagie?”

Parę łyków kawy, umaczenie warg w kieliszku winiaku i na papierze pojawiła się odpowiedź:

„Gdyby Adam Cichosz zastał w swoim mieszkaniu nie tylko ubranie i buty Breguły, lecz także i jego bieliznę, mógłby się domyślić, że „organizator” został zamordowany właśnie w tym mieszkaniu i przezornie pozbyć się tych wszystkich rzeczy. A tak, mając jedynie ubranie i buty, Cichosz przypuszczał, że przyjaciel pozostawił je w mieszkaniu umyślnie, na wypadek, gdyby chciał się przebrać nie wracając do Józefowa.”

Mecenas uśmiechnął się i znowu zanotował:

„Morderca miał pecha. Jeszcze przed dniem zaplanowanego zamachu Adam Cichosz napadł na ekspedientkę w sklepie MHD. Napad nie udał się, przestępcę schwytano. Na szczęście dla mordercy opryszek wybrał się na robotę w garniturze Breguły i milicja uznała go za zabójcę :>organizatora«. Tak czy inaczej, zdaniem prawdziwego mordercy Breguły, Cichosz jest załatwiony na ładnych kilka lat i wypadł z gry.”

Dla adwokata sprawa była jasna i prosta, chociaż dla poparcia swoich tez nie mógłby przytoczyć ani jednego dowodu. Mało tego, nikt po prostu nie uwierzy w tę teorię. A jednak doświadczony prawnik mógłby pójść o zakład, ofiarowując jako

stawkę cały swój majątek, że się nie myli. Gdyby tylko znalazł się ktoś skłonny do tak fantastycznego zakładu.

Na końcu kartki mecenas dopisał:

„Nie wiem, kto jest mordercą Breguły i...”

Po namyśle adwokat podkreślił trzy razy tę krótką notatkę. Ponieważ arkusik papieru był już prawie cały zapisany, Ruszyński zanotował na jego boku:

„Wiem, dlaczego Włodzimierz Jarecki zapisał cały swój majątek Stanisławowi Kowalskiemu z Wołomina i testament opatrzył klauzulą, że czyni to z wdzięczności za uratowanie życia w czasie Powstania Warszawskiego.” Wszystko się zgadzało, wszystko było bardzo logiczne. W rozumowaniu adwokata nie mogło być żadnego błędu. Kostki łamigłówek doskonale pasowały do siebie, dając coraz większy fragment całości. Aż tu nagle zjawiała się pani Barbara Jarecka i przyniosła mecenasowi jeszcze jedną kostkę do jego łamigłówek. Teraz obraz zaciemnił się całkowicie. Na próżno Ruszyński przykładał ten nowy kwadracik do ułożonego już obrazu. Nie pasował z żadnej strony. A przecież nie można go było odrzucić. Na pewno należał do tej samej gry. Łączył się z pozostałymi kostkami jednym: zarówno na piecu Cichosza, jak i na strychu warsztatu Barbary Jareckiej¹ leżały identyczne granaty lotnicze.

Zarówno z własnej praktyki, jak i z kryminologii Mieczysław Ruszyński znał starą prawdę: przestępcy najczęściej posługują się tą samą metodą dokonywania zbrodni. Tak musiało być i w tym przypadku. Morderca zdobył kilka granatów lotniczych i uznał, że to najlepszy sposób wyprawiania swoich bliźnich z tego padołu łez.

A może to był zwykły przypadek, że bomby znalazły się w dwóch różnych miejscach? Jedna wybuchła, a druga mogła jeszcze lata przeleżeć spokojnie na piecu?

Adwokat w głos się roześmiał, bo ta myśl wydała mu się tak nieprawdopodobna. Stary, siwy kelner, który w „Szanghaju” zawsze obsługiwał mecenasa, pochylił się nad stolikiem:

– Może jeszcze kawki i jeden winiaczek? – zaproponował.

– Niech będzie – machinalnie odpowiedział adwokat i znowu pogrążył się w swoich rozmyślaniach. Odwrócił kartkę na drugą stronę, by zanotować:

„Morderca Breguły i niedoszły zabójca Adama Cichosza postanowił także usunąć Barbarę Jarecką. Dowód: identyczne granaty lotnicze.”

Potem na papierze pojawiło się jedno słowo, za to zaopatrzone aż trzema znakami zapytania: „Dlaczego???” Kelner bezszelestnie sprzątnął stojące na stole naczynia i równie cicho postawił świeżą filiżankę czarnego płynu oraz nalał do kieliszka winiaku. Nie powiedział przy tym ani słowa. Znał swoich gości i wiedział, że mecenasowi w takim nastroju, w jakim dzisiaj przyszedł do restauracji, nie należy przeszkadzać.

A tymczasem Ruszyński notował:

„Chciano zamordować Barbarę Jarecką – to fakt.” „Zamach tylko przypadkiem się nie udał.”

„Trzeba znaleźć specjalistę i dowiedzieć się, w jaki sposób środkami ogólnie dostępnymi można detonować granat lotniczy.”

„Morderca chciał usunąć z drogi Barbarę Jarecką, bo, po pierwsze, była jego współniczką.”

Adwokat napił się kawy, łyknął trochę winiaku i dopisał: „Nonsens.”

„Po drugie, wiedziała albo mogła się domyślać jego roli w tej całej sprawie.”

Po namyśle adwokat uznał tę tezę za możliwą, ale za mało prawdopodobną. Przecież Barbara Jarecka, Ruszyński nie mógł się mylić, była naprawdę zrozpaczona po śmierci swojego męża. Nie chodziło jej też o majątek, lecz o krzywdę, jaką Włodzimierz Jarecki zrobił jej swoją uwagą w testamencie. Gdyby ta kobieta domyślała się lub chociażby miała cień podejrzenia, swoimi spostrzeżeniami podzieliłaby się z mecenasem Resiewiczem. Prowadził on jej sprawy spadkowe i mówiła mu o chęci zaskarżenia decyzji prokuratora o umorzeniu śledztwa w sprawie zabójstwa, nie wiedząc, że w liście do milicji Jarecki przyznawał się do samobójstwa.

Z którejkolwiek więc strony rozpatrywać sprawę, osoba Barbary Jareckiej nie mieściła się w całokształcie faktów, jakie zgromadził mecenas dla uprawdopodobnienia swojej tezy. A jednak zdaniem Ruszyńskiego, zamach na tę kobietę był faktem nie ulegającym wątpliwości.

Z tym faktem należało się liczyć, chociaż to wcale nie pasowało do składanki, nad którą biedził się właśnie znakomity prawnik. A

tym razem nie mógł on zastosować swojego ulubionego chwytu: jeśli fakty przeczą teorii, tym gorzej dla faktów.

Czujny jak żuraw, kelner już dwukrotnie dolewiał winiaku do kieliszka. Kawy nie przynosił. Wiedział, że przy nadciśnieniu dwie filiżanki to aż nadto. Zaś adwokat ciągle rozmyślał nad tymi kilkunastu zdaniem, które zapisał na kartce. Wreszcie zrezygnowany spojrzął na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Miecio skinął na kelnera, uregulował rachunek i taksówką pojechał na Koło, do domu. Stare rosyjskie powiedzenie „bez wódki nie roz-bieriesz” tym razem nie pomogło.

Jeszcze trzy dni Ruszyński tak męczył się nad swoją kartką. Wreszcie podarł ją i ze złością cisnął do kosza na śmieci. Postanowił nie wracać do tego tematu. Adwokaci nie są od dublowania pracy milicji. Niech panowie oficerowie sami babrają się w tym błotku. Łatwo jednak powiedzieć „więcej się tym nie zajmuję”, a o wiele trudniej wykonać. Tym bardziej, jeżeli ktoś dobrowolnie zgłosił się jako obrońca człowieka, któremu grozi wyrok śmierci za morderstwo i w którego winę absolutnie się nie wierzy.

Chcąc nie chcąc, adwokat powracał myślą do nurtujących go problemów.

Aż nagle pewnego wieczoru, kiedy Ruszyński siedział w domu i przeglądał jakąś książkę, jak gdyby na jakimś ekranie jego wyobraźnia narysowała mu przed oczyma obraz sprzed wielu lat.

Oto wielka sala kinowa dawnego Muzeum Przemysłu i Techniki na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Całutka sala wypełniona przynajmniej siedmioma setkami studentów. Pierwszorzoczników. Na katedrze pomarszczony, szczupły staruszek. Wielka sława, jeden z najlepszych znawców prawa rzymskiego, profesor Koschembahr-Łyskowski, wtedy, w trzydziestych latach naszego stulecia, liczący sobie już pod osiemdziesiątkę. Głos ma jednak czysty i dźwięczny. Panuje nad wielką aulą. Jak pięknie cytuje łacińską formułę prawną, by w znakomitej polszczyźnie wyjaśnić ją następnie młodym słuchaczom. Wśród nich jest również i student pierwszego roku prawa Uniwersytetu Warszawskiego, Mieczysław Ruszyński. Na dzisiejszym wykładzie sentencja łacińska wzięta z Duodecim Tabularum brzmi:

Is fecit cui prodest.

Ten jest sprawcą czynu, kto odnosi z tego korzyść.

Obraz sprzed lat tak szybko zniknął z wyobraźni adwokata, jak nagle się pojawił. Ale jest już zbyt czyny. Ostatnia kostka łamigłówki trafiła na swoje miejsce. Całość złożyła się na wizerunek mordercy.

ROZDZIAŁ XIV

TYLKO PONIŻEJ OSIEMDZIESIĄTKI

Major Leszek Kalinowicz, pomimo nawału bieżących spraw, często wracał do dziwnej historii testamentu Włodzimierza Jareckiego, zabójstwa Breguły i okoliczności tej zbrodni. Wykrycie mordercy Romana Breguły poszło bardzo łatwo. Nawet zbyt łatwo.

Chociaż więc dochodzenie w tej sprawie było w zasadzie ukończone i milicja mogła w każdej chwili przekazać akta Adama Cichosza prokuratorowi do przygotowania oskarżenia, to dotychczas tego nie uczyniono. Kapitan Milczarek po naradzie z majorem Kalinowiczem i przekazaniu mu wszystkich zastrzeżeń, jakie zgłosił Ruszyński, postanowił jakiś czas wstrzymać się z oficjalnym zamknięciem dochodzenia. Z jednej strony tych poszlak było aż za dużo, z drugiej jednak zręczny adwokat wykazał poważne uchybienia w pracy milicji.

A ponieważ „interesy” Adama Cichosza z powodu przedłużania dochodzenia w sprawie zabójstwa Breguły nie ucierpiały, bo opryszek i tak miał w perspektywie ładnych kilka lat więzienia za napad na ekspedientkę, postanowiono zaczekać. Może przyszłość okaże się łaskawsza dla dochodzenia?

Major Kalinowicz nie robił wprawdzie notatek na kartkach papieru, jak było w zwyczaju Mieczysława Ruszyńskiego, ale im dłużej doświadczony oficer przemyślał nad tymi wszystkim kwestiami, tym więcej miał wątpliwości.

On również czekał. Ale nie było to czekanie bierne. Aparat milicyjny ma możliwości zbierania informacji, ploteczek i pogłosek. Toteż major powoli, powolutku uzupełniał swoje akta. On też liczył na to, że w tej sprawie nastąpi jakiś zwrot. Nie ma zbrodni doskonałych. Są tylko przestępstwa na razie jeszcze nie wykryte. Ale w walce pomiędzy pojedynczym przestępcą lub

nawet najlepiej zorganizowanym gangiem a aparatem sprawiedliwości istnieje ogromna przewaga sił państwa. Prędzej czy później sprawiedliwość zawsze dosięgnie zbrodniarza.

Chociaż więc Kalinowicz nie rozgryzł sedna zagadnienia i było mu do tego daleko, to jednak miał pewność, iż czas pracuje na jego korzyść.

Major łapał się też i na tym, że zamiast o sprawie myślał o pewnej kobiecie o czarnych włosach, śniadej cerze i wielkich zielonych oczach. Bywało, już sięgał ręką do aparatu telefonicznego, aby do niej zadzwonić, ale ręka opadała, rozum zwyciężał. Po co zaplątywać się w znajomość z kobietą nie tylko tak przystojną, ale i tak bogatą? To nie mogło mieć żadnej przyszłości. Kalinowicz uważał zresztą, że doświadczenia, jakie przeszedł z jedną, wystarczą mu do końca życia.

Tego poranku, kiedy zielony renault odwiózł majora pod budynek Stołecznej Komendy Milicji, piękna pani raczej szczerze dziękowała mu za opiekę i zamykając drzwi swojego wozu dorzuciła: „Do widzenia wkrótce, telefonujemy się”. Później jednak Barbara Jarecka nie zadzwoniła, a major milczał.

Czasami major zamierzał przerwać to milczenie. Mógł to uczynić w sposób urzędowy. Miał kilka pytań, które powinien zadać adwokatowi Mieczysławowi Ruszyńskiemu. Wiedział, że odpowiedź na te pytania byłaby dla adwokata nie tylko dużym zaskoczeniem, ale i dużą nieprzyjemnością. Konfrontacja pomiędzy mecenasem a Barbarą Jarecką na pewno obaliłaby pewne mity, jednak nie doprowadziłaby do wykrycia przestępcy. Może zaś byłaby dla niego jedynie ostrzeżeniem. Toteż po namyśle Kalinowicz zaniechał swoich projektów jako przedwczesnych.

Aż tu pewnego dnia zadzwonił telefon i oficer milicji usłyszał w słuchawce niski, melodyjny głos:

– Dzień dobry, majorze. Pan już całkiem o mnie zapomniał. Prawda?

– Ale skądże znowu – bronił się Kalinowicz. – Właśnie myślałem o pani.

- Dobrze czy źle? Ale pan nie zadzwonił, jak to było umówione.

– Praca, pani Basiu, praca. A poza tym obawiałem się, że będę natrętny.

- Ciekawe. Pierwszy raz spotykam oficera milicji, który ma obawy.
- Tylko wobec pięknych pań.
- Taka jestem straszna? Ładnych rzeczy dowiaduję się od majora. Postrach milicji!
- Nie mam szans w tej słownej szermierce, ale naprawdę cieszę się, że pani zadzwoniła.
- Pan by na pewno czekał aż do chwili, kiedy znowu byłabym podejrzana o morderstwo.
- Nigdy pani nie pod&jrzewałem o coś podobnego.
- No, no, niech pan sobie przypomni pierwsze przesłuchiwanie mnie, tam u pana.
- To była formalność. Przykra, ale konieczna. Tego nie można uniknąć.
- Niemniej pan nie zatelefonował. Czy to ładnie?
- Przysięgam poprawę na przyszłość.
- Czeka pan na następną bombę, prawda? Już zdążyłam pana poznać.
- Mnie?
- Tak, pana i jego ulubiony system półprywatnych pytań i odpowiedzi.
- Uwzięła się pani na mnie, pani Basiu. Nie zasłużyłem na to. Daję słowo. j
- Jeżeli pan da również słowo i na to, że nasze spotkanie będzie miało charakter nie półprywatnego przesłuchiwania podejrzanego, a zupełnie prywatny, to chociaż jestem na pana zagniewana, dam się. przebłagać.
- I...?
- I chociaż jutro z samego rana wyjeżdżam do Zakopanego, to moglibyśmy się dzisiaj zobaczyć.
- To będzie dla mnie wielką przyjemnością.
- Patrzcie go, jaki grzeczny się zrobił. A przedtem nawet nie sprawdził, czy żyję.
- A więc kiedy i gdzie, pani Barbaro?
- Najlepiej zaraz po pracy, bo później muszę się spakować.
- Doskonale.
- Proszę wstąpić po mnie na Chełmińską, do warsztatu.
- Rozkaz. Będę zaraz po wpół do czwartej. Dobrze?
- A zatem czekam.

Major pod jakimś pozorem wymknął się z pracy do domu. Był dzisiaj w mundurze, a przecież spotkanie z przystojną wdówką miało mieć charakter ściśle prywatny.

Lepiej więc zjawić się na tę randkę w cywilnym ubraniu, w białej koszuli i „pod krawatem”.

Leszek Kalinowicz postanowił również ani słowem nie wracać do historii ostatnich miesięcy. Ostatecznie co mu szkodzi poplirtować z przystojną kobietą. Zwłaszcza, że nazajutrz wyjeżdża ona do Zakopanego i nie wiadomo, kiedy ją zobaczy.

Na podwórzu przy ulicy Chełmińskiej oficer natknął się na stojący tam zielony renault. Wóz był cały rozbebeszony. Na mocno wytartym dywaniku leżały części motoru. Spod samochodu wystawały czyjeś nogi w granatowym kombinezonie.

Właścicielkę warsztatu major zastał w kantorku już odbudowanym i odnowionym po zniszczeniach wywołanych wybuchem granatu lotniczego. Na stoliczku obok biurka stała też nowa maszyna do pisania. Zawodowym spojrzeniem oficer milicji skonstatował, że była to „Erika”.

– A pan nawet nie wita się ze mną, lecz sprawTdza, jakiej marki jest moja maszyna do pisania. Nic z tego, „Consula” nie mam i nie miałam – Barbara Jarecka powiedziała te słowa z wyraźnym akcentem przygany. – Nie dotrzymuje pan major warunków naszej umowy.

– Nigdzie spojrzeć nie dadzą! – Kalinowicz ucałował rękę właścicielki warsztatu. – Zapewniam panią, że zrobiłem to bez żadnej ubocznej myśli. Po prostu przypomniała mi się scena, jak pani w przydługim męskim płaszczu, cała umazana wapnem, wyciąga spod rumowiska starą maszynę. Jak tu teraz ładnie odnowione i odmalowane, a widzę także nowe meble. Reprezentacyjne biuro poważnej firmy.

– Firma chciała zaprosić swojego gościa na przejażdżkę samochodem gdzieś za miasto. Choćby na kurczaki do Konstancina.

– Świetny pomysł – major szczerze się ucieszył. – Głosuję za tym.

– Niestety, guzik z tego.

– Dlaczego?

– Niech pan spojrzy za okno. Mój wóz jest w zupełnym proszku.

– Co się stało? Jakaś kraksa? Ostrzegałem, że pani jeździ zbyt ryzykancko.

– A właśnie, że jeżdżę dobrze. Nigdy nie miałam najmniejszego nawet zderzenia.

– A samochód?

– Ja uważam, że samochód jest w porządku. Ale Zygmunt twierdzi, że silnik za głośno pracuje i w sprzęgle czuje zbyt wielki opór. Przed moim wyjazdem do Zakopanego postanowił przejrzeć wóz i doprowadzić go do ideału. Grzebie się w motorze już drugi dzień, ale zapowiedział, że do wieczora skończy.

– Zygmunt? – major powiedział to z pewną niechęcią. Cóż to za męczyzna kręci się koło pani Barbary...

– Zygmunt Kwaśniewski – uzupełniła Jarecka. – Pan go poznał na konferencji w zespole adwokackim.

– A tak. Przypominam sobie. Jakiś bliski krewny? Młody człowiek o dużym temperamencie. Koniecznie chciał, żebym przymknął tego biednego Stanisława Kowalskiego.

– Kowalski wcale nie jest biedny. Dostał ode mnie trzydzieści tysięcy za nic.

– Chyba opłaciło się pani to polubowne załatwienie sprawy.

– Nie mówię, że nie. Co do Zygmunta, jest on synem mojego zmarłego brata.

Ta wiadomość zupełnie uspokoiła majora. Zauważył jedynie:

– Mam nadzieję, że młody człowiek zna się na motorach i doprowadzi wóz do użytku.

– Mówiłam panu, wtedy kiedy byliśmy na wycieczce nad Zalewem Zegrzyńskim, że Zygmunt opiekuje się moimi wozami renaultem i warszawą. Z tej opieki jestem bardzo zadowolona. Tylko że pan major zajęty ważniejszymi sprawami i nie zwraca uwagi na to, co mówi pewna biedna kobieta.

– Która dzisiaj specjalnie się na mnie uwzięła. Daje mi dobrą szkołę. Ani słowa.

– Bo pan na nią zasłużył.

– Więc co robimy? – zapytał major, żeby przerwać szermierkę na słowa.

– Słucham pana propozycji.

– Już powiedziałem, że zastosuję się do wszystkich pani rozkazów.

– Moja propozycja: pójdziemy pieszo do śródmieścia, tam Wotąpimy na kawę, posiedzimy i pogadamy, a później pan mnie odprowadzi do domu. Zgoda?

Szli powoli w stronę śródmieścia. Chociaż to październik i po czwartej, dzień był ciepły jak w lecie. Barbara Jarecka mówiła:

– Taka jestem zmęczona. Te wszystkie przejścia, tragiczna śmierć męża, później „przyjemności” ze spadkiem, prowadzenie samej sporego warsztatu rzemieślniczego, a na dodatek ta eksplozja wykończyły mnie kompletnie. Czuję się stara.

– Co też pani opowiada. To tylko nerwy i trochę zmęczenia zarówno fizycznego, jak i psychicznego.

– Marzyłam o tym odpoczynku. Szykowałam się na to już we wrześniu. Ale ciągle się nie układało. Ten wybuch zdarzył się nie w porę. Już straciłam nadzieję, że zdołam wyrwać się z Warszawy bodaj na tydzień. Tak zresztą by było, gdyby nie mecenas Ruszyński.

– Dawno go nie widziałem, a chciałbym z nim porozmawiać.

– Jest bardzo zajęty moimi sprawami związanymi z pożarem. Nie miałabym na to ani sił, ani czasu. W tym labiryncie przepisów straciłabym zupełnie głowę, a on wie, jak wybrnąć z każdej sytuacji.

– Nic dziwnego, przecież to prawnik i to dobry prawnik. Znam go od lat.

– Właśnie dzięki mecenasowi, który wziął na siebie całą prawną stronę kłopotów z warsztatem, mogłam tak zorganizować pracę, że udaje mi się wyrwać do Zakopanego.

– Październik w górach jest bodaj że najpiękniejszym miesiącem. Jaka wspaniała gama kolorów od ciemnej zieleni jodeł aż do starego złota buków. Ja również najczęściej jeżdżę w góry w październiku. Trochę pani zazdroścę. Niestety, w tym roku muszę zrezygnować z tej przyjemności.

– Szkoda – Jarecka powiedziała to szczerze. – Miałabym towarzysza do spacerów. Wbrew pozorom, w Zakopanem o to niełatwo.

– Lubi pani chodzić po górach?

– Bardzo. Nie mówię o jakichś alpinistycznych wyżynach, lecz o spacerach utartymi szlakami.

– Pokazałbym pani parę ładnych dzikich ścieżek. Nic niebezpiecznego, ale takich, na których nie spotyka się stad

wycieczkowiczów. Niektóre z nich są w najbliższym sąsiedztwie Zakopanego, a pomimo to prawie nikt ich nie zna. Na przykład ścieżka nad Doliną Strążyską.

– Która? Czy ta z boczem Łysanek, czy z Sarnich Skalek?

– No wie pani! Zaimponowała mi pani. Żeby tak znać moje „prywatne” szlaki?

– Tak się właśnie złożyło, że je znam. Ach, jak pomyślę, że jutro z samego rana siądę za kierownicą i pożegnaj Warszawę, to już w tej chwili ogarnia mnie radość. Tak dawno nigdzie dalej nie jeździłam samochodem. Góry i auto, to moje dwie pasje.

– Wiem coś o tym. W czasie jazdy nad Zalew przeżyłem sporo silnych wrażeń.

– Jutro czeka mnie przeszło pięćset kilometrów jazdy. Żeby pan wiedział, jak mnie cieszy taka perspektywa. Ciemna wstęga szosy, kierownica w moich rękach i samochód posłuszny każdemu mojemu rozkazowi. To po prostu wspaniałe.

– Na długo pani jedzie?

– Przynajmniej na tydzień. Będę się starała siedzieć jak najdłużej. Będę w telefonicznym kontakcie zarówno z mecenasem Ruszyńskim, jak i z moim zastępcą w warsztacie. Jeżeli nie dadzą sobie beze mnie rady, z przykrością WTÓCę wcześniej.

– Na pewno sobie poradzą. Nie ma ludzi niezastąpionych.

– Przekonałam się o tym sama. Po śmierci - Włodka myślałam...

– Gdzie pani się zatrzyma? – major szybko zmienił temat. – Prywatnie?

– Mam zaprzyjaźnioną rodzinę góralską, u której zawsze wynajmuję pokój.

– To chyba najwygodniej. Nie jest się związanym godzinami wydawania posiłków.

– Drżę na myśl, że Zygmunt nie zdąży przygotować mi samochodu.

– Na pewno zdąży. Musi mi pani przyrzec jedną rzecz, pani Basiu, dobrze?

– Jaka?

– Że jadąc do Zakopanego ani razu nie przekroczy pani osiemdziesiątki.

– Tak się wlec?

– Jest pani przemęczona i przedenerwowana, w takiej sytuacji człowiek zatracą swój normalny refleks. Może przestać panować nad kierownicą. Wtedy o wypadek nietrudno. Przyrzeka pani?

– Tak panu na tym zależy?

– Bardzo.

Oficer wypowiedział te słowa takim akcentem, że Jarecka z lekka się zarumieniła. Chwilę szli w milczeniu. Wreszcie odezwała się:

– A jeśli odmówię? Pan wie, jak ja kocham szybką jazdę. Jeżdżę przecież dobrze.

– Gotów jestem rozesłać telefonogram do wszystkich posterunków milicji po drodze, aby wszędzie panią zatrzymywali i nakładali mandaty za niebezpieczną jazdę.

– Pan żartuje?

– Naturalnie, że żartuję, ale jeszcze raz bardzo panią proszę o rozsądną jazdę.

– Dobrze. Będę jechała wolno i uważnie.

– Poniżej osiemdziesiątki?

– Dobrze. Poniżej osiemdziesiątki.

– Słowo harcerskie?

Barbara Jarecka roześmiała się.

– Straszny z pana człowiek. Takiego despoty dawno nie spotkałam. Słowo.

– Teraz będę spokojny o panią. Wierzę, że pani dotrzymuje danego słowa.

– Zawsze. Bez względu na okoliczności. Dlatego staram się go nie dawać.

– Tym bardziej cenię swój sukces.

– Bo jest pan dzisiaj bardzo miły. Inny niż przy naszych poprzednich spotkaniach.

– Czy pani sublokatorka mieszka jeszcze z panią? – major znowu zmienił temat rozmowy. Nie chciał, aby nabierała ona zbyt osobistego charakteru. W ogóle starał się w tym flircie z piękną panią nie posunąć zbyt daleko.

– Tak, mieszka. Przywiązałam się do niej. To miła i wartościowa dziewczyna. Muszę ją wyswatać z panem.

– Brr! Dziękuję. Już raz mnie wyswatano. Po raz drugi ten numer nie przejdzie.

– Kto wie? – Barbara Jarecka uśmiechnęła się i tak spojrzała na oficera, że ten zmieszał się na chwilę.

– Na pewno nie – nadrabiał miną.

– Znajdzie się taka. Jestem o to zupełnie spokojna. Przypomnę to panu w odpowiednim czasie. Każdy mężczyzna tak mówi, a jakoś dziwnie mało tych zatwardziałych kawalerów. A kto za kim biega, może my za wami?

– Rozumuje pani jak pułapka na myszy.

– Jak to?

– Pułapka także tłumaczyła myszom, że nie biega za nimi. A jednak je łąwi.

Barbara Jarecka roześmiała się serdecznie.

Był już wieczór, kiedy Leszek Kalinowicz odprowadzał swoją towarzyszkę na ulicę Zapogodną, do jej mieszkania. Nie mogli złapać taksówki i od przystanku autobusowego szli na piechotę.

– To bardzo dziwne uczucie – mówiła Jarecka. – Rozmawiać z kimś, kto o nas wie wszystko, a my o nim nic. A pomimo to, przyznam szczerze, dawno nie spędziłam tak miłego popołudnia. Bardzo panu za nie dziękuję.

– Tego, co wiedziałem o pani jako milicjant, dawno zapomniałem przy takim prywatnym spotkaniu. Ja również na długo zapamiętam przyjemny wieczór.

– Jutro o tej porze Zakopane! To brzmi jak bajka.

– Jeszcze raz życzę pięknej pogody. Zresztą jestem pewien, że będzie pani ją miała.

– A najlepszy kawał zrobiłam mecenasowi Ruszyńskiemu. Nic nie wie, że wyjeżdżam.

– Przecież wspominała pani, że uzgodniliście łączność telefoniczną.

– Tak, ale powiedziałam mu, że wyjeżdżam dopiero za trzy dni.

– A wyjeżdża pani wcześniej?

– Robię to z całą premedytacją. Po prostu obawiałam się, że znowu wyniknie coś niespodziewanego, co uniemożliwi mi wyrwanie się z Warszawy. Dlatego postanowiłam uciec. Stworzyć fakt dokonany, że mnie nie ma. Potem niech sobie sami radzą, mecenas i mój zastępca. Radość ogarnia mnie na myśl, jakiego figla wyplątam im jutro. Tylko Zygmunt jest wtajemniczony w mój plan.

Doszli do domu oznaczonego numerem dwadzieścia cztery. Jarecka uprzejmie zaproponowała oficerowi milicji:

– Wejdzie pan na górę, na szklankę herbaty? Na pewno w lodówce znajdzie się też i coś do jedzenia. Proszę bardzo.

– Znam doskonale skarby Sezamu kryte w tej lodówce.

– Przy okazji pozna pan i moją sublokatorkę.

– Tę, z którą pani chce mnie wyswatać?

– Może już się rozmyślałam?

– Uspokoila mnie pani.

– Idziemy?

– Dziękuję za tak miłe zaproszenie, pozwoli pani jednak, że tym razem z niego nie skorzystam. Pani musi się spakować przed wyjazdem. Na mnie czeka w domu gruby tom akt, które muszę przejrzeć do jutra.

– Trudno. Spotkamy się w takim razie zaraz po moim powrocie. Czy znowu będę musiała całymi tygodniami czekać na telefon?

– Jeśli pani każe, zadzwonię.

– Zadzwoni pan, jeżeli panu będzie na tym zależało. Tak?

– Zadzwonię na pewno.

– A więc do widzenia – Jarecka wyciągnęła rękę na pożegnanie.

– Do widzenia. A proszę pamiętać o swoim przyrzeczeniu.

– Nie zapomnę. Poniżej osiemdziesiątki.

Major szedł w stronę autobusu. Minął go zielony renault, aż lśniący wyczyszczonymi nikłami. Zygmunt Kwaśniewski dotrzymał słowa. Samochód Barbary Jareckiej był najwidoczniej gotowy do dalekiej podróży.

Kierowca prowadził wóz wolno i ostrożnie.

ROZDZIAŁ XV

BAJECZKI MECENASA RUSZYŃSKIEGO

– Pan mecenas u mnie, tak z samego rana? – zdziwił się major Leszek Kalinowicz na widok wchodzącego do pokoju adwokata Mieczysława Ruszyńskiego. Zegarek na ręku oficera milicji pokazywał, że było zaledwie pięć minut po ósmej.

– Kto ma pilną sprawę, wcześniej przychodzi.

– To się nawet dobrze składa, mecenasie, bo i ja mam z panem co nieco do pogadania. Chciałem do pana zatelefonować albo posłać zawiadomienie.

– Aż zawiadomienie? – uśmiechnął się adwokat. – Pewnie też i protokół oficjalnego przesłuchania?

– Być może, że i bez tego by się nie obeszło.

– A ja przeciwnie, nie mam aż tak urzędowych spraw do pana majora. Po prostu przyszedłem, aby panu opowiedzieć pewną interesującą bajeczkę.

– Również mógłbym mecenasowi opowiedzieć bajeczkę o pewnym znanym adwokacie. Ta bajka wprawdzie nie figuruje w opowieściach arabskich „Tysiąc i jedna noc”, ale jest pouczająca i z ciekawym morałem. Chce pan jej posłuchać?

– Z miłą chęcią – mina adwokata przeczyła jednak jego słowom.

– Mogę zaczynać?

– Ponieważ ode mnie wyszedł projekt, może pan major najpierw wysłucha mojej bajeczki? Nie będzie zbyt długa, a na pewno tak samo pouczająca, jak pańska.

– Klient zawsze ma rację – uśmiechnął się oficer milicji. – Proszę, niech pan zaczyna.

Mecenas poprawił się w fotelu i rozpoczął swoje opowiadanie.

– Mam przyjaciela, który zupełnie się wykoleił. A szkoda, dawniej zapowiadał się na zupełnie dobrego adwokata. Ale zamiast pilnować uczciwej pracy, ten człowiek wziął się za pisanie powieści kryminalnych. Otóż opowiadał mi on treść powieści, jaką zamierza napisać. Historia jest tak ciekawa, że postanowiłem odwiedzić majora i jemu z kolei ją opowiedzieć.

– Bardzo okrężnie pan mecenas zaczyna, ale słucham z największą uwagą.

– Autorzy powieści kryminalnych lubują się w umieszczaniu akcji tych swoich opowieści w Anglii, w pałacach i parkach bogatych lordów, dysponujących własnymi basenami kąpielowymi, z wmurowanymi w ich ścianach przemyślnymi skrytkami na chowanie narzędzi zbrodni. Mój przyjaciel był znacznie skromniejszy, gdyż akcję swojej przyszłej powieści umieścił w Stanach Zjednoczonych, ściślej w Nowym Jorku.

Major zapalił papierosa, ale nie przerywał adwokatowi.

– Otóż w Nowym Jorku żył sobie pewien młody człowiek, którego życiową maksymą było „raczej umrzeć niż pracować”.

Ten młody człowiek nie miał jednak usposobienia pustelnika żywiącego się orzeszkami bukowymi. Przeciwnie, lubił wygodną egzystencję z wszelkimi jej urokami i lubił bardzo pieniądze. Dla ich zdobycia nie zawahałby się nawet przed morderstwem.

– Bardzo pospolity schemat obrał ten pański przyjaciel dla swojej powieści.

– Dalej nie będzie tak schematycznie. Otóż młody człowiek miał ciotkę, która zrobiła prawdziwie amerykańską karierę. Mniejsza o to, czym się przedtem zajmowała, dość, że wyszła za męża za milionera, posiadacza wielkich fabryk.

– Może dewocjonalii? – podpowiedział major.

– To w powieści nie gra roli. Dość, że milioner był bardzo bogaty, a ciotka skąpa i bynajmniej nie kwapiła się do rozwiązania swojej sakiewki dla tak obiecującego młodzieńca. Żeby więc dostać się do majątku swojego przyszywanego wuja, bratanek ułożył nader chytry plan. Ten plan składał się, od razu to powiem, z dwóch części. Gdyby pierwsza nie doprowadziła do celu, miała być zrealizowana druga część pomysłowego projektu. Młody człowiek uznał bowiem, że rzecz jest zbyt poważna, aby miała zakończyć się fiaskiem. A jednocześnie miało to być tak zręcznie zaaranżowane, aby policja nowojorska nigdy nawet nie podejrzewała, iż ma do czynienia ze zbrodnią, lecz jedynie z nieszczęśliwym wypadkiem. Po prostu miała to być nareszcie „zbrodnia doskonała”.

– Wśród matematyków są maniacy marzący o rozwiązaniu kwadratury koła – wtrącił* oficer milicji. – A wśród przestępców tacy sami maniacy ciągle montują zbrodnie doskonałe. Jedni i drudzy z takim samym skutkiem. No, ale nie przerywam.

– Tak więc młody człowiek wynalazł pewnego aktora, który wprawdzie musiał się rozstać ze swoim zawodem, ale który miał dwie cenne zalety: był trochę podobny do wuja milionera i znał się dobrze na charakteryzacji. Poza tym ten aktor dla zdobycia pewnej sumki dolarów był gotów na wszystko.

– Ciekawe! Ja pisząc taką powieść wybrałbyśi raczej fryzjera niż aktora.

– To tylko kwestia gustu. Jeden woli fryzjerów, inny ma bardziej artystyczne zacięcie i uważa, że aktorzy są lepsi do takiej roli. Dość, że aktor ucharakteryzowany na wuja-milionera zgłosił się

do pewnego nowojorskiego notariusza, aby tam zdeponować testament i list do policji.

– Ta bajeczka bardzo mi przypomina historyjkę, którą panu chciałem opowiedzieć o pewnym adwokacie. A ponieważ nie mam najmniejszych nawet ambicji literackich, nie przenosiłem akcji ani do Londynu, ani do Stanów Zjednoczonych.

– To się często zdarza – przytaknął mecenas – że myśli ludzkie idą zbieżnym torem.

– Wracajmy jednak do pańskiego opowiadania, mecenasie.

– Notariusz dał się nabrać na mistyfikację, nic dziwnego zresztą, bo klient przyniósł odpowiednie dokumenty stwierdzające jego tożsamość. Wykradzenie tych papierów wujowi milionerowi nie przedstawiało dla bratanka jego żony najmniejszych trudności. Sporządzony został testament, mocą którego nowojorski milioner zapisywał cały swój rozporządzalny majątek Johnowi Smithowi w zamian za uratowanie życia na Filipinach, na Mindanao, w czasie walk Amerykanów z Japończykami. Ten John Smith mieszkał w Jersey City w pobliżu Nowego Jorku.

– To taki amerykański Wołomin?

– Coś w tym rodzaju. W kilka tygodni po sporządzeniu testamentu znaleziono zwłoki milionera pod mostem brooklińskim. Ciało było całkowicie zmasakrowane wskutek upadku z dużej wysokości. Przy zabitym nie znaleziono żadnych dokumentów, zidentyfikowano go dzięki przypadkowi. Sprawa stała się głośna, policja amerykańska rozpoczęła poszukiwania zabójcy. Wtedy właśnie na widowni zjawił się nowojorski notariusz.

– Doręczył policji ten list zdeponowany razem z testamentem? – wtrącił major.

– Właśnie. List wyjaśniał, że to nie zabójstwo, lecz zręcznie spreparowane samobójstwo, żeby uchodziło za zbrodnię. Na tej podstawie nowojorska policja umorzyła dochodzenie. Oni – dorzucił adwokat – nigdy nie byli zbyt bystry.

– Tak – zgodził się major. – Powinni przede wszystkim przymknąć tego notariusza.

– Notariusz był zupełnie niewinny. To człowiek o kryształowej opinii i wielkiej wiedzy prawniczej. W jaki jeszcze sposób miał sprawdzać tożsamość swojego klienta? Przy pomocy Federalnego Biura Policji?

- No dobrze, jedźmy dalej, mecenasie.
- Dziwna klauzula testamentu wywołała wielkie zamieszanie. Wprawdzie początkowo John Smith' twardo obstawał przy wersji, iż rzeczywiście ocalił życie milionerowi, ale szybko wyszło na jaw, że to nieprawda. Prawnicy wdowy zagrozili mu procesem o unieważnienie testamentu z powodu omyłki testatora, któremu rzeczywiście jakiś Smith ocalił życie na Mindanao, ale to nie był ów Smith z Jersey City, lecz zupełnie inny człowiek o takim samym nazwisku.
- Pewnie w chwili śmierci pańskiego milionera już też nieżyjący? – dodał major.
- Zgadł pan. Jak się okazało, tamten prawdziwy Smith zmarł przed trzema laty. Ale wracajmy do mojej historii. Fałszywy wybawca, chcąc nie chcąc, zgodził się polubownie wziąć pewną niewielką sumkę i zrzekł się swoich pretensji do spadku. W ten sposób pierwsza część planu sprytnego młodego człowieka wzięła w łeb.
- Na co mu była potrzebna ta klauzula?
- Jeżeli ów fałszywy Smith rzeczywiście wszedłby w posiadanie spadku, młody człowiek umiałby wtedy wyszantażować z niego większą część majątku. Najzwyczajniej w świecie zagroziłby szczęśliwemu spadkobiercy, że ujawni ciotce, iż jej mąż pisząc testament popełnił błąd. Gdyby tej klauzuli nie było, zniknąłby powód szantażu. Muszę jeszcze dodać, że w powieści mojego przyjaciela ten fałszywy Smith jest człowiekiem, którego nikt ze znajomych milionera nie zna. On również nie zna nawet tego bratanka. Zapis spada na Smitha jak dar niebios.
- No tak – zgodził się oficer milicji. – Jak dotychczas sprawa jest jasna.
- Teraz zaczynają się komplikacje. Sprytny młodzieniec słusznie uważa, że były aktor jest dla niego osobą bardzo niebezpieczną. Za dużo wie, a reszty może się domyślić. Dlatego też nagie ciało aktora wkrótce wyławiają robotnicy portowi z jednego z kanałów.
- W worku? – uśmiechnął się major.
- O tak drobnych szczegółach autor nie rozmawiał ze mną, ale mogę poddać mu ten pomysł.
- Mnie interesuje tylko dalszy ciąg powieści.

- Podejrzanie o morderstwo pada na znanego nowojorskiego gangstera, w którego mieszkaniu policja znajduje ubranie i rzeczy zamordowanego. Policja prowadzi dochodzenie zupełnie bezdusznie i całkowicie pomija bardzo istotny szczegół. Oto w mieszkaniu tegoż gangstera znaleziono również maszynę piekielną ukrytą we wnętrzu kominka. Policja zadowolona, że ma sprawcę, robi wszystko, aby dowody jak najlepiej pasowały do tego człowieka, chociaż pewien sławny adwokat wyraźnie ostrzega policję przed popełnianiem błędu jednostronności, a nawet najzupełniej bezpłatnie podejmuje się obrony tego gangstera.

- Rzeczywiście – przyznał major. – Adwokat broniący bezpłatnie jest zupełnym fenomenem. Ten chwyt udał się wyjątkowo pańskiemu przyjacielowi, mecenasie.

- A tymczasem – Ruszyński pozornie nie zwrócił uwagi na słowa oficera milicji – w mieszkaniu wdowy, która po wyjaśnieniu sprawy i zrzeczeniu się przez Smitha pretensji do spadku odziedziczyła cały majątek, wybuchła maszyna piekielna, identyczna w konstrukcji ze znalezioną w domu gangstera. Ale amerykańska policja jest głucha i niema. Usiłuje niczego nie rozumieć.

- Jak to dobrze, że w Stanach Zjednoczonych są przynajmniej tacy genialni i bezinteresowni adwokaci, jak ten opisywany przez pańskiego przyjaciela, mecenasie.

- Przypominam: chytry plan młodego człowieka przewidywał dwa warianty. Jeden – to zapis majątku milionera zupełnie nie znanemu człowiekowi, od którego miał bez zbytniego trudu wyzsantażować większość tego spadku. Gdyby ten pierwszy wariant nie zagrał, miał działać drugi: ciotka dziedziczy cały majątek i szybko ginie w jakiejś sprytnie zaaranżowanej katastrofie. Jej jedynym spadkobiercą jest właśnie bratanek. Zamach na ciotkę był zrobiony tak przemyślnie, że znowu wszyscy dopatrywaliby się w tym zwykłego przypadku.

- Przecież pan mówił, że to maszyna piekielna, identyczna z tą w domu gangstera?

- Widocznie coś pomyliłem, bo historii opowiedanej przez mojego przyjaciela nie notowałem. Powtarzam ją z pamięci. Rzeczywiście, przypominam sobie teraz, że to nie były maszyny piekielne, ale butle z gazem, które nagie wybuchły.

- A może niewypały, pamiątka z wojny japońskiej?
- Podsunę tę myśl autorowi.
- Ale ciotka nie zginęła przy tym wybuchu?
- Niech pan sobie wyobrazi, majorze, że szczęśliwym zbiegiem okoliczności ta kobieta na parę minut przedtem wyszła z pomieszczenia, w którym eksplodował cylinder z gazem. Tylko dzięki temu ocalała.
- A jak ten znakomity plan zbrodni doskonałej został ujawniony? Prawa konwencji tego gatunku literatury nakazują, aby każda zbrodnia została wykryta i przestępca poniósł należną karę.
- Widzi pan, majorze, wszystko było zapięte na ostatni guzik. Głupia policja niczego się nie domyślała i niczego by nie znalazła. Na szczęście autor wprowadził do akcji swojej powieści tego szlachetnego notariusza.
- Tego, który wskutek swojej naiwności dopuścił do powstania przestępstwa?
- Ten dzielny i kryształowo uczciwy człowiek – mecenas pominął tę uwagę oficera milicji – był jednocześnie bardzo spostrzegawczy. W czasie jedyne go spotkania z fałszywym wujem-milionerem notariusz zobaczył, że jego klient ma bliźnię. Powiedzmy, na karku. Kiedy więc z kanału portowego wyłowiono nagie zwłoki byłego aktora, notariusz stwierdził, że to ciało ma identyczną bliźnię. Początkowo zacny prawnik przypuszczał, że zamordowanym jest właśnie milioner, który przedtem sfingował swój zgon, zrzucając z mostu jakąś wybraną przez siebie ofiarę. Rejent zwierzył się ze swoich podejrzeń policji, ale ona nie zainteresowała się jego zeznaniami, gdyż przeczyły one wygodnej teorii, że eks -aktora zamordował gangster. W ogóle muszę majorowi powiedzieć, że w powieści mojego przyjaciela policja nie wygląda najlepiej.
- Za to szlachetny prawnik odmalowany tam jest w samych superlatywach, prawda?
- Zgodnie z rzeczywistością. Tylko zgodnie z prawdą. To naprawdę wyjątkowa postać.
- Mam coraz większą ochotę zamknąć ten ideał choćby na czterdzieści osiem godzin, aby miał nauczkę i nie bawił się w prywatnego detektywa.
- Adwokat Ruszyński puścił mimo uszu uszczypliwość swojego rozmówcy.

– Szlachetny notariusz, nie mając żadnego zrozumienia u policji nowojorskiej, musiał działać sam. Dzięki pomocy jednego z urzędników swojego biura ustalił ponad wszelką wątpliwość, że to właśnie były aktor odwiedził jego kancelarię i z powodzeniem odegrał rolę milionera sporządzającego testament. A kiedy prawnik dowiedział się o eksplozji w domu wdowy po milionerze uznał, że to nie był przypadek. Rozumując ściśle, szybko ustalił stan faktyczny. Aktor musiał zginąć, bo nie on był autorem pomysłu, lecz jedynie wykonawcą. A ponieważ był wykonawcą, który /był wiele wiedział, stał się niebezpieczny dla inicjatora całego planu. Plan się nie udał, przynajmniej w swojej pierwszej części, notariusz słusznie uważał, że przestępca nie zrezygnuje z zamiaru zawładnięcia majątkiem milionera. Próba zamachu na wdowę po nim nie była dla prawnika żadnym zaskoczeniem. Teraz rejent zadał sobie pytanie, w czym interesie leży zgon pięknej wdówki? Może tego, kto dziedziczy po niej? Okazało się, że tylko jeden człowiek, jej bratanek. Osoba i charakter tego bratanka nie wzbudzały zaufania. Tak więc drogą ścisłego, prawniczego rozumowania, bez pomocy policji, dzielny nowojorski notariusz zdołał bezbłędnie ustalić osobę mordercy. Prawda, że to będzie wprost pasjonująca powieść?

– Ciągłe pan tokuje pochwalne peany na cześć tego notariusza, a pomija zasadnicze elementy. Bez nich pańska historia nie jest warta funta kłaków.

– Dlaczego? – oburzył się adwokat. – W tym, co powiedziałem, nie ma najmniejszej luki.

– Czyżby?' To tylko ciekawa historyjka, przyznaję, dobrze opowiedziana. Ale na tym koniec. Można tym emablować piękne panie, ale nie mnie.

– Przychodzę do pana i przynoszę mu jak na patelni mordercę. Ładnie pan się odwdzięcza. Nigdy nie przypuszczałem. Co pan może zarzucić temu rozumowaniu? Przecież jest tak logiczne, jak bardziej być nie może.

– Zgoda! Logika to tu jest. Hipoteza zręcznie skonstruowana, ale to wszystko. Na podstawie tego opowiadanka nie tylko policja nowojorska, ale żadna policja świata i żaden prokurator nawet palcem nie kiwnie. Dowody! Gdzie są dowody? Najpiękniejsze słowa ich nie zastąpią.

– Od dowodów jest milicja.

– Właśnie! Tu jest słaba strona pańskiego rozumowania. Brak dowodów.

– Przepraszam. Mam bardzo ważny dowód. Oświadczenie tego urzędnika, który stwierdził, że to właśnie były aktor odwiedził kancelarię notariusza podając się za milionera. To ma zasadnicze znaczenie dla sprawy. Jest kluczem do rozwiązania zagadki. Dziwię się, że pan tego nie dostrzega, majorze.

– Dostrzegam wszystko. Przychodzi pan do mnie z bardzo ciężkim oskarżeniem, bo o podwójne morderstwo i usiłowanie morderstwa jeszcze dwóch innych osób, ale boi się pan postawić sprawę jasno i opowiada mi o tym drogą okrężną, przytaczając treść rzekomej powieści dziejącej się w Nowym Jorku. To najlepiej świadczy, że nie jest pan pewny siebie i wiedząc, czym grozi fałszywe oskarżenie, usiłuje pan pozostać w cieniu, a na nas zwalić całą brudną robotę. Czy to ładnie, mecenasie?

– Wy macie zupełnie inne możliwości w zbieraniu dowodów niż zwykły adwokat.

– Zgoda. Powiem panu więcej. Nie raz i nie dwa zastanawiałem się nad tą całą sprawą. Doszedłem do identycznego wniosku co pan. Jestem dzisiaj przekonany, że to Breguła ucharakteryzowany na Włodzimierza Jareckiego odwiedził pańską kancelarię. Przeprowadziliśmy ekspertyzę grafologiczną. Facet był niesłychanie sprytny. Obawiał się takiego chwytu z naszej strony. Właśnie dlatego usiłował najpierw wtrącić panu testament pisany na maszynie, a później dopiero wręczył mu ten sam tekst, wprawdzie pisany własnoręcznie, ale pismem kaligraficznym, gdzie ekspertyza grafologiczna nie może dać wyników. Co do podpisu Jareckiego, to specjaliści nie wykluczają, że może on być sfalszowany, ale nie twierdzą tego z całą stanowczością.

– A więc na dwoje babka wróżyła? – zauważył adwokat.

– Tak, sam pan jednak przyzna, mecenasie, nawet stwierdzenie, że to istotnie Breguła podyktował ten testament, nie posuwa sprawę naprzód.

– Nie zgodzę się z tym. Wtedy śmierć Jareckiego nie jest śmiercią naturalną, a zabójstwem. To zasadnicza różnica. Trzeba szukać mordercy rzemieślnika.

– Tak. Ale najlogiczniej byłoby wskazać na Bregułę jako zabójcę Jareckiego.

– Is fecit qui prodest. Zabójcą jest ten, kto chciał z tego osiągnąć korzyść.

– Formalnie najbardziej obciążony jest Stanisław Kowalski.

– Kowalskiego można spokojnie wykluczyć.

– Pozostaje też nadal Breguła. On podyktował testament i on po zamordowaniu Jareckiego mógł wyszantażować od Kowalskiego grubszą forszę.

– Gdyby Breguła był nie tylko człowiekiem, który sporządził za Jareckiego testament, ale i jego zabójcą, to sam by nie zginął. Nie byłby dla nikogo niebezpieczny.

– Breguła mógł zginąć w ogóle, bez żadnego związku ze sprawą Jareckiego. Niech pan nie zapomina, mecenasie, że „organizator” nieraz naraził się ludziom z podziemia przestępczego. Nadal nie jestem zupełnie przekonany, że Adam Cichosz jest niewinny tej śmierci.

– Wracamy zatem do pierwszej wersji. Znowu wyciągacie Cichosza, bo to najwygodniejsze dla milicji. Zamknąć dochodzenie i pisać akt oskarżenia. Niech się sąd martwi.

– Pan jest pewny, że Adam Cichosz jest niewinny. Pan już zna przestępcę.

– Powiedzmy.

– Wiem, kogo pan ma na myśli, ale twierdzenie jest gołosłowne. Nam pan zarzuca jednostronność, a sam robi to sarno. Bez najmniejszego dowodu oskarża pan człowieka o podwójne zabójstwo. A my mamy panu uwierzyć. Na słowo honoru adwokata Ruszyńskiego.

– Mogę panu ujawnić jeszcze jeden fakt. Oto mamy świadka, który widział śmierć Breguły.

– Widział, że mordercą był Cichosz?

– Pewnej nocy – ciągnął dalej major – patrol milicji zatrzymał na ulicy Poznańskiej znanego złodziejaska Szymona Wyrę. Znalaziono przy nim piękną kolekcję wytrychów. Najprawdopodobniej wybierał się gdzieś na robotę. Zatrzymany Wyrę pragnąc się wkupić w łaski milicji zeznał, że przypadkowo znalazł się w nocy w domu, w którym mieszkał Breguła. Przez szparę w firance widział, że Breguła kłóci się z jakimś innym mężczyzną. Chodziło o pieniądze. „Organizator” domagał się zapłaty, ten drugi prosił o zwłokę, wreszcie wręczył byłemu fryzjerowi plik banknotów. W chwili kiedy Breguła liczył pieniądze,

został uderzony w tył głowy młotkiem. Opis zgadza się z faktami ustalonymi przez dochodzenie, faktami, których w inny sposób Wyra nie mógł znać. Dlatego też uważam, że w tym wypadku można mu wierzyć. Złodziejaszek zeznał również, że zabójca następnie wyniósł ciało w worku i odjechał samochodem.

– A widział twarz zabójcy?

– Niestety nie. Ale z opisu figury tego człowieka, nie można wykluczyć, że to Cichosz.

– Przecież on nie ma samochodu.

– Ale ma prawo jazdy i czasami, kiedy bieda zmusza go do uczciwej pracy, jeździ jako „zmiennik” na taksówce. Tak więc przy najbardziej obiektywnym prowadzeniu dochodzenia, a nie jak to pan uważa, „nastawieniu się” na jeden cel, nie można wykluczyć Adama Cichosza z tej sprawy.

– A zamach na Barbarę Jarecką i granat lotniczy na piecu Cichosza to co?

– Najpierw trzeba udowodnić, że to istotnie był zamach. Znowu pańskie twierdzenie nie jest niczym poparte. A to, że na piecu Cichosza leżał podobny granat lotniczy, także o niczym nie świadczy. Sam pan, mecenasie, doskonale się orientuje, że na tak kruchych podstawach nie można oskarżać bratanka pani Jareckiej o usiłowanie zabójstwa ciotki i Adama Cichosza. Powiem więcej. Pytaliśmy Cichosza, czy zna Zygmunta Kwaśniewskiego. Kategorycznie zaprzeczył, chociaż nie miał żadnego interesu, aby go bronić. Przeciwnie. Cichosz zrobiłby wszystko, żeby się uwolnić od zarzutu zamordowania Breguły. Milicja nie jest tak jednostronna, jak to pan nam zarzuca. My również badaliśmy rozmaite warianty tej sprawy.

– Samoistny wybuch granatu lotniczego, który rzekomo przeleżał na strychu przeszło dwadzieścia pięć lat, jest nonsensem. Każdy specjalista to przyzna. Rozmawiałem z wieloma ludźmi na ten temat. Cudów nie ma i granaty same nie wybuchają. I wiem, w jaki sposób wywołano tę detonację. Oto granat był podgrzany albo przy pomocy zwykłej grzałki elektrycznej, albo kuchenką elektryczną. Zamachowiec włączył prąd i sam wyjechał. Po stosunkowo długim czasie granat tak się rozgrzał, że nastąpił wybuch.

– Bardzo pięknie. Ale gdzie ta grzałka lub kuchenka?

– Pytałem o to panią Jarecką, nie wtajemniczając jej w powody mojej ciekawości. Przyznała, że w firmie jest kilka kuchenek elektrycznych i także grzałki. Spod gruzów wyciągnięto szczątki kuchenki, która zwykle stała w kantorku.

– Trzeba byłoby udowodnić, że w tym dniu zabrano ją z kantorku i przeniesiono na strych dla podgrzania granatu! Znowu, mecenasie, twierdzenie bez podstaw. A nawet gdyby się zdobyło i taki dowód, jeszcze nie byłoby to jednoznaczne ze wskazaniem organizatora zamachu. To za mało, aby oskarżyć Zygmunta Kwaśniewskiego. Zresztą pokażę panu pewne pismo. Przekona się pan, że ci pańscy fachowcy od pirotechniki zbyt jednostronnie i zbyt kategorycznie formowali swoje opinie. Albo po prostu wziął pan z tych ekspertyz to, co mu najbardziej pasowało. Proszę, tu jest opinia wystawiona przez odpowiednią katedrę Wojskowej Akademii Technicznej, a więc instytucji jak najbardziej miarodajnej w tym względzie.

Oficer milicji podał adwokatowi dokument opatrzony oficjalną pieczęcią Akademii.

– Proszę, mecenasie, zwrócić uwagę, że w tej ekspertyzie wyraźnie mówi się o możliwości takiego skorodowania zapalnika, że ten staje się bardzo „uczulony” i może detonować przy najłżejszym wstrząsie budynku, wywołanym na przykład uruchomieniem sztancy czy innej maszyny lub nawet przejazdem w pobliżu większego samochodu ciężarowego. Przy takiej ekspertyzie każdy sąd uniewinniłby oskarżonego o usiłowanie zabójstwa Jareckiej. Nie musiałby mieć jako obrońcę tak znakomitego adwokata jak mecenas Ruszyński.

– A jednak ja się nie mylę.

– Gdybym panu uwierzył i aresztował młodego człowieka, po upływie czterdziestu ośmiu godzin prokurator kazałby mi go zwolnić. Jeszcze bym się musiał tłumaczyć. Proszę, mecenasie, oto papier. Niech pan napisze, i to ze spokojnym sumieniem, że oskarża pan Zygmunta Kwaśniewskiego o te wszystkie zbrodnie, które pan wymienił, i że pan żąda wszczęcia dochodzenia przeciwko niemu.

– A co pan wtedy zrobi, majorze?

– Tylko jedną rzecz. Przeprowadzę rewizję w mieszkaniu młodego człowieka i przesłucham go, stawiając mu wymienione przez pana zarzuty. Nic innego nie będę mógł zrobić. On

wszystkiemu zaprzeczy, a pan będzie miał sprawę o niesłuszne oskarżenie. No co, pisze pan?

Adwokat nie sięgnął po podawany mu arkusz papieru.

– Pan dobrze wie, że tego nie zrobię.

– Dlaczego więc, mecenasie, żąda pan od nas, abyśmy kładli głowę pod ewangelię?

– Jestem pewien, że nie mylę się w swoich podejrzeniach.

– Od pewności do udowodnienia czegoś droga daleka. Czy pan nigdy się nie mylił?

– Obawiam się, majorze, że wkrótce będziecie mieli ten dowód, którego tak żądacie ode mnie.

– Kiedy?

– Kiedy zginie Barbara Jarecka.

– Dlaczego ma zginąć?

– Dlatego, żeby jej bratanek mógł wreszcie dobrać się do pieniędzy Włodzimierza Jareckiego. Pierwsza próba zamachu nie udała się, ale człowiek, który już zamordował dwie osoby, tak łatwo nie załamuje się i nie rezygnuje ze swoich celów. Znowu będziecie mówili o dziwnym przypadku.

– Czy pan, mecenasie, nie przesadza? Mamy go na oku.

– Nie chciałbym być złym prorokiem, ale nawet się domyślam, w jaki sposób zginie Barbara Jarecka i którego dnia to się stanie.

– Jak i kiedy?

– Tak się złożyło, że prowadzę kilka jej spraw i jestem z nią w stałym kontakcie. Wiem, że za parę dni pani Barbara wybiera się do Zakopanego. Oczywiście samochodem. Tym swoim zielonym renaultem. Ta kobieta jeździ jak sam szatan. Żeby jej towarzyszyć, trzeba mieć mocne nerwy nawet przy ograniczonych możliwościach w samej Warszawie. Cóż trudniejszego, jak nieco podłubać w motorze? A potem wypadek na drodze. Powód: nadmierna szybkość. Znowu pan powie, że zbieg okoliczności, że co tydzień kilkanaście osób ginie taką śmiercią. Przekona się pan, że tak się stanie. I nikt specjalnie się nie zdziwi, bo Jarecka znana jest z tego że jeździ po ryzykancku.

Major nie słuchał tego, co mówi adwokat. W pamięci oficera milicji wyraźnie stały dwa obrazy widziane wczoraj. Nogi wystające spod zielonego samochodu i później ten sam renault bardzo wolno jadący ulicą Zapogodną w stronę domu Barbary Jareckiej, prowadzony przez Zygmunta Kwaśniewskiego. Już

wtedy zastanowiło oficera milicji wolne tempo jazdy: dlaczego na pustej ulicy samochód porusza się z szybkością najwyżej trzydziestu kilometrów na godzinę? Kalinowiczowi przyszły na myśl słowa właścicielki wozu. Uważała, iż auto jest w najlepszym porządku, jednakże jej bratanek dopatrzył się w nim licznych usterek i postanowił przeprowadzić generalny przegląd samochodu, aby na drogę do Zakopanego maszyna była przygotowana na medal.

Oficer milicji sięgnął po słuchawkę, wykręcił numer i zapytał:

– Zastałem panią Barbarę Jarecką?

– ...

– Już wyjechała? A dawno? Mówi pani, że przed jakimiś dwudziestoma minutami? Dziękuję.

Kalinowicz rozłączył się i nakręcił następny numer. Szybko wydawał polecenia:

– Tu major Kalinowicz. Proszę natychmiast zawiadomić posterunki na szosie krakowskiej od Janek do Radomia. Dyktuję polecenia: zatrzymać pod jakimkolwiek pozorem zielony samochód marki renault, prowadzony przez kobietę, Barbarę Jarecką. Powtarzam, Barbarę Jarecką. Zabezpieczyć samochód tak, żeby nikt, nawet właścicielka, nie miał do niego dostępu i oczekiwać mojego przyjazdu. Sprawa bardzo pilna. Nadać telefonogram i przez radio. Powtarzam nazwisko właścicielki: Barbara Jarecka.

–; Przecież pani Jarecka wybierała się do Zakopanego dopiero za parę dni. Czyżby zmieniła plany? Co się stało? – adwokat zarzucał pytaniami majora.

– Obawiała się, że pan zechce zatrzymać ją jakiś czas w Warszawie – wyjaśnił major – i dlatego nie zdradzała się z przyspieszonym wyjazdem. Była pewna, że pan znakomicie upora się ze sprawami warsztatu.

– Żeby tylko nie przegapili – martwił się Ruszyński. – Oby tylko nie było za późno.

– Wszystko będzie w porządku – oficer milicji nadrabiał miną. — Jeżeli wyjechała rzeczywiście przed dwudziestu minutami, nie ujechała daleko, zatrzymają ją w porę.

– Miejmy nadzieję.

– A wtedy przekonamy się, czy podejrzenia mecenasa były słuszne. Jeżeli tak, to zdobędziemy dowód. I to bezsporny dowód.

– W jaki sposób?

– Wczoraj Zygmunt Kwaśniewski od rana do wieczora pracował przy samochodzie pani Jareckiej. Naprawdę lub rzekomo znalazł w nim jakieś usterki, które usuwał. Wóz powinien być w jak najlepszym stanie. Jeżeli nasi fachowcy po obejrzeniu auta nie stwierdzą sabotażu, będzie to oznaką, że pan się pomylił i oskarżenia wysuwane pod adresem młodego człowieka są niesłuszne. Jeżeli natomiast znajdą w wozie coś w nieporządku, co by groziło spowodowaniem katastrofy, potwierdzi to pańskie podejrzenia o próbie zabójstwa.

– Należy się pośpieszyć! Każda chwila jest droga. Dlaczego siedzimy tu beczynnienie?!

– Nasz pośpiech nie gra teraz żadnej roli. W tej chwili posterunki milicji odbierają nadane przeze mnie polecenie. Zatrzymają samochód i będą czekać na nasze przybycie. Pan mecenas wybierze się ze mną, prawda?

– Pan o to pyta? Mój fiat stoi przed komendą.

– Pojedziemy milicyjną warszawą.

– Fiat jest szybszy.

– To nie ma znaczenia, natomiast jadąc warszawą będziemy w stałym kontakcie z centralą milicyjną i od razu dowiemy się o rezultatach naszej akcji.

– W takim razie jedźmy.

– Jeszcze chwileczkę. Musimy wziąć ze sobą dwóch specjalistów, aby na miejscu obejrzyli wóz Jareckiej. Muszę zorientować się, kto jest pod ręką. Proszę, mecenasie, niech pan zaczeka na mnie.

Major opuścił pokój, by powrócić tu w towarzystwie jakiegoś kapitana i starszego sierżanta MO.

– Panowie się nie znają? Kapitan Długoszewski, inżynier samochodziarz, i starszy sierżant Bogucki, człowiek, dla którego żaden samochód nie ma tajemnic. Mecenas Ruszyński.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie.

– Teraz możemy jechać. Warszawa czeka przed Pałacem Mostowskich. Starszy sierżant będzie ją prowadził.

Jasny samochód z literami MO szybko podążał w stronę szosy krakowskiej. Mecenas był bardzo zdenerwowany. Major Kalinowicz jak zwykle spokojny albo tylko tak, umiejętnie pozorujący spokój.

ROZDZIAŁ XVI

DWIE ŚRUBY

Milicyjna warszawa minęła Janki. Wewnątrz wozu panowało milczenie z rzadka przerywane krótkimi uwagami kierowcy, starszego sierżanta Boguckiego i siedzącego obok niego kapitana Długoszewskiego. Adwokat Ruszyński i major Kalinowicz nie odzywali się. Mecenas nie umiał ukryć zdenerwowania, natomiast oficer milicji z olimpijskim spokojem całą swoją uwagę poświęcił obserwowaniu krajobrazu podwarszawskich osiedli.

Nagle odezwał się głośnik:

– Tu 134 do 568, tu 134 do 568. Czy słyszycie mnie? Przechodzę na odbiór.

Kapitan Długoszewski sięgnął po mikrofon:

– Tu 568, tu 568. Słyszę was doskonale. Odbiór.

– Tu 134 do 568. Posterunek MO w Jedlińsku zawiadomił, że zatrzymano zielony samochód renault. Proszę o dalsze instrukcje. Zrozumiano? Odbiór.

– Tu 568 do 134. Zrozumiano. Samochód renault zatrzymany w Jedlińsku. Jedziemy tam. Niech czekają na nas. Odbiór.

– Tu 134. Słyszałem was dobrze. Zawiadamiam Jedlińsk. Wyłączam się.

– Więc jednak zdążyliśmy – ucieszył się mecenas.

– Byłem tego pewien – potwierdził major wyjmując z kieszeni paczkę papierosów. Tylko lekkie drżenie ręki trzymającej zapalniczkę wskazywało, że spokój oficera milicji był jedynie udany, a oficer denerwował się nie mniej od adwokata.

– Nie chciałbym być w waszej skórze, majorze – zauważył kapitan – jeżeli wszystko w wozie będzie w porządku...

– Wtedy za to beknie mecenas. To on napuścił nas na tę imprezę.

- Ja?! Kto wydał rozkaz?
- A kto opowiadał amerykańskie bajeczki?
- Jestem przekonany o tym, że znajdziemy dowód.
- Już niedługo – dorzucił starszy sierżant, zwiększając szybkość.
- Gdzie jest ten Jedliński?
- Na połowie drogi między Białobrzegami i Radomiem – wyjaśnił kierowca.
- Za godzinę powinniśmy być na miejscu.
- Wcześniej. Najwyżej za czterdzieści minut – sprostował kapitan Długoszewski.
- Będziecie mieli sporo roboty, panowie – martwił się adwokat.
- Wydaje mi się, że trzeba cały wóz rozebrać. To potrwa kilka godzin.
- Nie będzie tak źle, panie mecenasie – starszy sierżant był optymistą. – Najdalej w ciągu godziny damy sobie radę.
- Bogucki ma rację – powiedział kapitan. – Tego rodzaju zamachy można z grubsza podzielić na cztery grupy. Najpewniejsze, z punktu widzenia przestępcy, jest umieszczenie jakiejś maszyny piekielnej, na przykład bomby zegarowej, pod siedzeniem kierowcy. Wówczas wybuch demoluje samochód i zabija pasażerów. Przypuszczam jednak, że to zbyt skomplikowane technicznie i nasz podejrzany nie skorzystał z tej metody.
- Dlaczego? Już raz z powodzeniem użył granatu lotniczego, a drugi raz również zamierzał posłużyć się tym samym.
- Granat lotniczy jest za duży i zbyt trudno spowodować jego detonację w przewidzianym momencie. Nie sądzę, żebyśmy w zielonym renaulcie znaleźli jeszcze jeden egzemplarz tej broni. Poza tym taki granat zawsze zostawia ślady. Jakieś odłamki, główka zapalnika lub skrzydełka. A przecież, o ile się orientuję, przestępcy chodzi o wywołanie wrażenia nieszczęśliwego wypadku.
- To racja – zgodził się adwokat. — Granat w takim razie odpada.
- Oczywiście – zastrzegł się kapitan – sprawdzimy, czy w samochodzie nie ma bomby, ale prawdopodobnie nasz wróg zastosuje inny sposób.
- Jaki?

– Choćby dodanie pewnych chemikaliów do paliwa w baku, aby to spowodowało wybuch benzyny i pożar całego wozu. Metoda dobra, dyskretna i najczęściej skuteczna. Co prawda w Polsce jeszcze jej nie stosowano, ale kryminalistyka Zachodu zna takie zdarzenia. Dla zdolnego chemika wywołanie małego pożaru w samochodzie nie jest problemem. A przy dużej szybkości szanse zahamowania i wydostania się z płonącego wozu są naprawdę minimalne.

– To nie chemik, a zwykły, chociaż nie pozbawiony sprytu, początkujący przestępca.

– W takim razie poszedł na mechaniczne uszkodzenie wozu, aby przy pewnej szybkości nastąpiła katastrofa.

– Ja też tak sądzę – zgodził się Leszek Kalinowicz. – Tym bardziej że widziałem go wczoraj, jak pracował przy tym samochodzie.

– O, to już najprostsze do wykrycia. Żeby katastrofa była murowana, trzeba uszkodzić albo system kierowniczy wozu, albo poluzować śruby jednego z przednich kół. Najlepszy „efekt”, jeżeli tego z prawej strony, bo skoro odleci, to ściągnie wóz na prawo, a więc do rowu lub na rosnące przy drodze drzewa. Wywrotka lub czołowe uderzenie przy szybkości około setki tak szybko załatwi kierowcę, że nawet nie spostrzeże, kiedy znajdzie się w raju.

– Tak spokojnie pan kapitan o tym wszystkim mówi! Nie mogę słuchać. Aż mnie ciarki po plecach przechodzą.

– Milczałbym, mecenasie, gdyby nie ten meldunek z Jedlińska. Teraz już możemy rozważać całe zagadnienia z punktu teorii.

Kiedy dojeżdżali do Jedlińska, z daleka zobaczyli zielonego renaulta zaparkowanego przed wejściem do budynku zajmowanego przez posterunek milicji. Na widok warszawy z napisem MO, komendant posterunku, sierżant Kazimierz Granuszewski, wyszedł na ulicę i służbiście zameldował:

– Zgodnie z poleceniem Komendy Stołecznej melduję, że zatrzymałem poszukiwany zielony renault. Pod pozorem przekroczenia dozwolonej szybkości i niebezpiecznej jazdy. Kierowca samochodu, obywatelka Barbara Jarecka, przebywa w areszcie milicyjnym.

– Gdzie?! – major Kalinowicz miał w tej chwili taką minę, że pozostali towarzysze podróży nie mogli powstrzymać się od śmiechu.

– W naszym areszcie, obywatelu majorze – sierżant Granuszewski był z siebie zadowolony. – Nie było instrukcji, co z nią zrobić, więc dla pewności zamknąłem ją. To nie baba, ale jakaś tygrysica – dodał bardziej prywatnym tonem. – Kiedy jej powiedziałem, że za niebezpieczną i szybką jazdę muszę jej zabrać prawo jazdy i zatrzymać do wyjaśnienia sprawy, myślałem, że rzuci się na mnie z tymi srebrnymi pazurami i oczy wydrapie. A co przy tym wygadywała i na milicję, i na pana majora, to z przeproszeniem nie śmiem powtórzyć. Dopiero kiedy wyjąłem pałkę i przygroziłem, że ją przystawię do jej pośladków, dała się już bez oporu zaprowadzić do aresztu. Pytałem, czy może głodna albo chce pić, bo możemy przynieść z gospody, ale powiedziała, że niczego nie chce. Tylko tak patrzyła tymi swoimi zielonymi ślepiami, jak gdyby chciała mnie zamordować.

– Bójcie się Boga, człowieku – major złapał się za głowę – coście narobili najlepszego. Wypuście ją natychmiast.

– Nie było żadnej instrukcji, obywatelu majorze – tłumaczył się sierżant. – A strasznie błuźniła. Co miałem robić?

– Dobrze, dobrze – major musiał przyznać, że sierżant był w porządku. – Dziękuję wam za wykonanie rozkazu i zatrzymanie samochodu. To bardzo ważna sprawa, ale teraz zwolnijcie tę panią.

– Rozkaz! – Granuszewski zniknął wewnątrz budynku, skąd po chwili wyszła Barbara Jarecka. Na widok Kalinowicza i Ruszyńskiego, stojących obok milicyjnej warszawy, ruszyła prosto w ich kierunku.

– O, pan major i pan mecenas! – kobiecie z wściekłości głos się łamał. – Więc to obaj panowie urządzacie sobie takie miłe figielki. Pan mi wprawdzie już wczoraj obiecywał coś podobnego, ale myślałam, że to jedynie przechwałki zbyt pewnego siebie oficera milicji. Panu się wydaje, że wszystko mu wolno! Zapewniam pana, że tym razem potrafię zareagować na tego rodzaju dowcipy.

– Ależ pani Barbaro... – mecenas usiłował przerwać Jareckiej.

– Jeszcze nie skończyłam. Natychmiast wracam do Warszawy, prosto do Komendy Głównej MO. Mam nadzieję, że tam się ucieszą, kiedy dowiedzą się, jakich to energicznych mają oficerów. A u pana, mecenasie, będę po południu z moim

adwokatem, żeby przejął moje sprawy. A może ciągle jeszcze jestem aresztowana?

– Ale skądże znowu. Z tym aresztowaniem to zwykła omyłka. Bardzo panią za nie przepraszam.

– Będzie się pan tłumaczył, ale komu innemu. Dodam tylko, że pańskie postępowanie uważam za wyjątkowo podłe. To nie tylko nadużycie władzy, ale zwykłe świństwo. A ja uwierzyłam, że oficer milicji może być człowiekiem, i to naw'et miłym człowiekiem. Wlokłam się po tej pustej szosie nie przekraczając osiemdziesiątki, bo pamiętałam, że dałam słowo. Idiotka!

Jarecka podeszła do swojego samochodu i zwróciła się do sierżanta.

– Proszę mi oddać klucze do wozu.

– Niestety – wtrącił kapitan Długoszewski. – Chwilowo pani stąd nie wyjedzie. Proszę wprowadzić samochód na podwórze. Musimy go zbadać.

– A pan kim jest?!

– Kapitan Długoszewski z Komendy Ruchu, do usług. Z sierżantem Boguckim, również z Komendy Ruchu, musimy dokładnie zbadać pani wóz. Dopiero potem będzie pani mogła podjąć dalszą podróż.

– Samochód jest w najlepszym porządku! Nie dalej jak wczoraj był dokładnie lustrowany przez fachowca.

Widzę, że panowie chcą jakoś wybronić majora Kalinowicza.

– Nie przyjechałem tu dla zabawy – obruszył się kapitan – ani dla wybraniania kogokolwiek. Powtarzam, proszę wprowadzić samochód na podwórze. Postaramy się, aby to trwało jak najkrócej. Pani obecność konieczna jest przy tych oględzinach. Nie chcemy narazić się na zarzut, że umyślnie uszkodziliśmy wóz. Radzę pani opanować nieco nerwy.

Słowa kapitana Długoszewskiego podziałały jak kubeł zimnej wody wylanej na głowę i Barbara Jarecka w milczeniu zasiadła za kierownicą, by wprowadzić samochód na podwórze. Kapitan i sierżant włożyli tymczasem kombinezony robocze i wyposażeni w komplet narzędzi zbliżyli się do wozu.

– Najpierw sprawdzamy tapicerkę – polecił kapitan.

W siedzeniach i pod siedzeniami wszystko było w porządku.

– Niestety, proszę pani, musimy spuścić całą benzynę z baku. Zostanie ona pani zwrócona po przeprowadzeniu analizy.

- Róbcie, panowie, co chcecie – Jarecka wzruszyła ramionami.
- Chociaż nie wiem, po co ta cała szopka.

Sierżant Bogucki spuścił paliwo do kanistrów, które wyjął z milicyjnej warszawy. Trochę benzyny odlał do małej buteleczki. Obejrzał ją uważnie i obwąchał.

– Widzi mi się, że i tutaj w porządku – zauważył zwracając się do kapitana.

– Trudno tak na oko stwierdzić. Muszą sprawdzić w Zakładzie Kryminalistyki.

– A teraz kółeczka – sierżant zdjął talerze ze wszystkich kół i sprawdzał, czy śruby są dokręcone.

– Żadnej nie brakuje.

– Ja myślę – dodała drwiącym tonem Jarecka. – Szukajcie, panowie, dalej.

– Kto szuka, czasami znajduje – filozoficznie odpowiedział kapitan Długoszewski i zabrał się do skrupulatnego badania układu kierowniczego. Kiedy po paru minutach wyprostował się, jego oczy dziwnie błyszcząły. – Proszę, niech pani tu spojrzy. Musi pani dobrze się nachylić. Majorze! Zdaje się, że znaleźliśmy...

Major i Ruszyński, którzy stali nieco z boku obserwując zabiegi fachowców, zbliżyli się do zielonego wozu.

– Widzi pani?

– Nic nie widzę. O co panu chodzi?

– Układ kierownicy w renaulcie jest zamocowany na trzech śrubach – tłumaczył kapitan – a w pani wozie widzimy tylko jedną. Po dwóch śrubach i dwóch bolcach pozostały jedynie otwory. Miała pani wiele szczęścia, że dojechała aż do Jedlińska. Przy szybkości ponad setkę ta jedna śruba pękłaby już po dziesięciu, najwyżej piętnastu kilometrach. Uratowała panią wolna jazda. Niech pani ręką sprawdzi, że i ta trzecia śruba jest nieco obluzowana. Jeszcze kilka kilometrów, kilka zakrętów i nie panowałaby pani nad kierownicą. Kierownica obracałaby się, ale samochód jechał tam, dokąd by chciał. Może pani domyślać się rezultatów na tej obsadzonej drzewami szosie. Oto, na co się zdały nasze, jak pani to nazywa, szopki.

Barbara Jarecka wyprostowała się. W jej twarzy nie było kropli krwi. Nie mogła wydobyć głosu z gardła. Opanowała się w końcu i z lekka 'zachrypniętym tonem powiedziała:

– Bardzo panów przepraszam i bardzo, bardzo dziękuję.

Wyciągnęła rękę do kapitana, a potem do starszego sierżanta. Wolnym krokiem, jak gdyby zabrakło jej sił, podeszła do majora i mecenasa.

– Zachowałam się jak ostatnia kretyńska. Przepraszam. Zawdzięczam panu życie, majorze. Proszę mi przebaczyć te wszystkie głupstwa, które wygadywałam.

– Ależ nic się nie stało. Nie ma w tym mojej zasługi. To raczej trzeba podziękować mecenasowi Ruszyńskiemu. Właśnie mecenas namówił mnie do zatrzymania pani samochodu.

– Mecenase! Ale dlaczego? – odwróciła się do Ruszyńskiego.

Major podniósł palce do ust. Adwokat zrozumiał ten znak i odpowiedział:

– Miałem dziwne przeczucia. Śniło mi się, że uległa pani katastrofie. Z samego rana pobiegłem do majora, który obawiał się, że panią może ponieść temperament. Wiedziałem, że pani jest zmęczona tymi wszystkimi przeżyciami, a w takiej sytuacji o wypadek nietrudno. Namówiłem majora, aby panią zatrzymał i dla pewności sprawdził samochód. Jak pani sama widzi, moje przeczucia mnie nie omyliły.

Jarecka była tak zdenerwowana, że te naiwne tłumaczenia adwokata przyjęła za dobrą monetę.

– Co ja teraz zrobię? – martwiła się. – Czy tu jest jakiś warsztat, który mógłby naprawić to uszkodzenie?

– Na pewno nie – major Kalinowicz powiedział to takim tonem, jak gdyby całe życie mieszkał w Jedlińsku. – Poza tym do naprawy konieczne są oryginalne bolce i śruby renaulta.

– Wobec tego musicie, panowie, zabrać mnie ze sobą do Warszawy. Samochód tu zostanie. Może Zygmuntovi uda się dostać jeszcze dzisiaj te przeklęte śruby. Przyjechałabym tutaj z nim i zreperowałby mi auto.

– Mam lepszy plan – zaproponował major. – Zatelefonuję z posterunku do Warszawy, aby pani bratanek tutaj przyjechał.

– To byłoby świetnie – ucieszyła się Jarecka.

– Pozwolę sobie dodać następną propozycję. Idźcie z mecenasem na kawę do miejscowej gospody, a my z kapitanem zatelefonujemy do Warszawy i wytłumaczymy panu Kwaśniewskiemu, jakie śruby ma przywieźć. Dobrze? I potem dołączymy do was.

Adwokat zrozumiał grę oficera milicji, ujmując panią Barbarę pod ramię, odpowiedział:

– Świetny pomysł, majorze. Przyznaję, że jestem głodny jak wilk, a i kawy chętnie się napiję. Chodźmy!

– Gospoda jest o sto metrów w prawo -- wyjaśnił sierżant Granuszewski.

Po tak zręcznym pozbyciu się właścicielki zielonego renaulta major poszedł do pokoju komendanta posterunku, skąd połączył się z Warszawą, z warsztatem rzemieślniczym. Drugą słuchawkę podał kapitanowi Długoszowskiemu, który zapisywał treść rozmowy, ponieważ posterunki milicji w małych osiedlach nie rozporządzają jeszcze magnetofonami.

– Chciałbym mówić z panem Zygmunt Kwaśniewskim.

– Jestem przy aparacie.

– Mówi komendant posterunku milicji w Jedlińsku. Niestety, mam smutną wiadomość do zakomunikowania. Obywatelka Barbara Jarecka...

– Co się stało? Wypadek?

– Tak. Samochód jadący z nadmierną szybkością wpadł na drzewo. Przy samym Jedlińsku.

– A Barbara?

– Ratowaliśmy. Ale żyła dziesięć minut. Zdążyła tylko powiedzieć, żeby pana zawiadomić o wypadku.

W słuchawce zaległo milczenie.

– Wóz nie jest nawet bardzo uszkodzony – major nadal grał rolę komendanta posterunku. – W momencie wypadku zarzuciło i bokiem uderzył o drzewo. Wóz zabezpieczyliśmy dla oględzin przez prokuratora. Samochód jest u nas na posterunku. Zaraz zawiadomię prokuratora w Białobrzegach, który będzie prowadził śledztwo. To zresztą formalność, bo sprawa jasna. Ale dopiero po oględzinach prokuratorskich rodzina będzie mogła otrzymać ciało. To samo dotyczy i auta.

– Wsiadam w samochód i jadę do was. Za godzinę będę.

– Dobrze. Czekamy na pana – Kalinowicz odłożył słuchawkę.

– No tak – zauważył kapitan. – Postraszył pan faceta tymi oględzinami prokuratorskimi. Przyleci tutaj jak na skrzydłach z tymi dwoma śrubami w kieszeni, aby je podrzucić do samochodu. Świetnie, że pan uprzedził go o niewielkim uszkodzeniu wozu. Młody człowiek zdaje sobie sprawę, że śruby i bolce powinny

leżeć wewnątrz samochodu, -a jeżeli eksperci tam ich nie znajdą, wtedy mogą dojść do wniosku, że ktoś je wykręcił przed rozpoczęciem podróży przez panią Jarecką. To było niezłe zagranie.

– To jest jedyna możliwość zdobycia dowodu. Mamy podejrzenia, nawet nie poszlaki. Gdyby przyjechał bez tych dwóch śrub, musiałbym go przeprosić i gęsto się tłumaczyć przed zwierzchnikami.

– Jeżeli jest winien, na pewno będzie miał te dwie śruby w kieszeni. Postara się podrzucić je do wnętrza wozu lub przynajmniej w pobliże miejsca katastrofy.

– Przyjedzie tutaj, bo przecież nie wie, w którym miejscu zdarzyła się kraksa, a powiedziałem mu, że samochód jest na posterunku milicji.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać.

– A przede wszystkim i nam się należy, kapitanie, coś na ząb i filiżanka kawy. Mamy godzinę czasu. Chodźmy i my do gospody.

Po powrocie z niej wszyscy zgromadzili się w pokoju kierownika posterunku. Jareckiej nadal nie wtajemniczano w sprawę. Major Kalinowicz poinformował ją jedynie, że rozmawiał z jej bratankiem i ten jest już w drodze do Jedlińska. Sierżant GranUzewski, uprzedzony przez majora, poczynił odpowiednie przygotowania.

Wreszcie przed posterunkiem zatrzymała się warszawa.

– Pani Barbaro – powiedział oficer milicji – proszę jeszcze chwilę pozostać w tym pokoju, dobrze?

– Dlaczego?

– Proszę mi zaufać. Niedługo wszystko pani wytłumaczę.

Major, adwokat i pozostali przedstawiciele Stołecznej Komendy MO przeszli do pierwszego pomieszczenia, do którego sierżant wprowadzał właśnie Zygmunta Kwaśniewskiego.

– O, pan major i pan mecenas są już tutaj? – zdziwił się młody człowiek.

– Tak. Nas również zawiadomiono – wyjaśnił Kalinowicz.

– Co za straszne nieszczęście! – Zygmunt Kwaśniewski zrobił zbolalą minę.

– Trudno. Stało się.

– Biedna Basia. Mam nadzieję, że zbytnio się nie męczyła. Można ją zobaczyć?

– Chwileczkę – major wycofał się do drugiego pokoju, skąd powrócił razem z Jarecką.

– Zygmunt – powiedziała nie orientując się w niczym – świetnie, że tak szybko się uwinąłeś. Masz te dwie śruby?

Kwaśniewski drgnął, jak gdyby zobaczył widmo. W tym samym momencie zrozumiał swój błąd. Zrobił ruch w stronę drzwi, ale mocne ramiona sierżanta Granuszewskiego osadziły go na miejscu. Drugi z sierżantów szybko i sprawnie obmacał młodego człowieka w poszukiwaniu broni, a potem przystąpił do szczegółowej rewizji. Nie szukał długo. W prawej kieszeni marynarki znalazł dwa bolce i dwie śruby. Położył je na stole.

– Panowie, co wy robicie?! Co tutaj się dzieje? – Jarecka nie mogła pojąć sensu tej sceny.

– Oto – wyjaśnił major Kalinowicz – morderca Włodzimierza Jareckiego i Romana Breguły. Chciał również zamordować Adama Cichosza, a dzisiaj swoją ciotkę. Odkręcił dwie śruby i wyjął bolce z układu kierowniczego pani samochodu. Zawiadomiony przez nas o kraksie i śmierci Barbary Jareckiej, przywiózł te dwie części, aby podzucić je do samochodu.

– Zygmunt! To nieprawda?

Młody człowiek milczał.

– Zaprzecz temu! Powiedz, że to nieprawda! – Barbara Jarecka zachwiała się i byłaby chyba straciła przytomność, gdyby nie pomoc majora, który szybko wyprowadził ją do drugiego pokoju, dokąd pośpieszył z ratunkiem również adwokat Ruszyński.

A tymczasem oficerowie milicji przystąpili do formalnego przesłuchania przestępcy i sporządzenia protokołu. W godzinę potem morderca, któremu nie pozostało nic innego, jak wobec oczywistych dowodów przyznać się do swojego czynu, jechał milicyjną warszawą do aresztu w towarzystwie kapitana Długoszewskiego i starszego sierżanta Boguckiego.

Barbara Jarecka i mecenas wrócili do stolicy samochodem właścicielki warsztatu rzemieślniczego. Dwie śruby znalezione przy Kwaśniewskim zostały wprawdzie dołączone do protokołu jako dowody rzeczowe, ale podobne bolce znaleziono bez trudu u miejscowego mechanika w Jedlińsku.

Już po raz drugi w stosunkowo krótkim czasie oficer milicji odwoził Barbarę Jarecką do domu, aby zaopiekować się tą

kobietą, która w ciągu jednego dnia doznała dwóch ciężkich przeżyć.

*

Mecenas Mieczysław Ruszyński miał wyjątkowo ciężki dzień. Rozprawa zaczęta o dziewiątej rano przeciągnęła się aż do piątej po południu. Był to skomplikowany proces, wymagający od adwokata największego wysiłku.

Teraz więc, parkując swojego fiata na MDM, adwokat miał zupełną pustkę w głowie, tak jak gdyby przepuszczono go przez wyżymaczkę. Marzył o jednym, o filiżance kawy, takiej, o której mówił Talleyrand, że musi być „czarna jak noc, słodka jak grzech, gorąca jak miłość i mocna jak piekło”.

Mecenas skierował swoje kroki do pobliskiej kawiarni mieszczącej się na drugim piętrze jednego z domów. Lubił ten lokal. Kawa była tu wprawdzie nie najlepsza, wcale nie taka, jaką opisywał napoleoński dyplomata, ale ponieważ w tytule kawiarni figurowało słowo „sztuka”, pełno tu zawsze bywało ładnych kotów. Widocznie to słowo podnosiło ich rangę i samopoczucie. Tutaj uważały się za prawie artystki. Można więc było na co popatrzeć i nawet poderwać.

Ruszyński stanął w drzwiach kawiarni. Uważnym spojrzeniem zlustrował cały lokal.

Przy małym stoliku w głębi salki, pod oknem, zauważył piękną kobietę o kruczoczarnych włosach i wielkich, zielonych oczach. Naprzeciwko niej siedział mężczyzna o wysportowanej sylwetce, jasnych włosach i ogorzalej twarzy.

Czyżby major Leszek Kalinowicz stosował i tym razem swoją ulubioną metodę półprywatnych przesłuchań? A może nawet ją ulepszył? Bo wąska kobieca dłoń spoczywała w jego ręku...

Miecio dyskretnie wycofał się z kawiarni i pomaszerował do swojego ulubionego „Szanghaju”.

SPIS ROZDZIAŁÓW

- I. W kancelarii adwokata
- II. Łabędzie na stawie i śmierć
- III. Dziwny spadkobierca
- IV. Dawne dzieje

- V. Tajemniczy list
- VI. 130 kilometrów na godzinę .
- VII. Przez szparę w firance 87
- VIII. Poznaję tego człowieka. To jest
- IX. Upór mecenasa Ruszyńskiego
- X. Śmierć organizatora
- XI. „Niewypały są ciągle groźne” .
- XII. Szósty granat .
- XIII. Jeszcze jedna kostka łamigłówki
- XIV. Tylko poniżej osiemdziesiątki
- XV. Bajeczki mecenasa Ruszyńskiego i
- XVI. Dwie śruby